

Marsha Qualey

Po cienkim lodzie

Przekład: VIOLETTA DOBOSZ

Tytuł oryginału: THIN ICE

ISBN 83-89064-04-9

i

Po trzech godzinach mojej urodzinowej imprezy ludzie zaczęli skakać z dachu. Nie było to niebezpieczne, tylko zwyczajnie głupie. Nie było niebezpieczne, bo w ciągu dziesięciu dni mieliśmy trzy śnieżycy, podczas których naniosło śniegu pod dom prawie po poddasze.

A głupie było, ponieważ po prawie trzech godzinach imprezy temperatura spadła do minus dwunastu stopni. Choć ich karkom nie groziło połamanie, to z łatwością mogli nabawić się odmrożeń. Jakby się nad tym zastanowić, to też może być niebezpieczne.

Nie wiem, komu strzeliło do głowy, żeby w ten sposób rozruszać imprezę. Pewnie pomysł nie należał do nikogo konkretnego – zwyczajnie zrodził się z atmosfery, zainspirowany muzyką, tańcem i chipsami z sosem. Nim ktokolwiek zebrał się na odwagę, by powiedzieć „To głupie”, jakies dwadzieścia osób – starszych i młodszych, przyjaciół moich i mojego brata – wysypało się na dwór.

Skoczkowie zostawili otwarte drzwi i miło było poczuć wymianę gorącego powietrza na chłodniejsze. Tak samo mile widziane było wolne miejsce. Nasz dom nie jest za wielki, a w pewnym momencie naliczyłam w nim pięćdziesiąt osób. To było na samym początku, a goście wciąż napływali.

Skoki z dachu nie trwały długo. Nikt nie mógł znaleźć drabiny, więc jedynym sposobem dostania się na górę było wdrapanie się po zaspie, a ta szybko się ubiła pod podskakującą na niej dwudziestką ludzi, z których większość nie dawała rady utrzymać się na nogach. Jednak kilku głupkom się udało i chyba musieli to uznać za świetną zabawę, bo ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby zrzucić z dachu solenizantkę. Chowałam się akurat w kuchni przed moimi najlepszymi przyjaciółkami, bliźniaczkami, które chciały, żebyśmy wzięła udział w ich najnowszej sztuczce, żonglowaniu no-

5

żami. Nie SDus?czając z ^a bliźniaczek, patrzyłam przez okno, co się dzieje na zewnątrz, <*dy przyszli po mnie skoczkowie. Mogłam się domy-^ć, co im chodzi 'po głowie, mogłam przewidzieć, co mnie czeka. Przecież widziałam, jak się namawiają i s'mieją, i jak wszyscy na raz odwracają się, i na ??|? patrzają. Potem pięciu czy szes'ciu wpadło do domu.

-? Nie, nie! __piszczalam, gdy złapali mnie za ręce i nogi. – Pomocy, pomocy! __wołałam, gdy wywlekano mnie z domu, a mój tyłek huśtał się i obijał o wszystko, co stało na drodze.

Mój brat tylko szczyrzył zęby i patrzył – zero pomocy. Ale w końcu było w naszym wspólnym życiu wiele sytuacji, gdy chciał zrobić właśnie coś takiego – i to na pewno bez asekuracji z miękkiej śniegowej poduchy.

Jednak ze wszystkich obecnych przy tym Einsteinów żaden nie umiał wykombinować, jak wciągnąć mnie na dach. No i bardzo dobrze, bo zaspą była już wtedy porządnie ubita i głupi pomysł przerodził się w niebezpieczny. Upuścili mnie. Dokoła szurały stopy: lewa, prawa, lewa, prawa. Przeturlałam się na brzuch, zebrałam trochę śniegu i najszybciej, jak potrafiłam, zaczęłam pakować go w spodnie moich oprawców. Sama nie będąc Einsteinem, swój atak przypuściłam na kolanach, tak więc nie miałam jak uciec. Odwet był nie do uniknięcia. Gotowa byłam go przyjąć, może na twarz. Albo za koszulę. Lecz wówczas głośna syrena i migające światła policyjnego radiowozu dokonały tego, czego nie zdołał styczniowy wieczór: zmroziły nas.

Samochód wyjechał zza zakrętu przecznicy dalej i jechał w stronę mojego domu.

– Kto wezwał gliny? – ludzie pytali się nawzajem. Zmarszczyłam czoło. Skarga raczej nie wchodziła w grę. Muzyka nie

grała aż tak głośno, nie wybiła jeszcze nawet północ, a na ulicy były zaledwie trzy domy. Poza tym wszyscy sąsiedzi byli na imprezie.

– Pewnie przez to światło – stwierdził ktoś i wszyscy spojrzeliśmy na podjazd.

Mój brat był mechanikiem w salonie samochodowym i wypożyczył od jego właściciela wielki reflektor, jeden z tych gigantów, co to obracają się i puszczają snop światła wysoko w niebo. Stał na podjeździe, a bilion watów oświetlało

przestworza. Ale się nie kręcił. Scott ustawił promień tak, że padał na ogromny pęk wypełnionych helem balonów.

Razem ze skoczkami weszłam do domu i czekałam. Wszyscy uciszyli się, nasłuchując dzwonka.

Dwa gongi. Scott otworzył drzwi i wpuścił policjanta do środka. Był to Al Walker, jego stary przyjaciel. Porządny facet i zawsze go lubiłam.

6

Zadziwiająca jednak, jak bardzo mundur i pistolet mogą zmienić wizerunek człowieka.

Al wszedł i skinał głową do mojego brata.

– Rozporządzenie rady miejskiej, Scott. Ten reflektor powinien być zgasnąć o jedenastej.

– Przepraszam. Zaraz się tym zajmę.

Al-glina uśmiechnął się do wszystkich i wszedł do pokoju dziennego. Jego głowa obracała się nerwowo. Pewnie wypatrywał piwa. Podszedł do mnie.

– Twoja siedemnastka, Arden?

– Zgadza się.

– Cóż, cieszę się, że skończyłem akurat służbę i mogę ci złożyć życzenia. I tak jak stary samochód szykujący się do startu, tłum z hukiem powrócił do życia, gdy jego metr dziewięćdziesiąt pochyliło się nad moim metrem pięćdziesiąt sześć i dotknęło je swoimi kilkoma centymetrami kwadratowymi. Ustami.

Dostałam buzi od policjanta.

Wszystkiego najlepszego, Arden. Wszystkiego najlepszego.

O mojej rodzinie więcej wiem, niż pamiętam. Wiem, że miałam sześć lat i byłam w domu z opiekunką, gdy rodzice zginęli w katastrofiesamolotu nad Ameryką Środkową. Oboje byli lekarzami i jako ochotnicy polecili na kilka tygodni popracować w jakimś wiejskim szpitaliku. Wiem, że Scott, mój jedyny brat, był wtedy w college'u. Wiem, że zaraz przyjechał do domu, żeby się mną zająć. Wiem, że nie mieliśmy żadnych krewnych i że paru starych znajomych rodziców zjawilo się nie wiadomo skąd i zaproponowało, że mnie zabiorą, żeby Scott mógł wrócić na studia. Wiem, że odrzucił wszelką pomoc, przeprowadził się z powrotem do Penokee i wstąpił do jakiejś szkoły technicznej w Superior. Wiem, że mieliśmy mnóstwo pieniędzy, wystarczająco, by opłacić dom i wynająć kogoś do mnie na czas,

7

gdy on był w szkole. Wiem, że mieszkaliśmy z nami całe stada nianieek. Wiem, że Scott po skończeniu szkoły dostał pracę przy naprawie samochodów. Wiem, że umawiał się z dziewczynami, ale nie znam ich imion. Wiem, że jestem teraz star-

7

sza, podobnie jak on. Wiem, że to na pewno nic zabawnego być matką i ojcem dla młodszej siostry.

Jakieś okruczy z naszej przeszłości pamiętam. Niesforne włosy mamy wyslizgujące się spod szala. Owłosione dłonie ojca zamknięte na moich, gdy zamachiwałam się pałką baseballową. Śpiew w samochodzie. Namiot i ognisko. Zapach dymu i gryzący sweter. Okruczy.

Pamiętam bajki na dobranoc. Gdy chcę przywołać wspomnienie rodziców, przypomnieć sobie ich dotyk, głos, zapach, pomaga, gdy pomyślę o „Psie-Marynarzu”, „Betsy-Beksie” czy „Żabie i Ropusze”.

Wiem, że śniły mi się koszmary. Pamiętam, jak budziłam się z dreszczami i krzykiem, mokra od łez i potu. Pamiętam, jak kiedyś Scott wpadł do mojego pokoju.

Tulił mnie i szeptał: „Dobrze, już dobrze”.

Pamiętam, jak powiedział: „Mnie też śnią się różne rzeczy”.

To mi pomogło. Najbardziej chyba pocieszyła mnie świadomość, że te obrazy z mojej głowy, płomienie i powyginane kawałki metalu, nękały także mego brata. Wiem, że obserwowali nas ludzie, którym na nas zależało, i ludzie, którzy mieli władzę, by nas rozdzielić. Pamiętam rozmowy ze szkolnymi pedagogami, którzy lubili brać mnie za rękę i pytać: „Jak się czujesz? Co jadłaś na śniadanie? Nie potrzebujesz pomocy w kupnie osobistych rzeczy?”.

Nigdy nie pytali o to, co naprawdę chcieli wiedzieć. Czy brat przyprowadza do domu dziewczyny? Czy pije alkohol, zażywa narkotyki? Czy cię dotyka?

Nie, nie, jeszcze raz nie.

Z czasem koszmary ustały. Tak jak i ludzkie wypytywanie. Pewnie wszyscy się do nas przyzwyczaili. A teraz przez większość czasu wydaje nam się, jakbyśmy żyli

tak od zawsze: Scott i Arden. Brat z siostrą. Mun-rowie. Rodzina z dwóch osób.

3

Z okna mojego pokoju mam ograniczony widok. Widzę podwórze od ulicy i koniec podjazdu. Widzę dom bliźniaczek i okna ich pokoi. Niebieskie zasłonki w paski Kady i w łąty Jean. Za ich domem nad wszystkim unosi się wszechobecny pióropusz zanieczyszczeń z papierni nad rzeką.

To północne Wisconsin, więc, rzecz jasna, widzę mnóstwo drzew – sosny, dęby, topole i brzozy. I krzew bzu.

8

Rankiem po imprezie z głębokiej drzemki wyrwał mnie jakiś niezidentyfikowany dźwięk i zobaczyłam dwóch chłopaków wyskakujących z furgonetki. Jeden zauważył mnie i pomachał. Nie chciałam wyjść na chamkę, więc też mu kiwnęłam.

Przyjechali po reflektor. Scott wyszedł i podał im rękę, a jednego poklepał nawet po ramieniu. Dziwne, że nigdy nie widziałam, by coś takiego robiły dziewczyny: graba, graba, siemanko, chlap w plecy.

Scott ubrany był w kostium do zabaw na dworze: kombinezon do jazdy skuterem i wielkie buty z cholewami. Stał tam, dopóki chłopcy od reflektora nie odjechali; a potem znikł. Usłyszałam warkot skutera śnieżnego, jego nowej zabawki. Silnik zaryczał, a potem ucichł, gdy mój brat wjechał w las za naszym domem. Mieszkamy na skraju miasta, zaledwie pół kilometra od granicy kniei z bezkresną ilością wędrownych szlaków. Nie będzie go cały dzień.

Mój senny umysł nawiedziła okropna myśl: zostawił mnie samą z bałaganem po imprezie?

Kiedy muszę, potrafię się ruszyć. Wskoczyłam z łóżka i pognałam do kuchni. Czysta.

Pokój?

Nieskazitelny.

Sprzątał, podczas gdy ja spałam. Co za facet z tego mojego brata.

4

Ranek spędziłam w moim warsztacie w piwnicy. Dziesięć lat temu, gdy Scott i ja staliśmy się jedynymi mieszkańcami tego domu, właściwie pozostawiliśmy wszystko tak, jak było: rzeczy rodziców zostały w ich sypialni, ich obrazy i fotografie nadal wisiały na ścianach pokoju dziennego, ich kompakty wciąż tkwiły w stojaku przy zestawie stereo. Piwnica także należała do nich. Znajdowała się w niej niewielka biblioteczka medyczna, olbrzymie biurko i kilka regałów. Jeszcze parę obrazów, narzędzia i kilka sztuk rozklekotanych mebli.

Niczym płózące się zielsko Scott i ja opanowaliśmy dom. Życie, jakie zasiali tu nasi rodzice, zostało zarośnięte przez nasze własne sprawy. Najpierw Scott przeniósł się do ich wielkiej sypialni, roszcząc sobie prawo do osobnej łazienki i wanny z hydromasażem. Następnie nasze plakaty i pły-

9

ty zaczęły wypełniać pokój dzienny. Do lamusa poszły ich obrazy i inne dekoracyjne drobiazgi, a gdy byłam w piątej klasie, sprzedaliśmy meble i przez wiele miesięcy pokój stał pusty, nie licząc kilku metalowych regałów, telewizora,

zestawu stereo i japońskiej maty do siedzenia, pierwszej takiej w Penokee. Potem Scott zatrudnił stolarza i teraz mamy wszystkie te robione na zamówienie dębowe meble. I nową matę.

Ja zajęłam piwnicę. Stwierdziłam, że to sprawiedliwe, bo on miał tę superwanę. Największe pomieszczenie stało się w zasadzie klubem dla mnie, bliźniaczek i innych przyjaciół. W jednym jego końcu wisi nawet czarna kurtyna stanowiąca tło dla żonglerskich popisów.

Pomieszczenie z tyłu należy do mnie, tylko do mnie. Trzeba pukać przed wejściem. Mój warsztat.

Tworzę ramy obrazów. To coś więcej niż hobby, to sztuka. I interes. W ciągu kilku ostatnich lat zarobiłam całkiem niezłą kasę, sprzedając moje ramy sklepom pamiątkarskim w okolicy. Serio. Moje wyroby są porządnej jakości – folklor lasów północy zaprawiony zapałem twórcy. A ostatnio rozszerzyłam swą działalność:

zaczęłam wytwarzać lustra i puzderka na kolczyki. Działam legalnie – pierwszego lata, gdy moje wyroby zaczęły się sprzedawać w sklepach, Scott zaciągnął mnie do prawnika i musiałam zarejestrować działalność gospodarczą. ArdenArt.

Swą pierwszą ramkę zrobiłam na obozie w wakacje po zakończeniu piątej klasy – kawałek tektury, farbowany makaron i cała butelka kleju. Niezbyt mi się udało. Ale musiałam się dobrze bawić, bo po powrocie do domu zaczęłam sklejać w

prostokąty i dekorować patyki po lodach. Większość z tych dzieł rozpadło się, ale jedno, przybrane żołądziami i strączkami, zwróciło uwagę stolarza, który zdejmował miarę z pokoju dziennego przed zrobieniem półek. Pokazał mi, jak posługiwać się piłą i korytkiem do równego cięcia listew, gdzie sklejać, kiedy używać gwoździ czy wkrętów. Wzięłam kilka lekcji z obsługi elektronarzędzi, a reszty – przycinania i matowienia szkła, robienia witraży – nauczyłam się z książek.

Ostatnio pracowałam ze świecidełkami z pasmanterii. Minionego lata obskoczyłam wszystkie uliczne wyprzedaże i pchle targi i zaopatrzyłam się w całe pudła tanich błyskotek, które umieszczałam na brzozywym i wiśniowym drewnie. Najlepiej sprzedają się cyrkonie na wiśni.

Jednak jest to dość żmudne zajęcie. Nie wystarczy sam klej. Trzeba ostrożnie wydłubać w materiale dziurę, która będzie pasowała kształtem do świecidełka. Ja nie naklejam zwyczajnie kamieni na powierzchnię

10

drewna, ja je inkrustuję. Tu trzeba wyczucia. Oboje moi rodzice byli chirurgami. Odziedziczyłam po nich ręce.

Nietrudno zapomnieć się przy pracy, jaką się kocha. Zatracić się. Układałam właśnie rząd sztucznych rubinów, gdy na stół padł cień. Zamiast chwycić kamień, peseta, której używałam, dziobnęła mnie w dłoń.

Tylko nie daj się ponieść, Arden.

– Przestraszyłam cię? – spytała Jean. Podniosłam rękę i pokazałam jej maleńką bańkę krwi.

– Przepraszam. Byłaś szczepiona przeciw tężcowi? Ta peseta wygląda na zardzewiałą.

– Na twoje szczęście, tak. Już nigdy się tak do mnie nie podkradaj.

– Pukałam. Nie słyszałaś?

– Widocznie nie.

– Masz ochotę na lunch? Kady coś tam szykuje. Wyjrzałam przez małe okienko. Nie zobaczyłam nic prócz śniegu.

– Jestem głodna, ale nie na tyle, żeby zakładać długie buty i kurtkę. Zrobię sobie kanapkę.

– Ona jest tutaj. Pomyślałyśmy, że pewnie zostały wam jakieś resztki z imprezy. W brzuchu mi zaburczało. Taki odgłos trudno zignorować, co też rzadko mi się zdarza i może dlatego, mimo swego wzrostu, noszę rozmiar L.

Poprzedniego wieczora sześćdziesiątka ludzi przez cztery godziny bez przerwy jadła, a mimo to coś jeszcze zostało. Kady zastawiła stół jedzeniem – sałatkami, ciastem, chlebem, serem, pastami i napojami. Niczego sobie nie odmówiłyśmy.

– To była świetna impreza – stwierdziła Kady, zanim wgrzyła się w kanapkę; majonez i musztarda wyciekły ze środka, osadzając się w kąciku ust.

– Najlepsza na świecie – potwierdziła Jean i uderzyła w długą szyjkę butelki piwa imbirowego. – My mamy czterech starszych braci, a żaden nie da nam nawet urodzinowego prezentu, a co tu mówić o urzędzeniu przyjęcia.

Małym palcem zeszkrobałam z tortu i podniosłam do ust czerwoną różę. Zlizalam ją.

– Jak przyjdzie wam zostać sierotami i dostać się pod opiekę któregoś z braci – poradziłam – postarajcie się, żeby był to ten, który umie zorganizować imprezę.

– Gdzie on jest? – spytała nagle Jean.

– Pojechał gdzieś skuterem.

11

Skrzywiły się obie, a ja się rozes'mialam. Potem równocześnie zrobiły inną głupią minę, a ja znów parsknęłam śmiechem.

– Powinnyście się zobaczyć – rzekłam.

Dwujajowe bliźniaczki wcale nie były do siebie podobne. Niektórzy ludzie mówili nawet, że przez kasztanowe włosy i jasną cerę to ja i Jean bardziej wyglądamy jak siostry. Jeśli jednak chodzi o zachowanie, Jean i Kady są jak bliźnięta. Ich miny, gesty, wypowiedzi są identyczne. Poruszają się, mówią i oddychają dokładnie tak samo. Może to skutek pięciu lat zonglerki, całych godzin spędzonych na ćwiczeniu precyzyjnych ruchów koniecznych przy podrzucaniu i łapaniu kręgli, lalek, piłek i innych dziwnych przedmiotów, jakich używają podczas swoich popisów. A może jest całkiem odwrotnie: może są tak dobre w zonglowaniu, ponieważ jest w nich wrodzone poczucie jedności. Zsynchronizowanie. Ja działałam w pojedynkę. U artystów to normalne, nieprawdaż?

– Ja tylko raz jechałam skuterem – odezwała się Jean. Kady pokręciła głową: – Za głośno.

– A moim zdaniem to nawet fajne – rzekłam. – Szczególnie ta prędkość...
– Fajne – przerwała mi Jean – to będzie to.
Z kieszeni na pupie wyciągnęła złożoną kartkę papieru i położyła przede mną na stole. Wymieniły z siostrą identyczne spojrzenia – zmarszczyły się dwa czoła, zamknęły dwie buzie.

ZIMOWY FESTIWAL ZIEMI PÓŁNOCNEJ. Doroczny festyn w Pe-nokee był zaznaczony jaskrawym pisakiem i ozdobiony zdjęciem śniegowej rzeźby, która zwyciężyła w zeszłorocznym konkursie.

Wzruszyłam ramionami.

– Stara nuda. Te same co zwykle tłumy, wyścigi narciarskie i kupa samochodów. Co w tym fajnego?

– Przyszedł nam do głowy pomysł – oznajmiła Kady. – I chcemy cię do tego wciągnąć.

– Nie dlatego, żebyśmy cię lubiły – dodała Jean – ale dlatego, że masz własne auto.

Rzuciłam w nią obślizgłą makaronową muszelką.

– Idź jeść do siebie.

Kady nachyliła się. Ręką zgmiotła nagryzioną pełnoziarnistą bułkę.

– Latem ruszymy w trasę. Zaliczymy wszystkie festiwale i kiermasze. My będziemy popisywać się żonglerką, a ty ustawisz stragan ze swoimi rupieciami. Pomyśl, ile pieniędzy zarobisz, jak nie będziesz musiała się dzielić z właścicielami sklepów.

12

Zmarszczyłam brwi.

– I tak dużo zarabiam. Poza tym założę się, że potrzebne będą jakieś zezwolenia czy coś tam.

– Dlatego zaczynamy już teraz – mówiła Kady. – Wszystko będzie jak należy: skontaktujemy się z organizatorami w każdym mieście i złożymy podania. Ty prześlesz teczkę ze zdjęciami swoich wyrobów, a my kasetę z naszego występu. Dostaną referencje i opłacimy wszystko, co trzeba.

– Będziemy podróżować z miasta do miasta – wtrąciła się Jean. – Jak Cyganie. Zmrużyłam oczy.

– Chyba Cyghaanie.

– Taak, Cyghaanie – odparła. Kady prychnęła:

– A co to za akcent?

– Cyghaański – odrzekłam.

– Przestańcie – powiedziała. – Poza tym, że to denerwujące, to jeszcze mogłybyście kogoś urazić.

Odwrociłam się i popatrzyłam na Jean wielkimi oczami.

– I kto tu mówi, że nie mam matki? Jean potaknęła.

– A ze mnie jaka szczęściara. Ja mam dwie.

– No więc co ty na to? – zwróciła się do mnie Kady. Zdjęłam z tortu kolejną różę i zessalam ją z palca.

– Uważam...

– Thaak – przerwała Jean. – Onha uwaha... Kady pstryknęła w siostrę pestką z oliwki.

– Uważam, że to najlepszy pomysł na świecie.

Najadłszy się, pogadałyśmy i ustaliłyśmy szczegóły. Gospodarka tej części Wisconsin opiera się na turystyce i każda najmniejsza dziura stara się wynaleźć powód, by latem, a niekiedy także zimą, urządzić u siebie fetę. Dni Drwala, Dni Górnika, Grzybomania, Festyn Wędrowca. Ja najbardziej lubię Jagodową Bonanzę – trzydniowe święto odbywające się w lipcu u nas, w Penokee.

13

– Pytanie tylko – mówiła Kady – czy powinniśmy przygotować pokaz godzinny czy półgodzinny.

– Dzieciaki nie usiedzą za długo – twierdziła Jean. – Szczególnie jak będzie gorąco.

– Przy nas usiedzą – odparła Kady. – Jesteśmy dobre. A im dłuższe przedstawienie, tym wyższa zapłata.

– Kto zajmuje się organizacją i opłaceniem przedstawień? – spytałam. – Izba Handlu? Pewnie niektóre z tych miasteczek są za małe na taką instytucję.

Jean pokręciła głową.

– Już się zniechęciłam. Za dużo szczegółów. Nigdy tego nie załatwimy. A nawet jak nam się uda, okaże się, że nie zatrudniają nieletnich.

– Ależ z ciebie pesymistka – stwierdziła Kady.
– Nieprawda.
– Nieprawda? – zwróciła się do mnie.
Nasza przyjaźń nie przetrwałaby tyle lat, gdybym stawała po stronie którejś' z nich. Uśmiechnęłam się tylko.
– No? – upierała się Kady. – Nie jest pesymistka? Zadzwoił telefon i wybawił mnie z kłopotu.
– Pesymistka czy nie – odparłam wstając – jest twoją siostrą bliźniaczką.
– Dom Cyghaanów – syknęłam do słuchawki. Jean roześmiała się; Kady przewróciła oczami. Na linii cisza, oddech. A potem: – Arden? Facet. Starszy. Oszołomiony.
– Przepraszam. Tak, tu Arden.
– Mówi Al Walker.
Al-gliniarz. Znów chciał mnie pocałować?
– Arden, jesteś sama? Umiesz prowadzić? Nieważne, przyjadę po ciebie.
– Dlaczego? Co się stało?
– Arden... mam złą wiadomość. Scott... rzeka... jego skuter... był wypadek.

14

6

Scott nie zginął, ale minęło sporo czasu, nim Al zdołał to wydukać. Plując do słuchawki, bełkocząc coś bez sensu, kompetentny policjant histeryzował z powodu wypadku przyjaciela. Rozłączyłam się i zwróciłam do Kady i Jean.

– Mój brat jest ranny. Leży w szpitalu w Ashland. Chyba jest z nim źle.
Kręciłam się tu i tam, próbując znaleźć klucze, czapkę, buty. Wpadłam na Jean, która zaczęła sprzątać ze stołu. Kawałki marchewki przeleciały przez całą kuchnię.

Kady zdjęła moje klucze z haczyka przy telefonie.

– Ja poprowadzę, a ty się zamartwiaj.

Scott znajdował się na izbie przyjęć. Wpadłam przez szparę między nakrochmalonymi zasłonkami, spodziewając się bandaży, rurek, krwi, lekarzy. Mój brat był sam, leżał pod stertą koców. Ręce trzymał wyciągnięte w powietrzu, a w nich wymięte czasopismo. „Życie na Sportowo”, stary numer z kostiumami kąpielowymi.

Usiadłam na łóżku, a ono się zakołysało. Zerknął jeszcze raz na gazetę, a potem opuścił ją na brzuch. Nad lewą brwią miał jedyny maleńki opatrunek.

– Jak się czujesz? Co się stało?

– Przywiozłaś mi ubrania?

– Nie. A miałam?

W jego gardle zaczęło formować się warknięcie.

– Al ci nie powiedział?

– Ledwo pamiętał, jak się nazywa. Scott pokiwał głową.

– Pewnie wciąż był przerażony.

– To mnie przeraził. Wpadł w histerię. Jak go słuchałam, to myślałam, że już po tobie.

– Prawie tak było.

Wzięłam do ręki czasopismo i przerzuciłam jego kartki, wprawiając w ruch modelki.

Ani jednej w moim rozmiarze.

– Omal nie zginałeś, ale wciąż masz siłę gapić się na laski. Rzuciłam gazetę, a ona ześlizgnęła się z łóżka na podłogę.

– Co się stało, Scott?

15

Do ciasnego pomieszczenia weszła pielęgniarka. Stanęłam z boku, gdy wykonywała swoją pracę.

– Wygląda nieźle! – rzekła w końcu. – Temperatura ciała się podnosi. Wszystkie inne badania w normie. Za godzinę czy dwie pewnie pana stąd wypuścimy.

Zwróciła się do mnie.

– Jesteś siostrą? Siostrą. Potaknęłam.

– Masz brata szczęściarza.

Znów słabe warknięcie, a potem: – Ma brata idiotę.

Pielęgniarka poklepała Scotta po ramieniu i wyszła. Żadne z nas się nie odezwało.

Dochodziły nas głosy z poczekalni.

Scott miał dwadzieścia dziewięć lat i zaczynał łysieć. Różowa łata wielkości dłoni powiększyła jego czoło. Jest ode mnie tylko o parę centymetrów wyższy, tak

samo mocno zbudowany i ma te same niewiarygodnie długie, żylaste palce. Idealne dla artysty. Idealne dla mechanika. Idealne dla chirurga, którym próbował zostać,

gdy zrewolucjonizował swoje życie, by się mną zająć.

Jego ręka przeczeszała włosy okalające różową łysinę, po czym opadła na łóżko. Chwyciłam ją i ścisnęłam.

– Ugotuję coś dzisiaj. Nie dowierzał. – Resztki?

– Cokolwiek. Co chcesz?

Zjechał w dół łóżka i podciągnął koce pod brodę. Czerwona twarz i kępki ciemnych włosów pośród szpitalnej bieli.

– Chcę odzyskać mój skuter.

7

Włówił, że jego skuter leży na dnie rzeki Goebic jakieś siedem kilometrów na północ od tamy. Goebic jest głęboka, wartka i przepływa przez Peno-kee w drodze do znajdującego się sto kilometrów na północ jeziora Superior.

– Spotkałem tamtych chłopaków w gospodzie Winkera. Wypiliśmy kilka piw i postanowiliśmy wracać do miasta.

– Byłeś pijany? Przecież ty nie pijesz.

– Nie? – warknął.

----- 16-----

Wstałam i założyłam ręce na piersi.

– No więc co się stało?

– Jeden z chłopaków chciał wrócić do miasta rzeką. To znacznie bliżej niż leśnym szlakiem.

– Ale niebezpiecznie – wtrąciłam.

– Pewnie. Zamknął oczy.

– Jechaliśmy jeden za drugim. Al na końcu, ja zaraz przed nim. Lód jest dość gruby, ale nurt pod nim bardzo silny. Patrzyłem na chłopaków z przodu, naprawdę zasuwali. Ja też chciałem, ale, rany, mam skuter dopiero dwa tygodnie i nie byłem pewien, co w ogóle robię. Czuję też w głowie te wszystkie piwa, więc stwierdziłem, że lepiej nie wariować. Oni dosłownie frunęli. – Podciągnął kolana,

tworząc hamak z białej flaneli. – Nagle pojawiła się ta dziura w lodzie. Przez głupotę i ostrożność jechałem za wolno, żeby ją przeskoczyć. Al minął mnie i przeleciał nad przerębłą. Spojrzałem na niego, spojrzałem na dziurę, a potem to już tylko poczułem, jak zsuwam się do wody.

Usiadłam i wzięłam go za rękę.

Opowiadał dalej. Chwycił za krawędź lodu – uderzenie pozbawiło go tchu, ale też zrzuciło z maszyny, która zakołysała się jeszcze i poszła pod wodę. Wisiał zaczepiony na krawędzi, patrząc, jak tafla lodu pęka dalej, i czując, jak gruby kombinezon bulgocze i unosi go na wodzie niczym boję.

– Lód łamał się i odpadał, jak tylko się poruszyłem – ciągnął Scott. – Nie mogłem się wydźwignąć.

Jego dłonie zaciskały się, palce kuliły, powieki zamykały, gdy odtwarzał w pamięci swoje zmagania.

– Al obejrzał się i zobaczył, co się stało. Zawrócił, z zestawu awaryjnego wyjął linę i wyciągnął mnie na lód. Potem wysupłał mnie z mokrego kombinezonu, wrzucił na swój skuter i zawiózł na autostradę. Zatrzymał jakiś samochód i tak tu trafiłem.

Scott otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Al zachowywał się jak wariat... skakał po drodze, krzyczał, wymachiwał swoją odznaką, żeby ktoś się zatrzymał...

– A więc nie byłeś ranny? To przez wyziębienie się tu znalazłeś?

– Nic mi nie jest. Otarłem się o śmierć, ale wystarczy kilka ciepłych koców, żeby mnie z tego wyciągnąć.

On prawie zamarzł, ale to ja byłam teraz jak oniemiała. Woda w zimie zabija. Gdyby uciekł albo nie wy dostał się na czas z wody, albo gdyby ??? wciągnął go pod lód, albo gdyby Al się nie obejrzał...

I-o < 3|_____ 17 _____

U ?? ?- " -

To gdybanie było przerażające.

– Tak jak powiedziałaś, było prawie po mnie. Mój brat, zde gustowany, pokręcił głową.

– Następnym razem _ powiedział – dodam więcej gazu. Następnym razem?

Żadnych telefonów. Nie chcę z nikim rozmawiać.

To zrozumiałe. Jak ktoś się znajdzie tak blisko śmierci, to pewnie potrzebuje trochę czasu, żeby poskładać myśli.

Aparat był rozgrzany do czerwoności, gdy wróciliśmy do domu ze szpitala, a ja miałam dość odpowiadania i wyjaśniania, więc nagrałam na sekretarce nową wiadomość:

Dzięki, że dzwonicz, Scott czuje się dobrze. Zostaw wiadomość, a my oddzwonimy, jak się rozgrzejemy.

– A może trzeba było powiedzieć „jak odtajemy”?

Scott nie dostrzegł w tym nic zabawnego. Spojrzał na mnie tylko i się skrzywił. Podniósł rękę i machnął w moją stronę, jakby opędzał się od muchy. Przymknij się,

Arden.

Przez cały wieczór odsłuchiwałam wiadomości. Dzwonili jego znajomi z poradami, jak wyciągnąć skuter, moi znajomi z błaganiem o informacje, dzwonił szef Scotta i mówił, żeby mój brat wziął sobie kilka dni wolnego. Mama bliźniaczek, pani Drummond, dzwoniła i oferowała jedzenie. Zrobiłam za dużo lasagne. Nie chcę wam przeszkadzać, więc Jean tylko wpadnie i zostawi ją pod drzwiami.

Około dziesiątej telefon zamilkł. Zmywałam w kuchni, gdy usłyszałam, jak mój brat do kogoś dzwoni. Automatycznie się wyłączyłam. Przez te wszystkie lata nauczyliśmy się siebie nawzajem nie ograniczać. W pewnym sensie dwoje mieszkających razem ludzi ma zapewnione mniej prywatności niż wielka rodzina taka jak Drummondów, gdzie dzieje się tak wiele, że niektóre rzeczy pozostają niezauważone.

Wrzucałam właśnie sałatkę z ziemniaków do śmietnika, gdy zjawił się Scott.

– Wychodzę – oznajmił.

– Tak późno?

– Tak. Tak późno.

18

– Dokąd?

Znow się skrzywił i znow machnął ręką.

– Tylko na godzinę. Idź spać, dobrze? Albo poucz się. Czy w poniedziałki nie masz zawsze sprawdzianu z biologii?

– Wszystko umiem. Synteza białka to łatwizna. Gdzie idziesz?

Popatrzył na mnie ostro. Rzadko zadawaliśmy sobie to pytanie. Zwykle bez niego informowaliśmy się o wszystkim, lecz rzadko o taką informację prosiliśmy. Zmieniłam pytanie.

– Dlaczego wychodzisz, Scott? Powinieneś iść do łóżka. Zostać w domu i się grzać, tak mówiła pielęgniarka.

Jego twarz złagodniała i rozluźniła się. Przygryzał wargę. Widziałam, że z czymś się zmagają.

– Mam się spotkać z moją dziewczyną. Z dziewczyną? O kurczę.

– Ze co? Od kiedy to masz dziewczynę?

Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie i uradowany moim zaskoczeniem.

– Była na imprezie, Arden. Przedstawiłem was sobie.

Z zamkniętymi oczami przebiegłam po twarzach wczorajszych gości.

– Wysoka blondynka w granatowym swetrze. To musiała być ona, bo śmiała się z twoich samochodowych dowcipów.

Potaknął.

– Imię i nazwisko?

– Claire Poole.

– Wiek? Zawód?

– Trzeba było zapamiętać, kiedy miałaś okazję. Wrócę przed północą.

Założył kurtkę, ale nie zapiął zamka. Nie wziął rękawiczek ani czapki.

– Nie zaziębisz się? – spytałam.

Obrócił na palcu kółko z kluczami i otworzył drzwi.

– Przed północą – powtórzył.

Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, gdy usłyszałam, jak klnie i jak coś uderza o drzwi, i jak metal i ludzkie ciało lądują na betonowych stopniach.

Doleciałam tam akurat, gdy podnosił ze śniegu przy werandzie przykrytą formę do pieczenia. Lasagne.

19

9

Nie wiem, czy Scott wrócił przed północą, ale był w domu, gdy nazajutrz rano wychodziłam do szkoły. Nie przebrał się i gdybym nie widziała, jak wychodził, pomyślałabym, że w ogóle nie ruszał się z fotela w pokoju dziennym. Zadumane spojrzenie, potargane włosy, wygniecione ubranie. To musi być miłość.

– Randka się udała? – spytałam.

– Doskonale – wyszeptał.

– Idziesz do pracy? Pokręcił głową.

– Chcesz koc? Mam podkręcić ogrzewanie? Znów ten sam gest.

– Wracam zaraz po lekcjach. Przywołał na twarz uśmiech.

– Jak chcesz. Do zobaczenia przy kolacji.

Spodziewałam się, że w szkole przytłoczy mnie zainteresowanie wypadkiem mojego brata. Ostatecznie było to wydarzenie z gatunku tych, które ludzie z miasteczka uwielbiają: niemal śmiertelny wypadek na śnieżnym skuterze.

Okazało się jednak przeterminowaną sensacją. Podczas krótkiego spaceru przez parking i korytarze do mojej szafki w szatni usłyszałam tylko:

– Arden, uczyłaś się bioli?

– Widziałaś moje nowe buty?

– Rany, zasnęłam. Pogadamy później.

– Przekaż to Ryan, dobra?

– To nowa koszula?

Nie, to nie była nowa koszula. Właściwie to kupiłam ją już jako starą. Za trzy i pół dolara w lumpeksie w Duluth. Perłowe zatrzaski i wykończone na czarno szwy kontrastujące z czerwoną flanelą. No i oczywiście ogromny napis „Monie” wyhaftowany nad kieszenią na piersi.

Sprawdzian z biologii na czwartą godzinie to był pryszcz, ale na innych przedmiotach nieźle się napociłam. Napisałam klasówkę przed czasem, a resztę lekcji poświęciłam projektowaniu ramek. Nuda szkoły stała się inspiracją dla kilku moich najlepszych dzieł.

Krótko przed lunchem pani Richter rozdała klasówki z poprzedniego tygodnia.

Biola była moim ulubionym przedmiotem, więc nie martwiłam się za bardzo. No i proszę – wielka niebieska szóstka.

20

– Bardzo dobrze, Arden – pochwaliła nauczycielka.

– Tak – odparłam. – Rodzice będą tacy zadowoleni. Kobieta przystanęła, wzruszyła ramionami i nie odezwała się. Przez resztę dnia już nigdzie nie zobaczyłam szóstki. Nic, tylko masa

obciążających mózg informacji. A już prawdziwe bagno przytrafiło mi się pod koniec lekcji, podczas historii powszechnej, gdy pani Penny oddawała sprawdziany.

Dwójka z plusem. Jęknęłam, a nauczycielka przerwała swój zdecydowany marsz przez klasę i rozdawanie kartek z testami.

– Tak, Arden?

– Dwójka z plusem – powiedziałam. – Rodzice mnie zabiją. Popatrzyła niewzruszona.

– To stary dowcip, Arden. Ale masz rację, zabiliby cię, gdyby żyli.

Oho, twarda sztuka z tej pani Penny. Jak tylko zabrzączał dzwonek, wypadłam z klasy z dwójką plus wepchniętą do torby między książki.

Scott rzadko marudził mi o ocenach. Chwalił za dobre, a wzruszał ramionami nad gorszymi.

– Sama wie, co robi – powiedział kiedyś do nauczycielki na wywiadówce. –

Podciągnie się, gdy będzie gotowa.

Gotowa czy nie, ta ocena z historii była niższa, niżbym chciała. Nie zamierzałam skończyć w pobliskim college'u. Moim przeznaczeniem była szkoła w Minneapolis albo gdzieś na Wschodzie. Średnia ocen była bardzo ważna. Była moim biletem na wyjazd z miasteczka.

– Przyłóż się, Arden – przykazałam sobie. – Nie zejdziesz dziś do warsztatu, dopóki się nie pouczysz.

m

Scott nadal tkwił w fotelu. Zimą szybko robi się ciemno i nie zauważyłam go, dopóki nie zapaliłam światła.

– O, cześć! – zawołałam.

Żyje czy nie żyje? Oczywiście miał zamknięte. Przez chwilę zrobiło mi się gorąco od myśli o wstrząsie pourazowym, może zatrzymaniu akcji serca.

Powoli otworzył oczy, co było niemal równie przerażające, jak odkrycie jego nieruchomego ciała w ciemności.

- Wystraszyłeś mnie!
- Siedzeniem tutaj?
- Tak, siedzeniem tutaj. Nie ruszałeś się przez cały dzień?

21

- Do łazienki. Do kuchni. Zjadłem kanapkę. Jego oczy się zamknęły. Potem wyszeptał:

- Arden, gdybym umarł, to dasz sobie jakoś radę, prawda?
- Nie, nie dam sobie rady. To by było... to by było okropne, Scott. Co ty za brednie wygadujesz!

Kciukami stukał o boki fotela i rozglądał się dokoła.

- Chodzi mi o to, że mnie tak naprawdę nie potrzebujesz. Wszystkie sprawy są uporządkowane już od lat. Chryste, byłem pewnie jedynym na świecie dwudziestolatkiem, który sporządził testament. Mama i tata zostawili mnóstwo pieniędzy, Drummondowie w razie potrzeby zawsze ci pomogą, prawie skończyłaś szkołę.

- Nawet tak nie mów, Scott.

- Gdyby Al mnie nie wyciągnął...

- Ale cię wyciągnął. Nic ci się nie stało, Scott. Niewiele brakowało, ale tak naprawdę nic się nie stało. Nie martw się. Wszystko jest w porządku.

Potarł dłonią czoło. Jego wargi poruszyły się.

- Słucham? - spytałam.

Machnął ręką. Poszłam do kuchni, żeby coś przegryźć. Potem, gdy się nad tym zastanawiałam, uświadomiłam sobie, że coś jednak wtedy powiedział.

Ledwo szepnął, ale rzucił: - Wszystko się zmieniło.

Gdy razem mieszka tyko dwoje ludzi, atmosfera może się zrobić dość ciężka, trzeba więc nauczyć się zachowywać wobec siebie pewien dystans. Dobrym sposobem jest zamykanie drzwi od własnego pokoju. Zamknęłam się u siebie i rzuciłam na zadanie domowe. Gdy potężne burczenie w brzuchu godzinę później wyгнаło mnie z pokoju, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, był Scott, wciąż skulony w fotelu, dumający w ciemnym pokoju. Ledwo uniósł dłoń, gdy weszłam.

Rozchmurz się już, pomyślałam. A na głos rzuciłam: - Zamówimy pizzę?

Znów od niechcienia machnął ręką, a ja musiałam chyba prychnąć albo syknąć, albo wydać jakiś jeszcze inny dźwięk, bo podniósł na mnie wzrok i rzekł: - Odczep się.

----- 22 -----

Powietrza! Pochłonawszy większość z tego, co zostało po moich urodzinach, zeszałam do warsztatu. Sklep pamiątkarski z Duluth zamówił kilka lusterek i puzerek na kolczyki, a ja byłam strasznie do tyłu. Cięłam i kleiłam drewno, dopóki kurz i opary kleju omal mnie nie otumaniły. O wpół do jedenastej, gdy zabrałam się wreszcie za sprząatanie, usłyszałam walenie i rumor, i głosy dochodzące ze znajdującego się nade mną garażu. Miałam nadzieję, że nie zabawia w ten sposób swojej dziewczyny. Oboje mieliśmy trochę lepsze manieri.

W garażu był Scott i jeden z jego kumpli z pracy. Reuben przywitał się ze mną.

- Ejże, Arden, ty jesteś przecież artystką, nie? Czy to nie wygląda jak jakaś fikuśna nowoczesna rzeźba?

Pogruchotana kupa metalu i plastiku leżała na posadzce w miejscu, gdzie ześlizgnęła się z lawety. Skuter śnieżny mojego brata podniesiony z dna rzeki.

- Jasne, Reuben. W Minneapolis pewnie można by za to dostać parę tysięcy, gdyby odpowiednio zatytułować.

Pożartowaliśmy trochę na temat tytułów, podczas gdy Scott poszturchiwał i wyciągał różne części maszyny. Na koniec kopnął ją i zaklął.

- Napijesz się kakao? - spytałam Reubena; któreś z nas przecież musiało być miłe.

- Nie. Już późno. Muszę lecieć do domu.

Z kieszeni kurtki wyciągnął rękawice i trzepnął nimi o ramię Scotta.

- Jak patrzysz na tę kupę złomu, to pewnie myślisz, jakie masz szczęście, co, Scott? Po dniu bujania się na dnach rzeki ciekawe, jak ty byś wyglądał.

Scott uśmiechnął się.

- Też się nad tym zastanawiałem.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął portfel, a z niego kilka banknotów.

- Na pewno nie zapłacą ci za te nadgodziny, Reuben. Masz tu coś, z czego rtmie będziesz musiał się spowiadać urzędowi skarbowemu.

- Zaczekaj tylko, aż zobaczysz papiery z ubezpieczalni. Z samego ubezpieczenia

od skutków wypadku dostaniesz ponad tysiąc.

Scott pokiwał głową, a mnie szczęka opadła.

– Co? – spytałam.

Reubena rozbawiło moje zdziwienie.

– Rany, pewnie! Na naprawę dostanie jakieś półtora patola. – Wetknął pieniądze z powrotem Scottowi. – Dostanę swoją działkę, Scotty.

23

Nie musisz dawać mi napiwków. Ale możesz coś dla mnie zrobić... Bardzo chciałbym zobaczyć twój wóz. Ponoć jesienią zamontowałeś w nim nowe siedzenia? Scott uśmiechnął się od ucha do ucha, a zły nastrój prysł. Poprowadził Reubena w głąb garażu, do błękitnie okrytego kopca. Scott chwycił za płachtę i jednym mistrzowskim ruchem odkrył swoją dumę i radość, swój skarb, swą kochankę i powód,

dla którego ten dwuosobowy dom musiał mieć garaż na cztery samochody:

pieczołowicie odrestaurowanego plymo-utha barracudę rocznik 1970.

Nie podzielałam pasji brata. On widział motoryzacyjną doskonałość. Ja dostrzegałam jedynie niski, szeroki zielony samochód. Zaczął swoją śpiewkę: silnik... skrzynia biegów... alufelgi...

Słyszałam to już nie raz, poza tym zmarzłam trochę. Pora wracać do kuchni.

– Czy ubezpieczenie rzeczywiście pokryje koszty twojego wypadku? – spytałam go później, gdy Reuben poszedł, a my oboje rozgrzewaliśmy się w kuchni, pijąc kakao.

Natychmiast pożałowałam, że go o to spytałam. Dobry humor, jaki towarzyszył popisaniu się samochodem, ulotnił się, jak tylko pomyślał o skuterze.

– Tak, rzeczywiście. Ubezpieczyłem się także od następstw własnej głupoty.

Te auto-tortury stawały się już męczące, a ja znów musiałam chyba wydać z siebie jakiś dźwięk. Popatrzył na mnie ostro.

– Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, Arden. To był kosztowny, głupi, przerażający błąd.

Znów zapadł się w fotelu, który stał się jego ulubionym miejscem.

– Fatalny błąd – wyszeptał. – Pozwól więc, że trochę się na siebie powściekam.

Ja nie miałam nic więcej do powiedzenia, on nie miał ochoty na rozmowę, a żadne z nas nie chciało wycofać się pierwsze, więc dzięki Bogu, że zadzwonił telefon. Zadzwonił, ja odebrałam, ona powiedziała cześć. Zastanawiałam się, czy nie wykorzystać jego otępienia i nie porozmawiać z nią osobiście. Świerzbilo mnie, żeby zadać kilka pytań – o wiek, zawód, zamiary – ale będąc istotą inteligentną, stwierdziłam, że to go pogrąży jeszcze bardziej.

– Ależ skąd, nie jest za późno – odparłam słodko. – Chwileczkę.

24

12

Przez kilka następnych dni żerowałam na skuterze. Scott i towarzystwo ubezpieczeniowe widziało w nim tylko stratę, Reuben widział bezsensowną rzeźbę, a ja materiał dla Arden Art. Doznałam natchnienia: zdobędę nowe rynki zbytu poprzez dotarcie do męskiej części populacji dzięki serii ramek do luster z powyginanego metalu.

Podczas gdy rozbierałam na części pierwsze starą zabawkę, Scott zaczął usilnie kombinować, jak kupić sobie nową. Najwidoczniej wymagało to skrupulatnego planowania i długotrwałych poszukiwań. Cztery dni minęły od jego zamoczenia się w Goebic, a on wciąż jeszcze nie wrócił do pracy. Zdołał jednakże dojść do najbliższego sklepu i zakupić stertę fachowych czasopism.

– Tym razem chcę kupić właściwą maszynę – oznajmił, gdy spotkaliśmy się w kuchni w czwartek wieczorem.

Otworzyłam drzwi lodówki i złapałam za pojemnik z resztkami z przyjęcia. Jeszcze jeden gotowy posiłek? Zdjęłam pokrywkę i powąchałam. Chyba tak.

– Tym razem chcę mocy. Chcę prędkości. Chcę... Wciągnęłam powietrze nosem.

– Rany, co to za dziwny zapach? O kurczę, to... to... testosteron! Zrobił głupią minę, po czym otworzył lodówkę i wyciągnął także dla siebie pudełko z resztkami. Siedzieliśmy przy stole z łyżkami nad plastikowymi miskami i jedliśmy kolację.

– Jak nie wrócisz do pracy, Scott, to nie będzie cię stać na nowe zabawki.

– Mam jeszcze mnóstwo zaległego urlopu. Ale pewnie ucieszysz się wiedząc, że jutro idę na jeden dzień.

– Tylko jeden dzień?

– Wyatt Pierce ma przyprzeprawić swój samochód, a nikomu innemu nie pozwala go

dotknąć.

– Tego przeklętego mercedesa? No cóż, jesteś specjalistą od nietypowych modeli. Dostajesz chyba dodatek do pensji, gdy'ktoś domaga się, żebyś to ty robił jego wóz?

– Nie, i zaczynam już mieć tego dość. Powinienem otworzyć własny warsztat. W Lorenzo Motors szybko by poznali moją wartość.

– Czemu tego nie zrobisz? Otwórz zakład tu, w mieście, to nie będziesz musiał dojeżdżać codziennie prawie sto kilometrów.

25

– „Autonaprawa u Scotta” w Penokee, Wisconsin... I oto spełniło się marzenie. Telefon. Zakładając, że to jeden z moich licznych wielbicieli, ruszyłam się, żeby odebrać, ale on mnie powstrzymał.

– Nie ma nas w domu? – spytałam.

Pokręcił głową, zczekał, aż telefon zadzwoni trzy razy, po czym zmiękł i sam odebrał.

– Tak? O, cześć.

Nawet po zdawkowych odpowiedziach szybko domyśliłam się, że dzwoni Claire.

Powinna była zachować się przyzwoicie i pójść do innego pokoju, ale obserwowanie go i słuchanie było zbyt interesujące. Poza tym, gdyby potrzebował prywatności, mógł przejść do innego aparatu. Stwierdziłam, że może chce, żebym słuchała – może postanowił dać mi lekcję ze związków międzyludzkich.

Zerkałam na niego kątem oka, przeglądając czasopisma. Reklamy pełne były szczęśliwych ludzi odzianych w grube kombinezony. Mój brat nie wyglądał najszczęśliwiej. Jego twarz była w tej chwili bardzo interesująca. Zobaczyłam na niej zmartwienie i chyba jeszcze jakieś uczucie. Może miłość?

Gdy się rozłączył, stał nieruchomo jak manekin. Potem zaczął miarowo stukać palcami w blat. Zawtórowałam mu przy stole, lecz on albo nie zauważył, albo nic sobie z tego nie robił.

– Hm – odezwałam się. – Czy powinnam założyć, że dziś wieczorem wychodzisz?

Zostawił mnie, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć.

13

Nie wyszedł, lecz spędził noc w swoim pokoju. A nazajutrz rano, po raz pierwszy od dnia, gdy wpadł do skutej lodem rzeki, poszedł do pracy.

Nim dożyłam popołudnia, sama poczułam się, jakbym się zanurzyła w lodowatej wodzie. W szkole Jean oznajmiła mi, że nici z naszych kinowych planów, bo wszyscy Drummondowie jadą do Eau Claire. Coś tam ze szkolną przyjaciółką jej matki i jakimś kryzysem.

– To po co tam cała wasza rodzina? – spytałam.

– Mama będzie ją trzymać za rękę, a my ruszymy na zakupy. Tata zabiera nas prosto ze szkoły, więc nie musisz nas podwozić.

26

Pan Drummond był dyrektorem podstawówki po drugiej stronie ulicy. Bliźniaczej zwykle przyjeżdżały do szkoły z nim, a wracały ze mną. Jean wpakowała swoją torebkę z drugim śniadaniem na moją tacę i poszła sobie. Jej klasa miała przerwę wcześniej, więc przyszła tylko przekazać mi wiadomość.

Po jej odejściu rozejrzałam się po stołówce, zastanawiając się, kto w tym wielkim zgromadzeniu sześciu setek uczniów może ofiarować mi klucz (jo dobrej zabawy- Minęłam pierwszaków i drugoklasistów (aż tak zdesperowana nie byłam)') popatrzyłam na plecy wychodzących uczniów klasy ostatniej, po czym wzięłam tacę i ruszyłam do stolika, gdzie siedzieli ludzie z mojego rocznika. Prym wiodła Leesa Coltrane. Jak ktoś nie lubił nie kończącej się paplaniny o ciuchach, to Leesa nie stanowiła raczej wymarzonego towarzystwa, ale zdarzało się jej urządzać imprezy. Rozmowa •-. buty, ostatni katalog Delii, wredny system oceniania pani Penny – nie przycichła nawet na moment, gdy się zjawiłam. Choć Cody Rock zdołał powstrzymać się na chwilę od głaskania półdługich włosów dziewczyny z drugiej klasy.

Nie mogę powiedzieć, bym czuła się szczególnie związana z kimkolwiek z klasy. Większo- ludzi to chyba tylko kumple z imprez. Sto sześćdziesiąt siedem osób z tego samego rocznika i większość z nich znałam przez caje życie; mimo to, nie licząc Jean i Kady, nie ma nikogo, o kim odruchowo pomyślałabym jako o przyjacielu. Jak do tego doszło? Jak można przeżyć siedemnaście lat i mieć tak niewiele dobrych znajomych? w ????? kryzysu kto potrzyma mnie za rękę?

""-? Rany Arden jak ty się dziwnie ubierasz. – Leesa uśmiechnęła się i Ugryzła marchewkę. – Skąd wytrzasnęłaś tę koszulę?

Miałam na sobie jeden z moich ulubionych ciuchów – miał barwę kiwi i Wcześniej należał do niejakiego „Franza”.

–*– Z Duluth.

*-?» Z hipermarketu?

~^ Z lumpeksu,

^krzywiła się, a małe pomarańczowy wiórek wyskoczył jej z ust i przykleił się do wargi-

"~- Z lumpeksu? -- powtórzyła Tiffanee. – Byłam tam po kostium na Halloween. Obsługiwał taki dziwny facet. Włosy miał takie, jakby nie czesał się przynajmniej od roku, i cuchnął.

Wszyscy spojrzeli na mnie i na moją koszulę, jakbyśmy też śmierdziały- Ale nie śmierdziałyśmy: ani ja, ani moja bluza. Jestem czysta, a do prania używam bezpiecznego odplamiacza.

27

– Podoba mi się – rzekł Cody. – Może tylko powinnaś' rozpiąć kilka guzików. Co za dowcip! Podczas gdy inni się s'miali, Cody odwrócił się do swojej dziewczyny i pocałował ją szybko, by przypieczętować udany żart.

Rozmowa zesza z mojego tematu, a ja dowiedziałam się, że w ten weekend życie wszystkich znajomych koncentruje się albo wokół nauki, albo meczu hokeja w Superior. Zero imprez.

Piątkowy wieczór w samotności. Cóż, mogłabym popracować albo się pouczyć, prawda?

Gdy wróciłam, w domu było ciemno i zimno, co świetnie pasowało do mojego nastroju.

Po pierwsze trzeba było pomyśleć o jedzeniu. Gdy otwierałam lodówkę, zadzwonił telefon, a moja dusza natychmiast się rozradowała. Wygrałam na loterii? Ktoś robił imprezę? Drummondowie zmienili plany i zostali w domu?

Dzwonił mój brat.

– Cześć, siostra, musisz coś dla mnie zrobić.

– Dopiero co weszłam do domu. Mogę najpierw coś zjeść?

– Nie jęcz, to ci zajmie najwyżej minutę. Niezłe się tu pocę nad zaworami tego mercedesa. Byłem w domu na lunchu i rzuciłem pytanie do jednego z chłopaków z mech-listy. Zobacz, czy nie ma odpowiedzi.

Mech-lista oznaczała internetową grupę mechaników samochodowych, którzy za pośrednictwem sieci wymieniali informacje. Nie mam nic przeciwko postępowi, ale też nie przepadam za komputerem. Trochę się nim bawię, ale nie tyle, co mój brat.

Przez jakiś czas kontaktowałam się przez internet z innymi rękodzielniczkami, ale miałam dość wszystkich tych dygresji podczas dyskusji – zbyt wiele pań w średnim wieku miało obsesję na punkcie swoich wypieków i ogrodów. Scott jednakowoż uwielbiał to, co odkrył w sieci, zwłaszcza zaś samo oprzyrządowanie. Co roku kupował szybszy komputer. Mówię na nie maszyny o włochatych torsach. Pasują do ludzi pokroju mojego brata.

Poszłam do jego pokoju i weszłam do sieci.

– Jakie masz hasło?

Odpowiedział mi dopiero po chwili i okazało się, że jego zawahanie było jak najbardziej uzasadnione, bo prychnęłam, kiedy się wreszcie odezwał.

– Wielki Wkręt?

– Przecież jestem mechanikiem.

– Jasne.

28

Weszłam dalej i przejrzałam jego e-maile.

– O kurczę, ale tego masz. Mechanicy to chyba ogromne gaduły.

– Poszukaj czegoś od Jaspera, prawdopodobnie pod nagłówkiem „300S Coupe”.

– Mam.

Wydawał śmieszne krótkie odgłosy, gdy czytałam, jak mi się zdawało, zaszyfrowaną wiadomość. Dla niego jednak musiało to brzmieć całkiem sensownie, bo podziękował mi radośnie.

– Dobre wieści? – spytałam.

– Jest jeszcze jakaś nadzieja dla tego przeklętego grata – odparł. – Pewnie wrócę późno i zaraz pójdę do Claire. Masz jakieś plany?

– Nic szczególnego.

– Jutro rano wstaję wcześnie, więc możemy się nie zobaczyć. Chyba znalazłem skuter, jakiego mi trzeba. W Minneapolis.

– Dlaczego w Minneapolis? Przecież taki sklep można znaleźć na każdym większym skrzyżowaniu.

– Większy wybór, niższe ceny. Poza tym tutaj każdy sprzedawca wie, jak straciłem poprzedni skuter. Mam już trochę dość tych żartów.

– Co mówią?

– Coś w stylu: „Jak dla ciebie, Scotty, dorzucimy jeszcze kąpielówki”. To denerwujące i rozprasające. Ja chcę pogadać o maszynach, a im tylko żarty w głowach.

Poważna sprawa – kupno takiej dużej zabawki...

Poważna i skomplikowana, jak sędzę. Wymagała aż czterech wyjazdów w ciągu trzech tygodni. Musiał pochodzić po sklepach, potargować się, złożyć zamówienie, dobrać akcesoria i wyposażenie, a potem nadszedł dzień chwały w życiu mojego brata – pojechał odebrać wymarzoną maszynę. Cztery wycieczki, a mnie nie zaprosił na ani jedną.

– Wrócę na kolację – obieścił, wyjeżdżając owego chwalebego dnia. – Jest piątek. Zaszalejmy w weekend i zjedzmy porządną kolację.

– Porządną kolację, którą ja przygotuję?

– Przywiozę jakieś produkty. Mogłabyś zacząć robić kurczaka, jak wrócisz ze szkoły.

– Skoro mamy zjeść coś porządnego, może zrobimy to w towarzystwie? Mógłbyś zaprosić Claire.

Nie był zachwycony.

– Jedzie z tobą do Minneapolis? Kiedy będę mogła ją poznać? Zbył moje pytania, tak jak zawsze zbywał zainteresowanie swoimi dziewczynami. W ostatnich tygodniach stałam się śmiała i wypytywałam

29

o nią przy każdej okazji. Skoro on może być taki tajemniczy, to ja równie dobrze mogę być namolna. Raz znużyłam go tak, że zdradził mi w końcu jej wiek: trzydzieści trzy lata. Starsza kobieta.

Ciekawe, czy ona też wyciągała z niego informacje o mnie?

Przyglądałam się, jak nalewa sobie kawę do termosu. Czemu by nie os'mielić się zapytać o to, co tak bardzo chciałabym wiedzieć?

– Kochasz ją? – spytałam.

Wylał gorącą kawę na rękę. Nie zaklął, nie zaczął zrzędzić. Jakby nigdy nic, opłukał dłoń, wytarł i znów zaczął lać parujący ciemny płyn. Czekałam.

Wiedziałam, że mnie słyszał.

– Nie – odparł w końcu. – Nie kocham jej.

Scott mówił wyraźnie i pewnie, ale potem, gdy rozpamiętywałam wszystko, co powiedział w tych ostatnich dniach, stwierdziłam, że było coś dziwnego w sposobie, w jaki się odezwał. Powiedział wtedy, że jej nie kocha, lecz moim zdaniem chodziło raczej o to, że wolałby jej nie kochać.

Pozwoliłam mu odjechać, nie zadając więcej pytań na temat życia osobistego. Bardzo chciałam z nim pojechać, ale mnie nie zaprosił, a nawet pokrętnie odmówił,

gdy poprosiłam.

– Powinnaś się uczyć – rzekł. – Masz chyba egzaminy w przyszłym tygodniu.

Zgadza się?

Zgadza się, jak zawsze.

Szkoła rzeczywiście nie dawała chwili wytchnienia, a do tego musiałam dokończyć zamówienia ArdenArt. Uwielbiałam to, co robiłam, ale praca stała się równie żmudna jak nauka w szkole; wykonywanie zamówień na ramki i lusterka wzorujące się na starych inspiracjach przypominało odrabianie lekcji. Znacznie bardziej wolałabym pracować nad nowymi pomysłami jak ten, na jaki wpadłam kilka dni temu, będąc w sklepie i grasując w tanich słodyczach.

– Cholerka, zapomniałam – mruknęłam pod nosem i wybiegłam z domu, wymachując ramionami, by zatrzymać go, gdy cofał w stronę ulicy.

Spojrzał rozeźlony, opuściwszy szybę. – Co?

– Pamiętasz ten wielki sklep ze słodyczami w centrum handlowym Rosedale?

– Tak. Co z tego?

– Potrzebne mi są gumowe usta.

Pudełko gumowych ust, osiemnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

30

– Wziąłeś rachunek?

– To dla ArdenArt? – zdumiał się.

– A niby po co byłyby mi potrzebne?

– Ozdabiasz ustami ramy?

Mój biedny tępy, pozbawiony fantazji brat.

– Jasne, że nie – odparłam cierpliwie. – Lusterka do makijażu. Chwilę później wisiał na telefonie i opowiadał Claire o ustach. Promieniał, śmiał się, szeptał, owijał wokół palca przewód.

Ale nie, nie kochał jej przecież.

Mieliśmy naszą porządną kolację. Wróciłam do domu prosto ze szkoły i upiekłam cudownego kurczaka. Scott przywiózł ciekawe przystawki z włoskich delikatesów w St. Paul. Objedliśmy się oboje. Kolacja jak należy.

Po zmyciu naczyń wyszłam na zewnątrz, by podziwiać jego nowy skuter. Musiał mnie mocno namawiać, bo było zimno – jeden z tych gorszych dni w pogodowej huśtawce. Obejmowałam się i truchtałam w miejscu na świeżym śniegu przed garażem.

– Ładny – powiedziałam, ale nie podzielałam zachwytów brata. On widział przed sobą prędkość i zabawę. Ja – cienki lód i czarną topiel.

– Al i ja jedziemy go jutro wypróbować. Co byś powiedziała, gdybyśmy potem poszli razem na obiad? Otworzyli nową restaurację ze stekami.

Zaszokował mnie. Wieczorne wyjście w sobotę z moim bratem? Od kiedy to?

– Przepraszam cię, Scott, ale mam plany. Idziemy z Jean na szkolne przedstawienie. No, chyba że chciałbyś do nas dołączyć i obejrzeć „Makbeta” wystawianego przez liceum w Penokee?

Oczywiście nie miał ochoty. Nie jestem pewna, czyja sama ją miałam, ale to małe miasteczko, była sobota wieczór, a ja znałam całą obsadę. Na dodatek okazało się,

że sztuka była wcale niezła, choć chłopcy ze sztucznym zarostem na twarzy wyglądali trochę głupawo.

Scott był w domu, gdy wróciłam z przedstawienia prawie o północy. Ścisnął w rękę piwo i słuchał muzyki. Śpiewała jakaś kobieta, trochę jazzująca; nie znałam jej. Szperałam w kuchni, szykując sobie kolację. Grzanki.

Smarowałam masłem orzechowym trzecią kromkę, gdy do mnie dołączył.

– Co to? – spytałam.

Podniósł butelkę na wysokość oczu i odczytał:

31

– „Pig'sEye”.

– Nie, pytam o muzykę.

– Jeden z kompaktów mamy. Ella Fitzgerald śpiewa Cole'a Portera. Jej ulubiona płyta. Dziś są jej urodziny, wiesz?

– Elli Fitzgerald? Nie, nie wie...

– Mamy. Przełknęłam kęs tosta.

– Chyba zapomniałam.

To nie przestępstwo, braciszku. Nie patrz tak na mnie.

– Jej urodziny były drugiego lutego, a taty dwudziestego ósmego listopada – rzekł.

– Wiem. Po prostu zapomniałam. Przykro mi, w porządku? Ale jemu nie chodziło o przeprosiny, tylko o obietnicę.

– Nie zapominaj, Arden. Tak niewiele o nich wiesz, więc nigdy nie zapominaj.

14

Za jakiś czas, gdy pomyślę o latach spędzonych w liceum, pewnie nie będę się długo zastanawiać, co stanowiło moje największe osiągnięcie. Nie będzie to solidna szóstka z biologii. Ani pieniądze zarobione w Ar-denArt. Nawet nie tajskie curry, jakie przygotowałam jesienią na urodziny Scotta.

Będzie to kok w stylu Madame Pompadour.

Krótko przed Świętem Dziękczynienia miałam napisać wypracowanie zainspirowane rodzinną fotografią. Znalazłam zdjęcie rodziców zrobione w dniu, kiedy mama otrzymała dyplom akademii medycznej.

Miała na głowie ogromną ilość włosów zaczesaną w wysoki kok. Nie taki, jaki nosiło się w latach sześćdziesiątych, ale taki z osiemnastego wieku. Pompadour. Niekiedy zapominam, jak wyglądali moi rodzice, i zupełnie wyleciało mi z głowy, że mama miała kiedyś takie włosy jak ja. Długie, gęste, kasztanowe.

Nauczycielka oczekiwała pięciu do siedmiu stron na temat rodziny, lecz mnie bardziej zainteresował tajemniczy mężczyzna stojący za moim ojcem. Napisałam o nieznanym, a to nie pasowało nauczycielce. Trzy plus. No dobrze, może i nie stworzyłam cudownego pisarskiego dzieła.

32

Jednak po kilku tygodniach ćwiczeń nauczyłam się tworzyć cudowną fryzurę. Fryzurę na specjalne okazje. Studniówkową fryzurę. Fryzurę na zakończenie studiów.

Jednak mój pompadour miał swą publiczną premierę podczas wyprawy do centrum handlowego.

– Jak wyglądam? – zapytałam Scotta.

Nalał sobie soku pomarańczowego i wypił, zanim odpowiedział.

– Jak członek jakiejś fundamentalistycznej sekty religijnej. I nie jestem pewien, czy twoje włosy pasują do tych spodni.

Zmarszczyłam brwi. Nowa fryzura wymagała nowego stroju, więc kupiłam sobie czerwono-zielone kraciaste portki drwala. Za trzydzieści trzy i pół dolara w sklepie rolniczym.

– Skoro masz zamiar krytykować, to przynajmniej daj mi ten obwarzanek. Późno już, Kady i Jean będą tu lada moment.

Podał mi dziurawą bułkę.

– Dziwnie pachnie – stwierdziłam, podniósłszy ją do ust. Mimo to ugryzłam.

– Konserwowałem kurtkę. Może trochę oleju zostało mi na rękach. Na kolanach trzymał nową kurtkę do jazdy skuterem. Czarna skóra, srebrne ćwieki. Scott wsadził rękę do rękawa i wyciągnął coś jaskrawego – zieloną skakanę, tylko że tą skakaną nie pobawiłoby się żadne dziecko: z jej rączki sterczały krótkie, ostre metalowe pazury.

– Ale broń – rzekłam. Jeszcze raz ugryzłam obwarzanek i językiem wepchnęłam kęs w policzek. – Spodziewasz się kłopotów na szlaku?

– Nie gadaj z pełną buzią. To haki do lodu. Przyrząd, nie broń.

– Po co to?

– Niektórzy wkładają to sobie w rękaw kurtki, tak że gdy wpadną do wody, z łatwością będą mogli zaczepić się o lód.

Dźgnął powietrze jednym końcem liny.

– Coś jak rękawiczki na sznurku dla dzieci?

Podniosłam drugi koniec sznura i przejechałam palcem po ostrych metalowych zębach.

– Tak, idealna rzecz dla dużego dziecka.

– Dzięki za porównanie. Chyba będę to trzymał w torbie przy siodełku.

Pociągnął za linę i wyrwał mi ją z ręki, a ostry metal zahaczył o gładką skórę rękawa kurtki i zarysował jej dopiero co naoliwioną powierzchnię.

Zaklął. Uśmiechnęłam się i złapałam za własną kurtkę.

33

– Żebyś tylko nie chybił i nie trafił w siebie, braciszku. Miałbyś' po tym ze dwadzieścia szwów.

Przytrzymał za oba końce i znów zaczął wymachiwać – w lewo, w prawo.

– Jak będzie trzeba, wbiję to tylko w lód i wygrzebię się z wody – odparł. – Aha, Arden, mam jutro wolne. Zostaw w domu hondę, to wymienię olej.

Zawył klakson.

– Muszę lecieć. Nie czekaj na mnie z kolacją, dobrze? Potaknął, zapatrzony w swoją najnowszą zabawkę. W lewo, w prawo; w lewo, w prawo.

– Ja może zjem u Claire.

– Ale na noc wrócisz?

Zrobił głupią minę i udał, że chce we mnie rzucić hakiem do lodu; wówczas jego ręka zamarła w locie, jakby zamiast o szklaną taflę zahaczył o wiszącą w powietrzu myśl.

– Ta fryzura jest właściwie bardzo ładna.

– Dziękuję. Lecę już.

– Mama kiedyś się tak czesała. Rany, ale jesteś do niej podobna. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem. To niesamowite, że tak bardzo zmieniło cię to uczesanie. Mocno jesteś do niej podobna, Arden.

– Gdzie moje rękawiczki? Ruszałeś je wczoraj wieczorem? Zmyłeś naczynia?

Mówiłam, że ja to zrobię.

– Ale ścięła włosy. Niedługo przed twoim urodzeniem. Ścięła bardzo krótko, bardzo.

– Widziałam na zdjęciach.

Znów zaryczał klakson. Gdzie te przeklęte rękawiczki?

– Pamiętam wieczór, kiedy to zrobiła. Zaprosiła do siebie przyjaciółki, jak jeszcze mieszkaliśmy w Milwaukee. Była już bardzo gruba, a dokoła niej siedziały

te wszystkie kobiety i gadały.

– Potem mi opowiesz.

Chwycił mnie za ramię, upuszczając linę. Spadający hak zaczepił o mój futrzany rękaw.

– Arden, zaczekaj, posłuchaj tego.

– Spóźnię się, Scott. Odczepiłam hak.

– To urządzenie jest naprawdę wredne.

– To było tamtego wieczora, gdy wybrała ci imię. Wiesz, skąd je wzięła? Z...

34

– Wybrałaś sobie złą porę na gawędy, braciszku.

Podeszłam do wyjścia, a on za mną. Otworzyłam drzwi i skrzywiłam się, czując podmuch zimnego powietrza.

– Jest późno, zanosi się na śnieg, mamy przed sobą długą drogę, więc do zobaczenia później.

– Arden...

– Co? – warknęłam.

Przykuło mnie jego spojrzenie. Miałam wrażenie, jakby czegoś szukał. Może wspomnienia o mamie. Scott uśmiechnął się.

– Baw się dobrze, Arden. I uważaj na latające kręgle.

15

Nie było to całkiem nieuzasadnione ostrzeżenie. Dwa razy zdarzyło się, że asystując bliźniaczkom, zostałam lekko kontuzjowana przez latające przedmioty. Czasami, gdy chciały szybko zmienić wykonywany numer, rzucały rzeczami w tego, kogo akurat udało im się zmusić do współpracy. Przeważnie ich ofiarą padałam ja. Wtedy, gdy zdarzyło mi się oberwać, musiałam spojrzeć gdzieś w bok w nieodpowiednim momencie, być może zauroczona jakimś dziecięciem na widowni, dłubiącym w nosie albo podciągającym majtki.

– Co to jest? – spytała na powitanie Kady.

Nachylała się nad siedzeniem i pokazywała na moje spodnie.

– Specjalność sklepu dla farmerów. Mogłybyście powiedzieć coś miłego o mojej fryzurze.

Widziałam, jak Jean przygląda mi się w lusterku wstecznym.

– Mogłybyśmy, gdybyś chciała usłyszeć kłamstwo. Kady pokręciła głową.

– Arden, wystraszysz dzieci.

Jean wrzuciła bieg i ruszyliśmy pędem na wstecznym z podwórza w stronę ulicy.

– Stawiam pięć dolarów, że ta fryzura nie przetrwa do końca dnia. Już trochę oklapła.

Zmieniła bieg i poleciałyśmy do przodu.

Zaczęłam macać ręką w poszukiwaniu pasa, wyciągnęłam go i strzepnęłam okruchy jedzenia, które się na mnie posypały. Zapięłam się, po

35

czym wyciągnęłam szyję, by przejrzeć się w lusterku. Boże, wyglądałam świetnie. Dotknęłam włosów.

– Pięć dolarów. Stoi.

Wygrałam zakład. Może nie całkiem uczciwie, bo raz podczas pokazu poprawiłam fryzurę, gdy one zajęte były podrzucaniem balonów wypełnionych ketchupem. Ale miałam do tego prawo, przekonywałam sama siebie, bo one publicznie zmusiły mnie do udziału w przedstawieniu, każąc trzymać balony podczas nalewania do nich pomidorowego sosu. Obie przesadnie przewracały oczami, uśmiechały się złośliwie i pokazywały na mnie, gdy któraś ze ściskanych butelek wydała z siebie pierdzący odgłos. Tłum dzieciaków ryczał ze śmiechu, napawając się ich błaznowaniem, smrodliwymi odgłosami i moją śmiesznością.

Gdy tylko zaczęły rzucać do siebie rozlazłe balony, ja usiadłam i na znak buntu zaczęłam poprawiać spinki we włosach. Honor legł w gruzach, ale pięć dolarów miało należeć do mnie.

Uczesanie przetrwało przedstawienie i ścisk podczas rozdawania autografów, kiedy dzieci obiegły nas w czasie lunchu. Przetrawało nawet przymiarki ciuchów w lumpeksie, gdzie uparłam się, żeby pójść po pokazie. Widziałam wcześniej ogłoszenie, że mieli nową dostawę koszul. Dostawa była, jak się okazało, niewielka i nie znalazłam nic równie pięknego jak moje „Franz” i „Morrie”, ale odkryłam cały stojak z koszulkami japońskiej drużyny baseballowej. Któż mógłby im się oprzeć?

Przymierzyłam kilka i kupiłam jedną. Złoto-fioletową z mnóstwem japońskich napisów na rękawie i nazwą ARITA na przedzie.

– Pasuje do spodni? – spytałam Kady, wychodząc z przymierzalni. Przyłożyła rękę do ucha. Sklepowe głośniki wyły ogłuszającą muzyką. Wzruszyłam ramionami i wróciłam za zasłonkę. No dobrze, kolory może i nie pasowały do czerwono-zielonej kraty, ale dobrze się w niej czułam, a to najważniejsze. Fryzura przetrwała też wizytę Jean w atykwariacie i jej żmudne poszukiwania powieści opartych na autentycznych zbrodniach oraz wyczerpującą dyskusję Kady z chłopakiem w kawiarence na temat testów egzaminacyjnych do college'u. Miałam już dolać sobie kawy z automatu, gdy uświadomiłam sobie, co jest grane: przedłużały naszą wycieczkę, jak tylko mogły, żeby wygrać zakład.

– Muszę jechać – wyszeptalam do Jean. – Trochę mi niedobrze. Sama też mogłam je trochę oszukać. Położyłam rękę na brzuchu. Popatrzyła na mnie z niepokojem. Czy zarzygam jej samochód?

36

– Jedźmy – odparła.

Dobrze zrobiliśmy, że się ruszyliśmy, bo nim wyjechałyśmy z centrum Duluth i znalazłyśmy się na długim moście stanowiącym wjazd do Wisconsin, zaczął padać śnieg. Z początku niegroźne puchate płatki, ale piętnaście kilometrów od Superior trafiłyśmy na potężną śnieżycę. Wiatr i białe płatki mieszały się, czyniąc drogę praktycznie niewidoczną; Jean zwolniła tak, że dalej czołgałyśmy się jak pieszo. Kady zmieniła kasetę w magnetofonie i ochryply wokal Becka ustąpił miejsca spokojnym sonatom fortepianowym Mozarta.

Wiatr osłabł nieco, gdy skręciłyśmy w naszą ulicę. Jean przyspieszyła i za szybko wjechała na podjazd do domu, a samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się kilka centymetrów od bramy garażu.

Dotknęłam włosów. – Przetrwały do końca dnia. Wygrałam.

– Być może – odparła Jean. – Ale kto dowiózł cię bezpiecznie do domu?

Słuszna uwaga. Ado tego oszukiwałam... troszkę. Kiwnęłam głową na znak zgody, a fryzura rozsypała się.

16

Scotta nie było w domu – nic dziwnego. Pewnie gruchał przy kolacji ze swoją dziewczyną. Sprawdziłam wiadomości na sekretarce i zrobiłam zdziwioną minę, gdy stwierdziłam, że zostawił ją wyłączoną. Co mnie takiego ominęło? O jakim to szalonym, ekscytującym wydarzeniu w naszym mieście się nie dowiedziałam? Postanowiłam założyć, że jutro też będzie śnieżycą, i nie odrabiać lekcji. Zresztą na następny dzień nie miałam nic zadane, więc po co się wysilać? Gonił mnie jednak termin zamówienia dla ArdenArt, więc zeszłam do pracowni. Ale nic mi się nie udawało. Skończyłam jedno lustro z gumowymi ustami, ale niewiele brakowało, a dołożyłabym do niego własne, gdy spadłam z taboretu i prawie rozciąłam sobie twarz nożem do szkła. Potem rozsypałam całe pudełko moich drogocennych warg na podłogę i uderzyłam się w głowę wstając, kiedy już je pozbierałam.

– Daj spokój, dziewczyno – przykazałam sobie.

Wpół do dziesiątej. Dzień się kończył, ale wciąż jeszcze mogłam coś zrobić. Telewizja, kąpiel, łóżko czy książka? Zdecydowałam się na wszystko.

----- 37 -----

Siedziałam w olbrzymiej wannie Scotta, kiedy dobiegł mnie dzwonek telefonu. Czy włączyłam wcześniej sekretarkę? Nie, przypomniałam sobie, gdy zadzwonił po raz piąty. Szósty, siódmy.

– Odpuść sobie – powiedziałam, zatapiając się w wannie. Spacerowałam z Jane Eyre po wrzosowiskach, gdy znów zadzwonił.

Zamknęłam książkę, zwlokłam stopy z łóżka, potknęłam się o pościel, zahaczyłam palcem o futrynę i utykając dotarłam do telefonu. Zamilkł. Wybrałam numer Drummondów.

– Dzwoniłyście? – spytałam Jean. – Ktoś do nas dzwonił.

– Nie my. Myślisz, że będą jutro lekcje? Wyjrzałam przez okno.

– Jakby się przejaśniało.

Jean jęknęła. – Miałam nadzieję, że będzie śnieżycą. Nie uczyłam się do klasówki z historii.

– Ja nie napisałam wypracowania. Dzięki Bogu, że na pierwszej godzinie mamy naukę własną.

– Może jednak znów się rozpada.

– Miejmy nadzieję. Zadzwon, jak będziesz coś wiedziała.

Jeszcze nigdy nie spędziłam nocy w domu sama. Pewnie, że było wiele wieczorów, gdy Scott wracał bardzo późno, ale nigdy nie zostawiał mnie na całą noc. Przy

odgłosach wiatru tym razem mogłam zacząć się bać, tyle że w ogóle nie wiedziałam,

iż będę sama. Poszłam spać z założeniem, że mój kochany, odpowiedzialny brat z hukiem motoru wróci do domu gdzieś nad ranem i jak zwykle wstanie wcześniej, by przygotować dla mnie sok.

Poszłam do szkoły bez soku. Poszłabym też bez śniadania, gdyby nie fakt, że pan Drummond wiózł do pracy muffinki, a ja wyżebrałam jednego, jak tylko wsiadłam do ich samochodu. Z mocnym postanowieniem wiary w to, że lekcji nie będzie, nie nastawiłam budzika i zostałam brutalnie wyrwana ze snu o siódmej trzydzieści, gdy Jean zadzwoniła z propozycją, że jej tata mnie podwiezie.

– Nie odśnieżyłaś podjazdu – uprzytomniła mi. – Ulicą jechał pług, więc się nie przekopiesz. Możesz jechać z nami. Ruszamy za pięć minut.

Potrafię ubrać się w pięć minut. Sweter, džinsy, skarpety i buty... co tam, potrafię ubrać się nawet w trzy. Może nie zrobię sobie w tym czasie na głowie pompadoura, ale będę czysta i uczesana. W tak krótkim czasie jednak trudno o dobry humor. Jego budzenie to powolny proces; lepiej mnie nie popędząć.

38

– Cześć – pozdrowiłam Drummondów, otwierając drzwi samochodu.

Otrzebałam buty ze śniegu, zanim wsiadłam. Musiałam brnąć w puchu dość głęboko i rozgarniać go nogami na chodniku przed domem.

– Startujecie dziś z opóźnieniem, co? – rzekł pan Drummond. – Czy może Scott wziął sobie wolne?

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie widziałam ani śladu brata. Rzecz jasna, w moim sennym stanie pułk nagich szermierzy mógłby szaleć po kuchni, a ja bym ich nie zauważyła. Obejrzałam się na nietknięty śnieg na podjeździe i pustkę tam, gdzie Scott zwykle trzymał skuter.

Ty szubrawcze jeden, pomyślałam. Spędził noc ze swoją dziewczyną. Pierwszy raz. Widać to coś poważnego.

– Wziął wolne – odparłam zgodnie z prawdą i oczekiwaniami pana Drummonda.

Śnieg na podwórku nadal był nietknięty, gdy autobusem wróciłam ze szkoły. Tylko ślady listonosza skrzyżowały się z moimi na chodniku przed domem. Wyjęłam pocztę ze skrzynki i weszłam do domu. Od razu ruszyłam do telefonu pewna, że dzwonił i zostawił wiadomość. Zastanawiałam się, czym się wykręci: była paskudna śnieżycą, zrobiło się późno, wypił kilka piw, to nie moja sprawa. Wszystko to prawda – mogę wybrać, co zechcę.

Była tylko jedna wiadomość, nagrana o czternastej trzydzieści. Wcisnęłam guzik i przesłuchałam taśmę:

Cześć, Munrowie. Scott, mówi Claire. Żałuję, że nic nie wyszło z wczorajszej kolacji. Szkoda, że nie przyszedłeś. Aha, samochód nie wydaje już tych dziwnych dźwięków, ale zdaje mi się, że i tak powinienes go obejrzeć. Możesz załatwić to w tym tygodniu? To wszystko. Hm, cześć, Arden, jeśli to ty odebrałaś.

Poszłam do jego pokoju i otworzyłam drzwi. Łóżko stało porządnie zasłane, koszula i sweter wisiały na krześle – ta sama koszula i ten sam sweter, które wisiały tam wieczorem. Ten sam bałagan złożony z kart baseballowych i komiksów na szafce nocnej.

– Scott? – zawołałam.

Mój głos zabrzmiał głośno, ostro, nerwowo.

Sprawdziłam w łazience. Mój ręcznik leżał na wierzchu kosza na bieliznę. Kłapa na sedesie była opuszczona. Moje skarpetki walały się po podłodze.

39

Nie był w domu. I wcale nie był u swojej dziewczyny. Jego furgonetka stała w garażu, rękawice do prowadzenia samochodu spoczywały na kuchennym blacie.

Popatrzyłam na tylne drzwi.

– Wejdz – wyszeptalam. – W tej chwili wejdz.

W notesie z telefonami znalazłam nazwisko Poole ? wraz z adresem gdzieś poza miasteczkiem: County Road PN. Gdzie, u licha, może być jakieś PN?

Powitanie na jej sekretarce przyprawiło mnie o kolejny potężny wstrząs – dziecięcy głos: Tu Hanna. Mama ani ja nie możemy podejść do telefonu, ale zostaw wiadomość. Dziękujemy.

Mama i ja?

Oj, bracie, bracie. Nic dziwnego, że nie zostawałeś tam na noc. Zostawiłam wiadomość z nadzieją, że nie dałam po sobie poznać zdziwienia.

Mówi Arden Munro, siostra Scotta. Proszę, oddzwoncie. Dzięki.

Nalałam sobie napoju i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam się niepokoić?

Nieważne. I tak się niepokoiliam.

Zadzwoiliam na posterunek i poprosilam Ala. W razie klopotow dzwoń na policje.

– Przekazemy, zeby do ciebie zadzwonił – odpowiedzila mi jakaś kobieta.

Al zadzwonił po pieciu minutach. W tle doszly mnie odglosy restauracji i mialam ochote zażartowac. Oparlam sie jednak pokusie i powiedzila mu, dlaczego dzwoie. Nie przejal sie za bardzo i kazal mi sprawdzic u Claire.

– Nie – rzeklam stanowczo. – Wcale u niej nie byl. Claire dzwoila i zostawila wiadomosc. Jakby sie zastanawiala, gdzie byl wczoraj wieczorem, tylko nie zdobyła sie na to, zeby zapytac. Ale mozna sie bylo domyslisc.

– Nie ma jego skutera?

– Mowilam przeciez, Al. Baraccuda i furgonetka stoja na swoich miejscach, a skutera nie ma, i do tego nie dotarl wczoraj tam, gdzie sie wybieral.

– Pozwol, ze zadzwonie w kilka miejsc. I badz w domu. Zaraz tam przyjade.

Gliniarz w drodze – to nie wrozy nic dobrego.

Ogrzewanie bylo przez caly dzien wylaczone; Scott zawsze sie tym zajmowal. Bylo mi zimno, strasznie zimno. Skrzyzowalam rece na piersi i wyjrzałam przez okno.

40

Zima ciemnosci zapadaja okolo czwartej i to bardzo gwałtownie – podstepny atak po dniu oslepiajacego, odbijanego od sniegu slonca. Po drugiej stronie ulicy po kolei zapalaly sie swiatla w domu Drummondow – pstryk, pstryk, pstryk.

Zobaczyłam Kady pracujaca przy blacie w jasnej nagle kuchni, zobaczyłam, jak za jej plecami mijaja matka, widzialam, jak Jean zasuwa zaslonki w swoim pokoju, widzialam, jak ich ojciec ciagnie odkurzacz do duzego pokoju.

Gdyby ktos spojrzal na moj dom, nie zobaczylyby nic poza nieruchomym cieniem.

17

Oto, co wiemy – rzekl Al, gdy tylko zamknely sie zanim drzwi. – Scott byl w gospodzie u Winkera wczoraj okolo szesnastej. Powiedzial ludziom, ktorzy tam byli, ze jest sam i wybiera sie do Claire. Ona jest przyrodnikiem w parku narodowym. Tam tez mieszka.

County Road PN, pomyslam.

Mowil dalej. Scott i pozostali u Winkera dyskutowali na temat odleglosci do parku. Dwanaście kilometrow, stwierdzili, gdyby jechać leśnym szlakiem, a potem droga. Dziewiec, gdyby przeciac rzeka i dalej podazac szlakiem. Scott wypil troche. Buck – barman – twierdzi, ze moze ze trzy piwa. Udzielal samochodowych porad, obiecal przejrzec lumine Toma Koskiego w zamian za ladunek drewna na opał.

Wzniosl toast za swoja dziewczynę, choc wtedy w barze byl juz tylko barman.

Buck znajdowal sie na zapleczu, gdy Scott wyszedl, i zdawalo mu sie, ze rusza w strone rzeki. Nie byl pewien – zmywal w tym czasie, brzeczalo szklo.

– To wszystko? – spytalam.

– Dzwonilem do Claire. Dopiero wrócila do domu i odsluchala twoja wiadomosc.

Potwierdzila, ze w ogole go wczoraj nie widziala; nie rozmawiala z nim, odkad wszyscy troje rozstalismy sie w sobote.

Zwinal dlonie w pieści i pocieral nimi o uda.

– Szeryf zarzadzil poszukiwanie.

– W nocy?

– Mogą zaczac od sprawdzenia szlakow w tej okolicy. Zanim zbierze sie cala ekipa, bedzie juz ranek. Dzwonil po smiglowiec patrolowy.

41

Maja tam kamery na podczerwień, ktore potrafia namierzyć ciała w lesie.

Ciala. Oboje drgnelismy, gdy to powiedzial.

– Chce z toba pojechać. Chce pomoc, Al. Wziewalam do reki poduszke i zaczalam w nia walić.

– Powinnam sie wczoraj domyslisc, ze cos jest nie tak. Juz wtedy powinnam byla do ciebie zadzwonic. Minal caly dzien, Al, nie ma go przez cala dobe.

– Nie wiedzialas. Claire tez nie wiedziala. Wszyscy mysleli, ze jest gdzieś indziej. Nikt nie mial pojecia, ze zaginal. Arden, na tych szlakach sa dwa schroniska. Moze wpadl w jakies tarapaty i przenocowal w jednym z nich.

Sprawdzamy to teraz.

– Ja tez chce pomoc.

– Arden, jesli dzis wieczorem nie znajdziemy go na szlaku, poszukiwania stana sie bardzo trudne. Nigdy jeszcze nie jechalas skuterem.

– Mowie ci, ze chce pomoc. Odezwal sie dopiero po chwili.

– Jesli nie znajdziemy go dzisiaj, to bedzie oznaczalo cos niedobrego. Jesli go

znajdziemy, lepiej, żebyś tego nie widziała. Szukamy... Chryste, Arden, czy jest ktoś, kto mógłby posiedzieć z tobą dziś w nocy? Może te dwie dziewczyny, siostry Danny'ego Drummonda, te bliźniaczki?

Nie odważył się tych słów wypowiedzieć, ale to właśnie miał na myśli: nie szukamy twojego brata, szukamy jego ciała.

Al zadzwonił do Drummondów i nie minęło pięć minut, a zjawiły się Ka-dy i jej mama z jedzeniem. Nie byłam głodna.

Rozmawiały z Alem, który mówił im, co się stało, podczas gdy ja wyglądałam przez okno. Nadjechał pan Drummond z maszyną do odśnieżania. Wjechał na nasz podjazd i zniknął za unoszącym się snopem białego pyłu.

Al wyszedł i zadzwonił po godzinie ze złą wiadomością. Szlak i rzeka zostały przeczesane – ani śladu Scotta.

– Ten przeklęty wiatr – odezwała się pani Drummond. – Nie będą wiedzieli, gdzie szukać, bo śnieg zasypał wszystkie ślady. Cholerny wiatr. Niech go szlag jasny trafi.

Kady popatrzyła na matkę, która nigdy nie przeklinała. Północ. Kady spała w fotelu, pani Drummond robiła na drutach. Ja siedziałam i gapiłam się w okno, trzymając kubek wystygłej herbaty.

42

Druga w nocy. Pani Drummond pochrapywała z cicha, Kady mówiła przez sen. „Hop-siup, hop-siup, hop-siup” – to, co zwykle skandowały przy zonglowaniu.

Czwarta nad ranem. Przełożyłam kubek z herbatą do drugiej ręki.

O szóstej siedziałam już w swoim samochodzie. Cofając spojrzałam na dom, i zobaczyłam w oknie panią Drummond. Podniosła rękę i pomachała mi.

U Winkera panował ścisk, ale nikt nie pił piwa. Musiałam zaparkować na drodze, bo parking był cały zastawiony. Dwa samochody z biura szeryfa, radiowóz, mnóstwo furgonetek. Przy drzwiach stał uwiązany owczarek niemiecki. Podniósł się i wlepił we mnie ślepią, gdy się zbliżyłam. Otrzepałam buty ze śniegu i otworzyłam drzwi. Gwar rozmów był tak głośny, że doszedł mnie nawet przez zamknięte drzwi, lecz gdy tylko weszłam, nastąpiła martwa cisza.

– Jezu, Arden – odezwał się Al. – Słuchajcie wszyscy, to jest siostra Scotta.

Ludzie stłoczyli się dokoła mnie, łapiąc mnie za ręce, pociągając za rękawy, kładąc dłonie na barkach, mówiąc. Docierały do mnie jedynie urywki i bezustannie potrząsałam głową, usiłując odpowiedzieć każdemu skinieniem lub uśmiechem.

...pokrywa śnieżna na rzece...

...gdybym wiedział, że był sam...

...lód na rzece...

...poszukiwawcza i ratunkowa...

...nurt rzeki...

Rzeka, rzeka, rzeka. W kółko ta rzeka, ludzie bez przerwy o niej mówili.

– Chcę tam iść – powiedziałam i wszyscy się zamknęli.

– Arden – odparł Al – nie masz nawet wysokich butów. Wszyscy popatrzyli na moje nogi.

Racja, nie mam butów. Zwiesiłam ramiona, a ktoś mnie objął.

– Chcę wiedzieć, co robicie – rzekłam do wszystkich. – Nie ukrywajcie niczego przede mną.

Podszedł jakiś wielki facet i przedstawił się: Buck Winker.

– Masz ochotę na jajecznicę? – spytał.

Potaknęłam i pozwoliłam się zaprowadzić do odgradzonego od reszty baru stolika.

Ktoś przyniósł mi kakao. Ogrzałam sobie ręce. Wystarczyło przejść przez parking, żeby przemarznąć. Prawie dwadzieścia stopni mrozu, oznajmił Buck, stawiając przede mną jajka.

43

Kobieta w brązowym mundurze zastępcy szeryfa usiadła koło mnie.

– Felicity Kay. Jestem koordynatorem poszukiwań. Arden, mamy na zewnątrz dwudziestu ludzi. Krok po kroku przeczesują teren. Helikopter patrolowy powinien być tu lada chwila. Przeleci zbadać rzekę, a potem ściągniemy wszystkich ludzi tutaj i przeczesze las.

Posypałam pieprzem jajecznicę.

– Prowadziłam już wiele poszukiwań, Arden. Wiem, że chcesz pomóc. I możesz to zrobić.

Odstawiłam pieprzniczkę.

– Nie wchodzić wam w drogę?

– Jeśli nie chcesz czekać w domu, co doskonale rozumiem, możesz zostać tutaj.

Buck się tobą zajmie.

Popatrzyłam na stojącego za barem Winkera. Przekładał językiem z jednego kąta ust w drugi drewnianą wykałaczkę. Mrugnął. Felicity Kay podniosła się i zasunęła zamek kurtki. Mimo paniki, która mnie ogarniała, musiałam się uśmiechnąć – nawet w sposobie, w jaki się zapinała, znać było władzę.

Nie ma chyba głośniejszego dźwięku aniżeli ten wydawany przez helikopter. Zaś śmigłowiec, który akurat zaryczał nad barem, prawie zwałił mnie z ławy i zakolysał szklankami na półkach. Buck skrył głowę w ramionach i spojrzał w górę. Zastępczyni szeryfa odwróciła się i wyszła z budynku.

Po chwili w gospodzie zostaliśmy tylko Buck i ja.

– Smaczna jajecznica – pochwaliłam. Oparł się na dłoniach na barze.

– Scotty zaczął tu bywać dopiero tej zimy i wszyscy naprawdę bardzo go polubiliśmy, Arden. Był troszkę jak złotodziób, któremu zdawało się, że już dość długo mieszka w Penokee.

Dwanaście lat, pomyślałam, gdyby policzyć rok spędzony w Yale.

– Nigdy nawet nie polował, jak mi powiedział.

– Ani nie chodził na ryby – dodałam.

– Nie to co większość chłopaków, to na pewno. Ale lubiliśmy go. Był zabawny...

Rany... Zawsze powiedział coś takiego, że wszyscy się śmiali. Pewnie, może i nie znał tutejszych lasów tak dobrze jak inni, ale dzięki maszynie mógł dotrzeć, gdzie zechciał...

Buck wyprostował się i przeciągnął.

– Będę na zapleczu. Muszę przygotować papiery do urzędu skarbowego. Tylko krzyknij, gdybyś coś chciała.

Dziobałam jajka, a potem wgniotłam resztki między zęby widelca.

44

W porządku, może i miałam podłe oceny z angielskiego, ale byłam pilna na tyle, by nauczyć się jednej rzeczy: czasu przeszłego. Wiedziałam, co to jest i kiedy się go używa.

Czas przeszły. Buck używał go, mówiąc o moim bracie.

18

Zasnęłam w barze. Zdaję sobie sprawę, że dla większości ludzi nie jest to wydarzenie, o którym mieliby ochotę rozprawiać. Gdy zjadłam jajecznicę i dopiłam kakao, wyciągnęłam nogi na ławie, przykryłam się kurtką i szykowałam się do spędzenia poranka ze wzrokiem wbitym w wejście do gospody. Ale usnęłam.

Obudziła mnie cieknąca po brodzie ślina. A może skamlenie psa. Albo trzaśnięcie drzwi samochodu. A może zwyczajnie się wyspałam. Ocknęłam się obolała, ze sztywnym karkiem i ścierpniętą od twardego drewna pupą. Wiedziałam, że nigdy nie byłby ze mnie porządny pijak, i uśmiechnęłam się na myśl, że Scott byłby z tego zadowolony.

Mój uśmiech momentalnie zgasł. To przez Scotta tu spałam, a Scotta nie było. Na chwilę zapomniałam.

Przy barze siedziało trzech mężczyzn. Gdy usłyszeli, że się wiercę, odwrócili głowy, spojrzeli, popatrzyli na siebie, po czym założyli czapki i podnieśli się do wyjścia.

Buck zjawił się z kolejnym kubkiem kakao.

– Zastępczyni szeryfa chce z tobą porozmawiać. Jest na zewnątrz. Zawołam ją. Chciałam, żeby się nie spieszył. To musiała być zła wiadomość; gdyby było inaczej, nie pozwoliliby mi spać.

Wstałam i podeszłam do okna. Ludzie wrzucali rzeczy na furgonetki, dwaj mężczyźni podawali sobie ręce, jakaś kobieta na kolanach głaskała psa. Felicity Kay rozmawiała z funkcjonariuszem policji stanowej. Odwróciła się, zobaczyła mnie w oknie i ruszyła.

Z jej dłoni zwisały końcówki jaskrawozielonej liny. Zielonej liny z metalowymi zębami. Hak do lodu mojego brata. Coś ścisnęło mnie za gardło. Stanęłam w drzwiach i wyciągnęłam rękę po linę.

– To jego – rzekłam. – Gdzie to znaleźliście?

Al zjawił się zaraz za tą Kay i przytrzymał mnie za ramię.

– Usiadźmy.

45-----

– Gdzie to znaleźliście?

– Ktoś przeszukiwał brzeg rzeki i dostrzegł coś zaraz za kanałem przy moście. Zorganizowaliśmy nadmuchiwaną kładkę i wyciągnęliśmy to. Tkwiło przyczepione do lodu na skraju przerębli. Czy potwierdzasz, że ta rzecz należała do twojego

brata?

– Powiedziałałam już, że tak, należała do niego. Pokazywał mi to rano. To znaczy w niedzielę rano. Żartowałam z niego, ostrzegałam, że będzie wyglądał jak dziecko z rękawiczkami na sznurku, gdy przełoży linę przez rękaw kurtki.

– Arden, odwołałam już ekipę poszukiwawczą.

– Dlaczego?

– Wyłowiliśmy z wody jeszcze parę innych przedmiotów: kask i torbę, którą miał przy siodełku. W środku był jego portfel i jakieś inne rzeczy.

– Mógł nie zdążyć ich powyciągać. Przecież hak był przyczepiony do lodu. Musiał się więc jakoś wydostać. Może chodzi teraz po lesie. Ludzie czasem tracą orientację. Nie możecie przestać go szukać.

– Nie przestaliśmy, ale minęły dwa dni, Arden, a teraz mamy dowód, że był w wodzie. Jeśli nawet się z niej wydostał, ma za sobą dwie noce ujemnych temperatur.

Powiedz to, kobieto. Powiedz to, powiedz.

– Uważa pani, że on nie żyje?

Al usiadł na ławie i ukrył głowę w dłoniach.

– Skupiliśmy się teraz na rzece. Wezwałam nurków.

No, niech pani wypowie te okropne słowa. Choć ja też potrafię.

– Szukacie teraz zwłok.

Upuściła linę na stół. Topniejący lód zsunął się z drewnianej rączki.

– Proszę, pozwól, żeby ktoś odwiózł cię do domu.

Al podniósł się i zapiał kurtkę. – Chodź, Arden. Zawiozę cię.

– Nie.

Zirytowana pomocnica szeryfa głośno wypuściła powietrze.

– Na pewno wolałabyś nie widzieć tego, co znajdziemy, Arden. Ciało topielca to istny koszmar.

– Muszę – odparłam. – Inaczej będę sobie wyobrażać coś znacznie gorszego.

– Nie – wyszeptał Al. – Nie ma nic gorszego.

Zabrał mnie do Drummondów, gdzie pani D. czekała już w drzwiach. Kady i Jean nie poszły do szkoły i snuły się w milczeniu za jej plecami. Zrobiła krok do przodu, żeby mnie przytulić, ale ja stanęłam z boku i położyłam kurtkę na krześle, lekceważąc jej gest.

46

– Jeszcze go nie znaleźli – rzekłam. – Ale są prawie pewni, gdzie jest. Jean, mogę się rozłożyć w twoim pokoju?

Al i pani Drummond spojrzeli na siebie. Spodziewali się łez czy stosownego żalu.

Usiadłam przy biurku Jean i zaczęłam bazgrać na odwrocie szkolnych wypracowań.

Rysowałam drzewa. Rzekę. Bawiłam się własnym umysłem i układałam scenariusze.

Staralam się wykombinować, w jakich sytuacjach mogłby wciąż żyć. Mimo że był mokry. Mimo że minęły już dwie noce.

Dwie noce. Walnęłam w blat biurka, aż sterta małych gumowych kulek podskoczyła i rozsypała się. Czemu wcześniej nie zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest? Czemu ta jego głupia dziewczyna nie dzwoniła bez przerwy, żeby na niego nawrzeszczyć, że się nie zjawił?

Dzwoniła przecież, jasne. Przypomniałam sobie, jak telefon dzwonił nieustępliwie,

gdy siedziałam tamtego wieczora w wannie, a potem jak czytałam książkę. Czemu nie włączył sekretarki? Czemu ja sama jej nie włączyłam? Zostawiłaby wtedy wiadomość, ja bym jej wysłuchała i zaczęła się martwić. Moglibyśmy go odnaleźć.

Usłyszałam telefon i znalazłam się w kuchni przed trzecim dzwonkiem. Kady zaczęła coś mówić, ale machnęłam ręką, żeby przestała. Al stał ze słuchawką przy uchu, potakując ponuro i pocierając ręką oczy.

– Co? – spytałam, jak tylko się rozłączył.

– Jeden z nurków znalazł jego skuter w wodzie, kawałek od miejsca, gdzie zahaczona była lina.

– Znaleźli Scotta? Pokręcił głową.

– Zastępczyni szeryfa odwołała poszukiwanie. Skuter leżał w głębokim miejscu, gdzie nurt jest bardzo silny, na północ od mostu.

Al zamknął oczy.

– Rzeka nigdy tam nie zamarza, choćby nie wiadomo jaki mróz trzymał. Woda płynie zbyt wąskim korytem, prąd jest za silny.

Popatrzył na mnie.

– W sobotę Scotty i ja skakaliśmy trochę nad przerębiami na jeziorze Monnow.

Latał nad nimi jak zawodowiec. Ale na rzece jest inaczej. Lód jest słabszy. Może wyglądać bezpiecznie, ale tak nie jest. On tego nie wiedział.

– Odwołali poszukiwania? Zamierzają go tam zostawić?

Stałam kilka centymetrów od niego i patrzyłam prosto w jego nieszczęsną twarz.

----- 47 -----

– Nie można trzymać nurków w takiej wodzie.

– Zwyczajnie zostawią go w wodzie?

Rozglądał się po kuchni, nie mógł spojrzeć mi w oczy.

– Arden, nurkowie nie są w stanie prowadzić regularnych poszukiwań. Nie w tak zimnej wodzie. Nie w tym miejscu. Nie można ryzykować ich życia dla wydobycia ciała. Rzeka jest zbyt niebezpieczna.

Zaczęłam walić go w piersi. Przygryzł wargę i kołysał się, przyjmując ciosy.

– Cóż, to przecież oczywiste, prawda? – krzyczałam.

Widząc moją złość, do akcji wkroczyła pani Drummond. Wyciągnęła rękę i mamrotała coś, próbując mnie uspokoić. Al był bliski łez. Kady i Jean chciały do mnie podejść.

Cofnęłam się.

– Nie dotykajcie mnie. Wszyscy zamarli.

– Nie próbujcie mi pomóc.

Pani Drummond skrzyżowała ramiona. Al rozplakał się.

– Odczepcie się ode mnie wszyscy.

19

w ciągu kilku godzin cała społeczność Penokee pograżyła się w pogrzebowym nastroju, a przez ponad tydzień do domu Drummondów napływali ludzie, jedzenie i kwiaty. Tkwiłam w pokoju Jean, wychodząc tylko, gdy zaanonsowano mi kolejnego gościa, i wracając tam, najprędzej jak mogłam. Wszyscy byli mili, może zbyt mili.

Witałam się, podając rękę, i kiwałam głową razem z rodzicami znajomych, nauczycielami, kolegami z pracy Scotta, sąsiadami, ludźmi z klasy. Jace Daily, pierwszy chłopak, z jakim się całowałam, przebył szmat drogi z miasteczka w Minnesocie, gdzie przeprowadził się z rodziną po skończeniu pierwszej klasy liceum, i znów się pocałowaliśmy.

Jace nie wiedział, co powiedzieć, co zdawało się dość szczerą reakcją. Byłam mu wdzięczna, bo naprawdę zmęczyły mnie już słowa otuchy i bezsensowne pomruki kondolencji. Ale z Jace'em było inaczej. Po pocałunku popatrzyliśmy na siebie i rozejrzeliśmy się po gapiących się na nas ludziach. Potem on przemówił:

– Trochę drętwo – stwierdził zniżonym głosem.

48

Nie sposób było się nie roześmiać. I się nie zgodzić.

– Tak.

Jace wepchnął rękę do kieszeni dżinsów.

– Pamiętam, jak raz odprowadziłem cię do domu po imprezie u Dawn... Zaraz, ona też się wyprowadziła, co? Tak słyszałem.

– Do St. Paul.

– Podoba się jej?

– Słuch o niej zaginał.

– Szkoda, fajna była. W każdym razie odprowadziłem cię wtedy do domu i dosłownie po minucie Scott już stał w drzwiach, gotów do rozmowy. Miałem nowy rower, a on chciał pogadać o jeździe po lesie i takich tam... Nie mogłem w to uwierzyć. Jak gdyby nigdy nic – ciach i już! Starszy brat sprawdza, czy nic się nie dzieje. Naprawdę się tobą opiekował, co?

To było to. Kochany Jace i jego wspomnienie o nadopiekuńczym Scotcie zrobiły swoje. Łzy, które wstrzymywałam od tyłu dni, znalazły swoje ujście.

– Jezu, Arden – powiedział. – Przepraszam. Rany, ależ ze mnie głupek. Zawsze powiem coś niewłaściwego. Może nie powinienem był przychodzić. Przyjechałem do miasta odwiedzić babcię i gdy się o tym dowiedziałem, poczułem się okropnie. Przykro mi.

Stałam tam bez słowa, zalewając się łzami, podczas gdy on wzrokiem szukał pomocy.

Ludzie zaczęli podtykać mi chusteczki. Zjawiła się Kady i chwyciła mnie za ramię.

– Chodźmy do mojego pokoju. Odrzuciłam jej rękę.

– Po co? Czy nie po to wszyscy tu przychodzą? Popatrzeć na cierpienie pogrążonej w bólu sieroty?

Z nosa leciało mi tak samo jak z oczu i wycierałam go rękawem. Cholera, mój nowy sweter z czerwonej wełny; „Czyścić tylko chemicznie”. Dziwne, jakie to myśli przychodzą do głowy w chwili załamania.

Mój wybuch poskutkowało. Wszyscy goście wyszli, oprócz Jace'a. Gdy w końcu ochłonęłam, moja twarz wyglądała upiornie, co Jean i Jace z radością mi wytknęli.

– Trochę plamista – orzekł Jace.

– I dość mocno opuchnięta – dodała Jean.

– Spadajcie – powiedziałam i usadowiłam się między nimi na rozkładanej kanapie.

49

– Kiedy pogrzeb? – spytał Jace.

Bum, bum, bum – w pokoju niemal słychać było, jak przyspieszają wszystkie serca.

– Oto kolejna głupota, jaką dzisiaj palnałeś – odparowała Kady. Jace popatrzył zmieszany; wyglądał słodko.

–? Nie będzie pogrzebu – odparłam. – Nie ma ciała, nie będzie pogrzebu.

Pani Drummond usiadła ze ścierką do naczyń na kolanach.

– Och, Arden, ludzie oczekują czegoś. Nabożeństwa żałobnego. Dobrze jest się pożegnać. I może kazalibyśmy wydrukować coś w gazecie.

– Znaczy się nekrolog. Nie. Musiałabym to powtórzyć, jak go znajdą.

Kady i pani Drummond popatrzyły na siebie, po czym wstały i wyszły do kuchni.

– Moim zdaniem to rozsądne – stwierdziła Jean. – Po co torturować się dwa razy?

Wstała i strzepnęła na podłogę okruszki.

– Muszę wkuwać. Mam jutro test z fizyki.

Jace także się podniósł. – Ja też, to znaczy też muszę iść i zabrać mamę od babci. Potem ruszamy do domu.

W ciągu tych kilku dni wielu ludzi zrobiło dla mnie wiele miłych rzeczy. Ale ta wizyta po trzech latach nieobecności była chyba najmiłsza. Czas na trzeci pocałunek?

Uznał, że tak. A potem rzucił: – Zadzwoń.

– Dobrze – odparłam.

Jean nie poszła się uczyć, dopóki nie usłyszała, jak odjeżdża samochód Jace'a. Założyła ręce i próbowała udawać groźną.

– Ze wszystkich głupot, jakie popełniłaś, odkąd cię znam, ta jest chyba najgorsza.

– O co ci chodzi?

– Kleić się do chłopaka, który mieszka parę godzin drogi stąd.

– Do nikogo się nie kleiłam. Nie bądź głupia. Przyszedł tylko mnie pocieszyć. Uśmiechnęła się złośliwie.

– I muszę powiedzieć, że wyglądałaś na całkiem nieźle pocieszoną, zwłaszcza czując jego usta na swoich.

Zaczęłam protestować, ale dałam sobie spokój. Dobrze mi z tym było. Pani Drummond zawołała z kuchni: – Hamburgery warzywne czy spaghetti?

50

– Głosować teraz albo potem nie marudzić! – dodała śpiewnie Ka-dy.

Jean popukała się palcem w głowę i ściszyła głos:

– Czy życie z dwiema szczęśliwymi domatorkami nie doprowadza cię do szału?

– Nie jest tak źle, a poza tym miło mieć kogoś, kto o ciebie dba. Trochę za bardzo się nade mną trzęsą, ale przeważnie nie zwracam na to uwagi-

Pokiwała głową.

– Ja też, tyle że osiemnaście lat zajęło mi nauczenie się, jak to robić. Może się okazać, że trudniej ci będzie nie zwracać na nie uwagi, jak się na dobre wprowadzisz i wszystko się unormuje.

– Co?

Jej usta otworzyły się i zamknęły dwukrotnie jak pykające różowe kółeczko.

– Wszyscy tak mówią. Moi rodzice zostali ustanowieni twoimi opiekunami całe lata temu. Scott o to zadbał. Masz z nami zamieszkać.

– Nie. Nie zamieszkać.

Kady z matką podeszły do kuchennych drzwi i przysłuchiwały się. Jean podniosła rękę.

– Wiem, że wiedziałaś. Żartowałyśmy kiedyś na ten temat.

– Żartowałyśmy, to prawda. Nie zostanę tutaj. Zwróciłam się do pani D.

– Nie mogę tu mieszkać, nie do końca życia. Pani Drummond zatrzepotała ręką.

– Będziemy musieli porozmawiać, Arden. Może nie dziś, ale są sprawy, które należy omówić.

– Nie musimy rozmawiać. Nie ma o czym mówić. Nie mogę zostawić mojego domu, mojego warsztatu. Mam gdzie mieszkać.

Kady oparła się biodrem o framugę.

– Nie możesz mieszkać sama. To szaleństwo. Nie możesz.

– Chcę być sama i to od zaraz. Odchodzę.

Kurtka, buty, przybory toaletowe. Miałam pełne ręce swoich rzeczy i nie pokwapiłam się nawet, żeby zamknąć za sobą drzwi. Brnęłam przez śnieg z opuszczoną głową, chroniąc ją od wiatru – sierota pośród śniegowej zamieci.

51

?

Dobrze było wrócić do własnego łóżka, własnej łazienki, własnego bałaganu. Po raz pierwszy od kilku dni poczułam, że mogę normalnie myśleć, poczułam głód, poczułam ochotę na śmiech z telewizyjnych dowcipów.

Szkoda tylko, że nie mogłam spać. W ogóle niewiele odpoczywałam od drzemki w barze w dniu poszukiwań. Byłam potwornie zmęczona, ale coś nie pozwalało mi zasnąć: żywe, dręczące koszmary. Zaczęły się pierwszej nocy po znalezieniu skutera i zawsze przedstawiały to samo. Ryby i mojego brata. Doszło do tego, że nie mogłam zamknąć oczu nawet w dzień, żeby nie widzieć wciąż tej samej podwodnej sceny: Scott falujący pod wodą jak wodorost oraz popychające i poszturchujące go ryby. Wielkie, małe, gryzące, skubiące. Zazwyczaj budziłam się,

gdy największa ryba zjawiała się pośrodku obrazu i płynęła w moją stronę, to otwierając, to zamykając usta, poruszając skrzelami, z bezdusznymi, martwymi oczami wycelowanymi w moje przerażenie.

Najgorsza była pierwsza noc po powrocie do domu, choć nigdy nie przyznam się do tego przed panią D. Wtedy to zasnęłam na dość długo, by zobaczyć, jak ryby oskubują go do gołych kości, które jedna po drugiej zaczęły spadać w wartki nurt.

Wiedząc, co mnie czeka, wolałam nie spać. Tak więc, gdy kilka dni po wyniesieniu się od Drummondów otworzyłam drzwi grupce gości, wyglądałam okropnie, a czułam się jeszcze gorzej. Rzecz jasna, nie była to wizyta towarzyska i bynajmniej nie poprawiła mi samopoczucia.

Było ich pięcioro: Al, państwo Drummondowie, pani Rutledge – pedagog szkolny – i John Abrahms – prawnik naszej rodziny. Przybyli razem, idąc przez ulicę od domu Drummondów jako grupa. Komitet do spraw sierot.

Usiedli naprzeciwko mnie w pokoju dziennym mniej więcej tak, jak w mojej wyobraźni mogłoby przebiegać spotkanie mające mnie odwieść od zażywania narkotyków. Była w szkole jedna dziewczyna, która przez to przeszła. Jacys ludzie grupą stanęli naprzeciw niej, zmuszając do przyznania, że jest uzależniona od środków odurzających, i wierząc dziurę w brzuchu: kochamy cię, więc zostaniemy tu i będziemy cię męczyć tak długo, aż przyznasz, że marnujesz sobie życie.

O to właśnie chodziło – o życiową interwencję.

Pozwoliłam się przytulić pani Rutledge i skinęłam głową do Johna. Był jednym z kumpli Scotta. Pomagał mi w sprawach ArdenArt i zajmo-

52

wał się podatkami. „Podpisz tu, Arden” – do tego sprowadzały się nasze stosunki.

Założyłam ręce na piersi. Niczego dziś nie podpiszę.

Najwyraźniej przyprowadzili panią Rutledge jako swojego rzecznika. Znałam ją, odkąd zaczęłam chodzić do szkoły. W pierwszej i trzeciej klasie była moja wychowawczynią; potem zaczęła pracować jako pedagog w gimnazjum, gdy ja zaczęłam się tam uczyć, a następnie razem ze mną przeszła do liceum.

– Wszyscy mieszkańcy naszego miasta sercem są z tobą – rozpoczęła, gdy usiedliśmy.

Skrzywiłam się. W ostatnim koszmarze ryby wyżywały się właśnie na tym organie wewnętrznym mojego brata. Uniosła dłonie.

– Masz rację. Nie przyszliśmy tu się rozczulać.

Mówiła dalej: o ludziach, którym na sercach leżała moja przyszłość, o tym, jak zadbał o nią mój brat, co w tej sprawie zrobił. Oddała głos Johnowi. Ten streścił spisany dawno temu przez Scotta testament, skupiając się na opiece nade mną. Potem mówił o pieniądzach – gdzie się znajdowały, ile miałam, do czego będę miała dostęp, a co musi poczekać do ustanowienia tytułu prawnego.

– Finansowo – zakończył radośnie – masz się po prostu świetnie. Popatrzyłam na niego sennymi oczami o obwisłych powiekach. Jego uśmiech zgasł, jak tylko odgadł, co myślę: pod każdym innym względem tkwię w bagnie nie do pozazdroszczenia. Pani Rutledge rozpoczęła kolejne przemówienie, lecz powstrzymałam ją, unosząc dłoń.

– Co musiałyby się wydarzyć, bym mogła żyć sama w świetle prawa?

– Należy złożyć wniosek o usamodzielnienie – odparł John. – Stanowi o tym sędzia.

– Chcę to załatwić.

– Nie możesz być sama...

– Jestem sama – warknęłam. – Moi rodzice zginęli w dżungli, a brat znalazł się na dnie rzeki, więc jestem w tym domu sama. – Zwróciłam się do Drummondów: – Tu nie chodzi o państwa.

Pan Drummond przebierał palcami po kolanie.

– Rozumiem, Arden. Straciłaś rodziców i brata, a teraz chcesz zachować własny dom.

– Właśnie. Dziękuję.

John zmarszczył brwi. Pani Rutledge złożyła ręce.

– Nie mogę nawet spróbować zrobić tego po swojemu?

53

Wszyscy popatrzyli na siebie oprócz Ala, który wpatrywał się we własne stopy, siedząc w tej pozycji, odkąd przyszedł. Nie byłam pewna, po co go ze sobą przyprowadzili. Może chcieli przydać znaczenia życzeniom Scotta przez obecność jego najlepszego przyjaciela, który wiedział, czego drogi zmarły naprawdę pragnął.

Podniósł głowę i spojrzał prosto na mnie.

– Scott miał nadzieję, że pójdziesz na akademię sztuk pięknych, zobaczysz świat

– powiedział. – Miał nadzieję, że dokonasz tego wszystkiego, co jemu nie było dane.

Tak, pewnie tak.

– Więc przez wzgląd na niego, jeśli pozwolą ci na samodzielne życie, to postaraj się go nie spieprzyć.

Pani Drummond głośno wciągnęła powietrze, jej mąż skrzyżował nogi, John popatrzył na panią Drummond zawstydzony. Pani Rutledge – wieloletni szkolny pedagog, przyzwyczajona do bogatego słownictwa – potaknęła.

– Każdy wniosek o usamodzielnienie będzie podlegał ocenie – rzekła – w której my także będziemy mieli swój udział. Będziesz musiała udowodnić, że potrafisz o siebie zadbać.

– Innymi słowy, będziecie mnie obserwować.

– Dla twojego dobra.

– Jak chce, to niech sobie spróbuje – powiedział Al.

Moją uwagę zwrócił ostry ton jego głosu; zaczęłam się zastanawiać, czy on także nie zmaga się z koszmarami. Przypomniały mi się wszystkie te letnie wieczory, kiedy to razem ze Scottem pracowali w garażu przy jego barracudzie, obalając przy tym kilka piw. Nie raz słyszałam, jak Al namawiał mojego brata na kupno skutera, dowcipkując trochę świńsko na temat wrażenia z jazdy z siodełkiem między nogami. Może czuł się winny.

– Skoro tak bardzo chce być sama – mówił – to niech jej będzie. Rany, za rok i tak skończy osiemnaście lat.

Przez towarzystwo przebiegł pomruk: słuszna uwaga, tak, tak. Pani Rutledge rozejrzała się.

– Miesięczny okres próbny, może być?

– Miesięczny? – zaskrzeczałam. W ciągu miesiąca nawet domu nie posprzątam.

– Koniec roku szkolnego – zaproponował pan Drummond.

John wyrównał plik dokumentów, mocno stukając ich krawędziami o aktówkę. – Chyba że znajdzie się choćby najmniejszy powód, byśmy wkroczyli wcześniej.

54

Wszyscy zwrócili na mnie swe ponure twarze.

– Wtedy – dodała pani Drummond – weźmiemy się za ciebie – (John potaknął) – i nie będziemy się cackać.

Dla mojego własnego dobra.

– Muszę się zastanowić – powiedziałam i wstałam. – Może skończymy na dziś? Czy ktoś ma ochotę na coś do jedzenia? Mam tego mnóstwo.

Wszyscy się podnieśli, John zrzucił przy tym z kolan papiery.

– Przyjdiesz do biura podpisać parę rzeczy? – spytał. – Musimy pozmieniać imiona na kontach, ustalić pewne limity. I czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym zerknął na biurko Scotta i zajrzał do jego komputera? Muszę się upewnić, że mam wszystkie wyciągi z banków.

Wzruszyłam ramionami.

– Proszę bardzo.

– Jest jeszcze coś...

Pocierałam czoło. Przestań, przestań, przestań.

– Walt Lorenzo kazał mi przekazać, że musi odzyskać furgonetkę Scotta.

Popatrzyłam na niego. Rozwalają mi życie, a on chce gadać o furgonetce?

– To był firmowy samochód. Honda na szczęście należy do ciebie, prawda?

Potaknęłam, a oni wszyscy zaczęli mówić o czymś innym: o testamencie, rachunkach bankowych, funduszach powierniczych, samochodach, ubezpieczeniach, strzyżeniu trawnika.

John zauważył, że nie nadażam.

– Zawsze czuję się przy tym jak ostatni idiota, ale też zawsze muszę powiedzieć, że śmierć bliskiej osoby pozostawia wiele szczegółów do omówienia.

Wszyscy szemrali: tak, tak, tak wiele spraw.

Sprawy, szczegóły. W tej chwili czułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Pływałam w rzece ze swego koszmaru, podczas gdy oni omawiali szczegóły.

Gdy John szperał w rzeczach Scotta w poszukiwaniu wyciągów, pani Rutledge, Al i pani Drummond przeszli do kuchni na herbatę. Pan Drummond ruszył za nimi, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Zona przyniosła ci cannelloni – powiedział. – Pewnie będzie teraz robiła wszystko w podwójnych porcjach.

55

– Nie potrzebuję.

– Ona tego potrzebuje. Arden, nie masz do nas daleko – mówił – ale wiemy, że może to być dla ciebie najdłuższa wędrówka.

– Nic mi nie będzie.

. – Też tak sędzę. Ale gdybyś kiedykolwiek stwierdziła, że jest inaczej, gdyby nawet chodziło o jedną kiepską noc, przychodź. Drzwi będą otwarte, Arden.

Była sobota, a on się nie ogolił. Na brodzie miał ciemny, mocny zarost, pewnie drapiący i niemiły w dotyku. Czy mojemu ojcu też zdarzało się nie golić w weekendy? Czy nosił powyciągane swetry i umazane farbą džinsy? Czy mama nuciła, robiąc coś w kuchni? Czy kiedykolwiek jedliśmy cannelloni?

Nigdy się tego nie dowiem, nieprawdaż? Wszystkie odpowiedzi na wszelakie pytania przepadły pod kruchym lodem.

21

Cannelloni starczyłoby i dla tuzina sierot. W życiu nie byłabym w stanie wszystkiego zjeść. Zwłaszcza że odkąd przeniosłam się z powrotem do domu, jadłam tylko krakersy i masło orzechowe. Penokee pozostawało w pogrzebowym nastroju i ludzie wciąż przynosili mi różne rzeczy, więc miałam mnóstwo najrozmaitszych ciast i wymyślnych dań na gorąco, jak również kolorowych sałatek. Absolutnie nikt nie przyniósł krakersów ani masła orzechowego.

Wyciągnęłam blachę z makaronowymi rurkami z lodówki i trzymałam ją, dopóki zimny metal nie pozbawił mnie czucia w palcach. Wówczas odstawiłam ją z powrotem i sięgnęłam po mleko. Otworzyłam napoczęty karton i uleciał z niego kwaśnawy zapach.

Odpowiedzialna osoba, stwierdziłam, nie wypiłaby skwaśniałego mleka. Będę musiała to zapamiętać, w razie gdyby komitet do spraw sierot złożył mi kolejną wizytę i sprawdził, co mam w lodówce.

Parking przed jedynym w Penokee supermarketem był raczej zapchany. Na pewno nie miałam ochoty lawirować w tłumie ludzi, którzy wybrali się na zakupy w sobotnie popołudnie, bo nie mieli nic lepszego do roboty. Pojechałam do najbliższego sklepiku.

Nachylałam się nad chłodziarką, usiłując poprzekładać kartony z mlekiem i znaleźć najświeższe, gdy poczułam, że ktoś za mną stoi.

56

Gdy się wyprostowałam i odwróciłam, stanęłam twarzą w twarz z piękną kobietą. Smutną, piękną kobietą. Widziałam ją już raz, na moich urodzinach.

– Arden?

Trzymałam rękę w lodówce, a tylek w powietrzu, ale dziewczyna mojego brata mnie

poznała.

– Claire?

Potaknęła, a wtedy spojrzałam za nią. Głowę wystawiła mała dziewczynka.

– To jest Hanna.

Nachyliła się i szepnęła coś do ucha córki. Dziewczynka i ja wymieniliśmy spojrzenia.

Tuliłam do siebie karton z mlekiem. – Zastanawiałam się, czy się kiedyś spotkamy.

– Powinłam była przyjść. Ale... nie byłam na to gotowa. Posłałam kwiaty.

– Były piękne. Azalie. Dziękuję.

Nagle oświeciło mnie, że czeka mnie jeszcze jeden obowiązek: kartki z podziękowaniem, coś, czego komitet do spraw sierot nie omieszka sprawdzić. Całe to jedzenie, wszystkie kwiaty... rany, będę się z tym grzebać tygodniami.

Claire wyciągnęła rękę za siebie i poklepała Hannę. Pięć-, może sześćioletnia dziewczynka (jak to poznać?) zrobiła wielki krok w bok i stanęła przede mną.

– To straszne, to ze Scottem – rzekła i zaraz znowu schowała się za matkę.

Zabrzączał dzwonek u drzwi, oznajmiając kolejnego klienta. Ucieszone jakąś odmianą, Claire i ja odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy, jak czterech chłopców wchodzi do sklepu.

– Po dwóch na raz! – krzyknął sprzedawca i wskazał na odręczny napis na oknie.

Dwóch chłopaków cofnęło się i zaczęło na zewnątrz, przyciskając twarze do szyby i zostawiając na niej ślady. Ich koledzy precyzyjnie się koło nas po drodze do lodówki z napojami. Jeden z nich kiwnął głową: Taylor Hawkes, całkiem znośny chłopak z drugiej klasy.

– Cześć, Arden.

– Cześć.

Wyciągnął z lodówki butelkę wody mineralnej i zdjął zakrętkę.

57

– Zapłacisz za to? – spytała Hanna.

– A powinienem? Znow się schowała.

Taylor zdjął z półki kilka paczek chipsów.

– Impreza u Racheli – obwieścił mi. – O szóstej. Jej rodzice pojechali na koncert do Duluth.

Nachylił się do Hanny.

– Ty też możesz przyjść.

– To u mnie miała być impreza – rzekła dziewczynka, gdy wyszedł. Claire ręce opadły.

– Miałam urodziny i miało być przyjęcie – dodała dziewczynka. – Scott miał przyjść. Ale on się utopił i mama powiedziała, że nie mogę mieć przyjęcia. Claire otworzyła lodówkę i szybko chwyciła mleko. Dwuprocentowe, cztery litry w dwupaku.

Kucnęłam, by zrównać się z Hanną i znaleźć się z nią twarzą w twarz.

– Lubisz cannelloni?

Dlaczego nie mogą znaleźć jego ciała?

Dałam kobiecie jeść, więc mogła mi chyba odpowiedzieć.

– Skoro potrafia odszukać ciała w oceanie, czemu nie udało im się w rzece?

Claire rysowała widelcem po czerwonym sosie na talerzu.

– Smaczne było.

– Moja sąsiadka, będąc w szkole średniej, uzyskała oficjalny tytuł „Gospodyni Jutra”. Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale jej córki twierdzą, że tak było. Jest przy tym inżynierem elektrykiem i uczy w technikum.

Claire uśmiechnęła się.

– Ciekawe, czy wszyscy inżynierowie to urodzeni kucharze.

– To pewnie kwestia skrupulatnego trzymania się przepisów. Czemu nie mogą go znaleźć, Claire?

Jej wielkie niebieskie oczy wbiły się w stół. Miały barwę mlecznobłękitną i okalały je długie rzęsy – pewnie to one tak oczarowały mojego brata. Claire westchnęła i jej pierś zafalowała.

58

No dobrze, może to wcale nie były oczy.

Mnie w każdym razie w ogóle nie oczarowały. Widziałam w nich jedynie kolejną dorosłą osobę oceniającą moją zaradność i zastanawiającą się, jak ta Arden sobie poradzi?

Nabrała trochę sosu na palec i zlizwała.

– Możliwe, że nigdy go nie znajdą. Jeśli nie wyciągną go przed roztopami, najprawdopodobniej tak się właśnie stanie.

– Dlaczego?

Cichutki głos Hanny doleciał z pokoju dziennego; nuciła melodię z rozpoczynającej się bajki. Dobrze, będzie zajęta przynajmniej przez pół godziny.

– Prąd stanie się zbyt silny, a poziom wody zbyt wysoki. Rzeka albo zaniesie ciało aż do jeziora Superior, albo gdzieś je ukryje. Jeśli wepchnie je w jakąś skalną szczelinę albo do jaskini, może tam pozostać, dopóki się nie rozłoży. A jeśli zahaczy się o jakiś pień bliżej powierzchni... Cóż, w każdym wypadku narażone jest na działanie padlinożerców.

Na przykład ryb.

– Jak sądzisz, co właściwie stało się tamtego wieczora, Claire? Zastanawiałaś się nad tym?

Tym razem jej oczy nie oceniały; zamiast tego dosłownie rzuciły mi w twarz to, co pomyślała: głupie pytanie.

– Oczywiście, że się zastanawiałam. Myślałam o tym, jak spędziłam wieczór, usiłując udawać, że to nic takiego, że facet, z którym się związałam, nie zjawił się na kolacji. Myślałam, co by się mogło wydarzyć, gdybym schowała swoją dumę do kieszeni i zadzwoniła do gospody albo tutaj wcześniej. Myślałam o naszym ostatnim spotkaniu i o tym, jak posprzeczialiśmy się na temat tego jego głupiego skutera. Czy się nad tym zastanawiałam? To była obsesja.

– Ze mną jest podobnie. Najczęściej myślę o automatycznej sekretarce i o tym, jak inaczej mogłoby się wszystko potoczyć, gdyby któreś z nas, Scott albo ja, włączyło ją tego dnia. Zwykle to robimy. Wiem, że dzwoniłaś. Nie odebrałam, bo siedziałam w wannie.

Moczyłam się bezpiecznie w gorącej kąpieli, podczas gdy mój brat wpadł do lodowatej wody i zamarzł.

– A czasem zastanawiam się, jak długo trzymał się lodu, zanim zsunął się pod wodę. To chyba najgorsze... wyobrazić sobie, jak usiłuje się wydostać, walczy, a potem...

Obie zmagaliśmy się z tą przerażającą wizją w milczeniu. Claire wciąż bawiła się widelcem i sosem na talerzu.

59

– Miejsce, w którym utonął, należy do najbardziej niebezpiecznych na całej rzece – odezwała się po chwili. – Woda mija most ze wzmożoną siłą, bo koryto jest w tym miejscu węższe, a dalej pędzi w stronę tamy. Dno jest skaliste, sterczy z niego mnóstwo korzeni, jest pełno dziur. Najprawdopodobniej prąd zaniósł jego ciało do jednej z takich szczelin. I tam zostanie, dopóki temperatura wody się nie podniesie. Mam mówić dalej?

– Tak. Westchnęła.

– Nawet kilka metrów od miejsca, gdzie znaleziono jego skuter, nurkowanie jest zbyt niebezpieczne.

– A gdy się ociepli?

– Wtedy tym bardziej. Nurt będzie za silny z powodu deszczy i roztopów. Aż trudno uwierzyć, że chciał przejechać akurat w tamtym miejscu. Tam woda nigdy nie zamarza, a lód dokoła zawsze jest cienki. Scott nie wiedział, jakie to zdradliwe, nie miał doświadczenia. Pewnie pomyślał, że to najkrótsza droga do mojego domu. Albo może chciał coś udowodnić.

– Śnią mi się koszmary – wyznałam cicho.

– Na temat Scotta w rzece?

– Tak. Widzę, jak ześlizguje się pod lód, a potem okręca się w wodzie. Ryby...

– Tak pewnie będzie na wiosnę. Na razie... cóż, zimna woda konserwuje. Mam przyjaciół, którzy nurkują w jeziorze Superior. Kilka razy zeszli tak głęboko, że znaleźli się znacznie poniżej poziomu, na którym żyją jakiegokolwiek ryby, a woda jest idealnie nieruchoma. Widzieli zwłoki, które mogły mieć ze sto lat, wciąż w ubraniach. Mówili, że wyglądają jak rzeźby w muzeum figur woskowych. Znów zamilkłyśmy.

– To okropne – stwierdziła po chwili.

– Trudno o tym nie myśleć.

Palcem wskazującym prawej ręki stuknęła w szklankę.

– Arden, czy on kiedykolwiek o mnie mówił?

Teraz ostrożnie. Niewłaściwe słowo załamało tę kobietę bardziej niż najkoszmarniejsza wizja. Z pewnością nie miałam zamiaru oznajmić tego, że Scott powiedział: „Nie kocham jej”. Jej uczucia były oczywiste.

– Mieszkaliśmy tu tylko we dwójkę – zaczęłam, starając się wyczuć, jak powiedzieć więcej, nie raniąc – więc musieliśmy uważać, żeby nie wejść sobie na głowy. Jak tylko podrosłam, Scott w zasadzie odsunął

60

się i nie zwierzaliśmy się sobie. No wiesz, nie siadywał już na moim łóżku, żeby powiedzieć dobranoc, i tak dalej.

No, chyba poskutkowało. Spostrzegłam, że przestała myśleć o swoim związku ze Scottem, a zaczęła o moim.

– To trochę nie na temat, ale... w jaki sposób przekazał ci wiedzę na temat bardziej intymnych spraw?

– Takich jak miesiączka czy współżycie seksualne? W ogóle nie przekazał; nic na ten temat nie wiem.

Rozluźniła się, zadowolona, że zażartowałam. Na moment obie uwolniłyśmy się od przerażających obrazów. Wstałam i zebrałam naczynia.

– To było pole do popisu dla pani D.

– Pani D.?

– Jane Drummond. To ta doskonałą kucharka. Moja opiekunka prawna. Mieszka po drugiej stronie ulicy. Jej najmłodsze córki są moimi najlepszymi przyjaciółkami. Claire pokiwała głową. Położyła nogi na wolnym krześle.

– Żonglujące dziewczyny. Scott mówił mi o nich. Przypuszczam, że wiem o twoim życiu znacznie więcej niż ty o moim.

– To na pewno. Jeszcze kilka tygodni temu nie miałam w ogóle pojęcia, że mój brat się z kimś spotyka, nie mówiąc już o fakcie, że ta osoba ma dziecko.

Zatkało mnie, jak do was zadzwoniłam i usłyszałam głos Hanny.

Podniosła szklankę z wodą i się napiła.

– Scotta też zatkało. Przez jakiś czas się do mnie nie odzywał, jak się dowiedział, że jestem matką.

– Chyba jakoś się do tego przyzwyczaił.

– Na to wyglądało. A potem... Schowała głowę w dłoniach.

Dwie kobiety na krawędzi załamania nerwowego. Obie straciłyśmy tę samą osobę, ale mowy nie było, żebym miała z nią płakać. Ostatecznie dopiero co się poznałyśmy.

Chwała telewizji i puszczanym w niej reklamom.

– To najlepsza bajka, jaką oglądałam.

Claire i ja z ulgą odwróciłyśmy się w stronę wejścia. Hanna stała tam rozpromieniona, nieświadoma żadnej koszarnej rozmowy. Claire wyciągnęła ręce, ale córka pokręciła głową.

– Może po reklamach pooglądacie ze mną?

Przeniosłyśmy się do pokoju dziennego i zaczęłyśmy rozmawiać na bardziej życiowe tematy – lalki Barbie, nowe filmy, wspomnienia

61 -----

z przedszkola, ochota na prażoną kukurydzę. Nawet gdy plotkowałyśmy, miliony pytań przetaczały się przez moją głowę. Kim jest ojciec Hanny? Od jak dawna tu mieszkają? Jak Claire poznała Scotta? Czy sama farbowała włosy?

Bajka się skończyła i Hanna zerwała się z miejsca. Pora do domu? Nie.

– Mogę zobaczyć, gdzie pracujesz? – spytała. – Scott mówił, że robisz różne rzeczy z drewna. Mówił, że dasz mi coś.

– W takim razie dam ci. Ale to nie zabawki, Hanna. Ja robię lustra i ramki do obrazków, tego typu rzeczy.

Odgarnęłam jej z ucha kosmyk włosów, a ona odskoczyła i popatrzyła na mnie chmurnie. Głupi gest – małe dzieci nie lubią, jak się je dotyka.

– Przepraszam. Sprawdzałam tylko, czy masz przekłute uszy. Robię też puzderka na kolczyki.

– Żadnych kolczyków – wtrąciła się Claire. – Dopóki nie skończy trzynastu lat.

– Surowa mama, co? – zwróciłam się do dziewczynki. Potaknęła i znowu się uśmiechnęła.

– Na randki pewnie też cię nie będzie puszczać.

– No – skrzywiła się Hanna.

Mój warsztat jej nie zachwycił. Nie pracowałam od wypadku Scotta, więc wszystko było zakurzone. Patrzyła z powątpiewaniem, dopóki nie pokazałam jej ostatniego projektu lusterka. Trzymała jedyne, jakie zdołałam dokończyć.

– Jest śliczne – orzekła.

Claire zajrzała jej przez ramię i roześmiała się. Lustro, dwadzieścia centymetrów na trzydzieści, otoczone było brązową ramką z sześcioma gumowymi

buziakami.

– Myślicie, że będą się sprzedawać? – spytałam. Potaknęły.

– Sprzedasz cały milion – zapewniła Hanna.

– Nie mam miliona. Tylko jedno. Możesz je sobie wziąć.

– Powinnaś zrobić milion, naprawdę. Kupiłabym jedno. Moja koleżanka Lindsey ma niedługo urodziny. Kupię jedno dla niej. Zrobisz mi?

Zwyczajna prośba, ale nie potrafiłam powiedzieć „tak”. Rozejrzałam się po pudłach sztucznych klejnotów, stojakach z drewnem na ramy, słojach z gwoździami i stosie gumowych ust – i wszystko to uderzyło mnie jako pokryte pyłem drobiazgi z życia, które przeminęło.

– Nie jestem pewna, Hanna. Chyba zrobię sobie wakacje. Przykro mi.

62

Claire ostrożnie przyłożyła kciuk do ostrza wyrzynarki.

– Sporo zainwestowałaś w wyposażenie.

– Niewiele. To wszystko tu było. Należało do mojego ojca.

– Co lubił robić?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Czy Scott pozwolił ci tak zwyczajnie eksperymentować z tymi urządzeniami? To dość niebezpieczne.

– Oczywiście, że nie. Zanim zostawił mnie samą z elektronarzędziami, musiałam przejść kurs dla stolarzy w zakładzie doskonalenia zawodowego. Musiał mieć pewność, że będę bezpieczna.

– Te buziaki są śliczne – zachwycała się Hanna.

Uniosła lustro na wysokość twarzy i ostrożnie pocałowała jedno z czerwonych ust. Przycisnęła prezent do piersi. Jej wzrok błąkał się dokoła, badając matkę, aż w końcu spoczął na mnie.

– Scott miał mi dać coś jeszcze...

– Hanna!

– Miał mi przynieść kartę baseballową z autografem Franka Thomasa. Niósł mi ją, jak zginął.

Nim jej matka zdażyła ją zgromić, wyciągnęłam rękę.

– Nie wziął jej ze sobą! Wciąż tu jest. Chodź ze mną. Razem pobiegłyśmy schodami na górę.

Karty, rzecz jasna, nadal leżały na jego szafce nocnej. Album, tak jak przedtem, otwarty na środku, a kilka kart walało się luzem – wszystko trochę bardziej zakurzone niż przed tygodniem.

– To na pewno to. Musiał zapomnieć.

Hanna wzięła kartę i przejechała po podpisie pękatym paluszkciem.

– Lubisz baseball? – spytałam.

– Tak, ale najbardziej lubię zbierać karty. Ta jest super. Obiecał, że mi ją da. Naprawdę.

– Jest twoja.

– Może być coś warta, Arden – odezwała się Claire z korytarza.

– Nieważne, zwłaszcza że jej obiecał.

– Obiecał. – Hanna trzymała kartę za brzegi. – Mówił, że ją przyniesie; powiedział, jak dzwonił tamtego ranka.

– Dzwonił? – spytała ostro Claire.

– No. Byłaś pod prysznicem. Długo gadaliśmy. Obiecał, że mi to przyniesie i że zabierze mnie do centrum handlowego „Mail of America”.

Hanna odwróciła się plecami do matki.

– Ona tam ze mną nie pójdzie – powiedziała bezpośrednio do mnie.

63

– W centrum jest świetnie. Może ja cię kiedyś zabiorę.

– Jak Scott.

– Tak, jak Scott.

Miała już swoje łupy i gotowa była iść do domu. Claire mruczała coś o bałaganie w kuchni, ale machnęłam ręką.

– Pozmywam. Przecież jestem odpowiedzialną osobą.

Hanna z rozmachem otworzyła drzwi na zewnątrz, a poły rozpiętej kurtki powiewały na zimnym wietrze.

– Arden, chciałabym jeszcze kiedyś porozmawiać bez... – Claire kiwnęła głową w stronę córki.

– Jasne.

– Może kiedyś po szkole mogłabyś przyjechać do parku. Odbieram ją ze świetlicy

szkolnej dopiero około piątej. Po południu nie kręci się tam zwykle zbyt wielu ludzi, więc mogłybyśmy pogadać.

– Świetnie.

– Al czasem mnie odwiedza. Prawie codziennie chodzi nad rzekę i wpada, żeby się rozgrzać.

– Po co tam chodzi?

– Szuka. Lód się zmienia. Tworzą się jedne dziury, zamykają inne, kiedy wiatr się zmienia. Al chce... Wszyscy chcemy...

– Znaleźć je, zanim zrobi to jakieś zwierzę.

Popatrzyłyśmy sobie w oczy, obie przerażone brzmieniem jednego zaimka.

Znaleźć je.

23

W dniu powrotu do szkoły ludzie byli dla mnie wyjątkowo mili. Sporo osób nie wiedziało, co powiedzieć, ale większość próbowała, co oznaczało, że zwykle kulili ramiona i poruszali ustami, jakby chcieli coś z siebie wydobyć, ale praktycznie bezgłośnie. Z kolei inni, szczególnie chłopcy, mówili za dużo, paplając wciąż o tym, jak to kiedyś widzieli Scotta w sklepie, jak się uśmiechał i żartował ze sprzedawcą, albo jak naprawił hamulce w aucie wujka, albo wspominali, jak w dzień ojca w piątej klasie pokazywał wszystkim swoje narzędzia.

Cody zatrzymał mnie, żeby powiedzieć: „Kurczę, Arden, fatalnie, rany, co za okropna śmierć”.

64

Tak, przyznałam.

We wtorek moje życie przestało być już tematem numer jeden, zwłaszcza że zaczął się akurat Zimowy Karnawał w Penokee. Zawody sportowe, koronacje, codzienne koncerty w szkolnej kawiarence. Ile wesołości może znieść oplakująca brata dziewczyna? W czwartek miałam dość i urwałam się z akademii. Nie obchodziło mnie zwyczajnie, kto zostanie królem i królową pierwszaków. Zostawiłam w szafce Jean wiadomość, że nie najlepiej się czuję i że mają wrócić do domu autobusem albo poczekać na swojego ojca. I zwiałam.

Wybrałam kiepską porę. Dyrektor, pan Mills, zauważył mnie w hallu akurat w chwili, gdy w sali gimnastycznej zaczęła grać orkiestra.

– Arden? – rzucił.

Zabawne, jakiego znaczenia może dodać jednemu słowu głos dyrektora. Myślałam szybko. Dentysta? Lekarz? A, racja: – Mam spotkanie z prawnikiem – rzekłam. – Mam podpisać jakieś dokumenty. To mu wystarczyło.

– Jasne, jasne – powiedział cicho. – Pewnie masz wiele do zrobienia. Masz usprawiedliwienie?

– Niby kto miałby mi je napisać?

Rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, czy nikt go nie słyszy, po czym chwycił mnie za łokieć i zaprowadził do ławki stojącej obok jego gabinetu. Usiedliśmy.

– Pani Rutledge mówiła mi o okresie próbnym twojego usamodzielnienia – zaczął.

– Będę mieszkać sama.

– Jest, jak wiadomo, reprezentantką naszej szkoły w Komitecie ochrony praw dziecka i ma największe kompetencje, by to osądzić. Poradziła mi, by szkoła nie stawała ci na drodze do usamodzielnienia.

Wiedziałam, co chce usłyszeć.

– Doceniam wsparcie i pokładane we mnie zaufanie.

– Tak, zaufanie.

Podniósł się, by przypomnieć, kto tu jest górą.

– Nie zawieź go.

Nie chciałam dać mu okazji do przyłapania mnie na kłamstwie, więc pojechałam do miasta. Gdy weszłam do biura Johna, sekretarka rzuciła słuchawkę telefonu i skupiła się na swoich obowiązkach. Nie była wiele starsza ode mnie i pamiętałam, że kiedyś spotykała się chyba z jednym z chłopaków od Drummondów, ale nie pamiętałam, jak ma na imię. Przedstawiłam się, a ona poruszyła się nerwowo.

65

– Jest w sądzie – oznajmiła. – Niedługo wróci. Nie byłaś z nim umówiona, ale wiem, że chciał się z tobą spotkać. Możesz tu wrócić o wpół do drugiej?

– Powiesz panu Millsowi, że tu byłam, gdyby zadzwonił?

– Stary Mills cię pilnuje? Jasne, kiedy tylko zechcesz.

Na głównej ulicy Penokee znajdowało się sześć opustoszałych wystaw, jeden sklep z narzędziami, dwóch optyków, sklep z używaną odzieżą, dentysta i cztery

restauracyjki. Trudno tu cokolwiek kupić, ale zawsze można coś zjeść. Wybrałam Domowy Grill „U Leny”. Domowe jedzenie – musieliby mi dać łyżkę i plastikowy pojemnik z lodówki.

Przemknęłam do boksu na tyłach pomieszczenia i usiadłam plecami do drzwi.

ŚNIADANIA PRZEZ CAŁY DZIEŃ – głosił dumny napis na ścianie.

Zjawił się nade mną cień. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Lenę we własnej osobie.

– Co dobrego dzisiaj macie? – spytałam. Nie musiała się zastanawiać.

–; Huevos rancheros*. Specjalność zakładu.

– Doskonale – rzekłam. – I poproszę kawę.

– Wcale nie chcesz kawy, kotku – powiedziała stanowczo. – Trzeba ci soku.

I przyniosła mi go razem z jajkami.

Zmazywałam z talerza resztki ostatnim kawałkiem tortilli**, gdy zjawił się John. Rzucił aktówkę na barek przy ścianie i zdjął z szyi szalik. Powiesił płaszcz na wieszaku.

– Przysiądziesz się? – spytałam. Lena zjawiła się, niosąc mu kawę.

– Też bym się napiła – powiedziałam. Odeszła szybko, kręcąc głową.

– Nie daj jej napiwku – zwróciłam się do Johna. Pokiwał głową.

– Jakiś czas temu stwierdziła, że powinienem pić bezkofeinową, i inną mnie tu nie uraczy.

– Jak mnie znalazłeś? Czy może to przypadkowe spotkanie?

– Britt powiedziała mi, że byłeś i poszłaś na lunch.

* Huevos rancheros (hiszp.) – smażone jajka podawane ze specjalnym sosem, meksykańska potrawa popularna w USA. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Tortilla (hiszp.) – cienki okrągły placek z pemoziarnistej mąki kukurydzianej.

----- 66 -----

Britt, racja. Dziewczyna, z którą Tyler Drummond był na balu maturalnym.

– To drugi lokal, jaki sprawdziłem. W Penokee niewiele musiałbym się nachodzić.

Oboje skomentowaliśmy krótko to stwierdzenie, po czym on otworzył swoją teczkę.

– Pozwolisz, że porozmawiamy tutaj? Moglibyśmy wrócić do kancelarii, ale umieram z głodu. A propos, Harold Mills dzwonił ze szkoły, żeby cię sprawdzić.

– Pewnie w przyszłości sama będę musiała sobie pisać usprawiedliwienia.

John nie był w nastroju do żartów; tym bardziej że miał pod ręką swoją aktówkę.

Podobnie jak Al, był szkolnym kolegą Scotta, jednym z niewielu, jakich udało mu się zdobyć w ciągu jednego roku w liceum w Penokee. Odnowili swoją przyjaźń, gdy John wrócił do miasteczka, ukończywszy studia prawnicze.

– Nie miałaś w tym tygodniu kłopotów z uzyskaniem gotówki?

– Niepotrzebna mi była gotówka.

– Cóż, w banku wszystko już załatwione. Nie powinnaś mieć żadnych problemów.

Zleciłem też bezpośrednie opłacanie twoich rachunków za dom. Tu masz listę.

Podpisz tylko przy iksie nad swoim nazwiskiem. Mógłbym nawet załatwić miesięczne regulowanie rachunków za zakupy spożywcze.

– Poradzę sobie, John.

– Świetnie. Przejrzałem wyciągi bankowe za miniony rok i mam już wizję twojego budżetu. Razem ze Scottem nie pławiliście się w luksusie, ale żyliście dostatnio.

Wygląda na to, że utrzymanie domu, a nawet więcej, pokrywały dochody z funduszy powierniczych ustanowionych dla was przez rodziców. Pobory Scotta wpływały wprost na wasz wspólny rachunek, ale to było jak kieszonkowe; nie potrzebowaliście tych pieniędzy na nic, chyba że na pomnożenie tego, co już mieliście, i na remont barra-cudy.

– I na kolejne skutery śnieżne.

Wpatrywałam się w jego kawę. Czy ośmielę się wziąć łyk? Zerknęłam w stronę lady, skąd obserwowała mnie Lena. Dokończyłam swój sok.

John nadal mówił o pieniądzach, wyjaśniał, w jaki sposób będzie kontrolował ilość wypisanych czeków i opłaty. Zmarszczyłam brwi.

– Będiesz mnie sprawdzał aż tak dokładnie? Potaknął.

67

– Na tym polega moja praca.

Stuknęłam głową o oparcie i wpatrzyłam się w głowę jelenia zawieszoną na tylnej ścianie. W porządku, byłam sierotą, a on prawnikiem z licencją na wściubianie nosa w nie swoje sprawy. Ale czy musiał wiedzieć wszystko? A gdybym tak kupiła sobie coś w sklepie z fikuśną bielizną? Po jakim czasie siedzący przede mną facet dowiedziałby się, gdzie byłam, co robiłam i co mam na sobie pod golfem?

Od dziś zaczynam płacić gotówką.

– Arden, czy mogłabyś zerknąć na te liczby? Ta tutaj, na dole, to kwota, jaką pani Drummond i ja ustaliliśmy jako twoją miesięczną pensję.

– A jeśli będę potrzebować więcej?

– Wówczas będziemy musieli się skonsultować. Naszym obowiązkiem jest dopilnowanie, żeby niczego ci nie zabrakło. Aha! Zamówiłem dla ciebie nowe czeki.

Bez imienia Scotta.

Wręczył mi jeszcze kilka dokumentów i patrzył, jak podpisuję; następnie wstał, wyraźnie zadowolony ze spotkania.

– No to sprawa załatwiona.

Tyle miał do powiedzenia na temat mojej przyszłości: załatwiona.

Opatulił się, żeby nie zmarznąć, poklepał mnie po ramieniu i wyszedł. Siedziałam z założonymi rękami i gapiłam się w stół.

Zjawiła się Lena, przy czym prędzej poczułam ciężki zapach jej perfum, niż usłyszałam kroki.

– Proszę, złotko – rzekła i postawiła przede mną kubek mocnej czarnej kawy. – Wygląda na to, że dobrze ci ona robi.

24

Oto jak wygląda samotne życie kształtowane przez śmierć bliskiej osoby.

Słyszysz dźwięki. Lodówka włączając się buczy delikatnie, ale ten odgłos wystarczy, by wyrwać cię z transu. Odkrywasz, że siedzisz w kuchni i jest druga w nocy.

Prawie nic nie jesz. Mleko kwaśnieje.

Zadania domowe zaczynają z tobą rozmawiać. Leży przed tobą otwarta książka do historii. Daj sobie spokój, mówi. Leży plik ćwiczeń z matematyki. Pieprzyć to, pyskuje.

68

Zostawiasz na noc zapalone światła. Mimo to w cieniu widzisz najrozmaitsze rzeczy.

Twoim przyjacielem staje się telewizor. Wkrótce masz swoją ulubioną reklamę w „Telezakupach” i ulubioną osobę, która w niej występuje. Oglądasz, rzecz jasna, dużo MTV, bo leci przez całą noc. Zaczynasz zastanawiać się nad połyskującymi, pozbawionymi owłosienia torsami wokalistów rockowych. Czy depilują je gorącym woskiem? Potem kanał z prognozą pogody. To też oglądasz. Wczoraj – trzydzieści stopni mrozu w Cut Bank w Montanie. Dziś – dalsze opady śniegu w Buffalo. Deszcz i powodzie w Ada w Oklahomie. Deszcz. W lutym. Wyglądasz przez okno na własne zaśnieżone podwórko i godzinami zastanawiasz się nad tym fenomenem.

Musisz stąd wyjść – orzekła Jean.

– Wychodzę przecież. Od tygodnia codziennie chodzę do szkoły.

– Mam na myśli wyjście. Musisz coś zrobić. Zacerpnąć świeżego powietrza.

Pociągnęłam nosem.

– Faktycznie trochę tu duszno. Wieczorem robiłam omlet i zużyłam mnóstwo cebuli.

– Pani Penny dzwoniła dziś rano do mamy i mówiła, że masz poważne zaległości.

Miałam tego nie słyszeć, ale czasem nie sposób.

– Zwłaszcza gdy się podsłuchuje przy drugim aparacie.

– Aż taka wredna nie jestem. Mama ma po prostu zwyczaj powtarzania na głos wszystkiego, co usłyszy. Nie bardzo wie, jak sobie poradzić z twoimi problemami w szkole.

– Pewnie, że nie wie. Nie ma takiego doświadczenia z tobą i twoją świętą siostrą.

– Arden, wiem, że ja nigdy nie chciałabym mieszkać sama, ale skoro ty już się znalazłaś w tej sytuacji, próbuję ci pomóc. Wiele osób jest zaangażowanych w ten mały eksperyment, a ja...

– Eksperyment? To nie żaden eksperyment, Jean. To moje życie. Moje jedne, jedyne sieroce życie.

– Sieroce?

Wzruszyłam ramionami. – Nie wiesz, co to znaczy?

69

Z miski z nieświeżymi owocami wzięła jabłko i zaczęła przerzucać je z ręki do ręki.

– Możesz się zgrywać na odludka, Arden, ale jak narobisz sobie kłopotów w szkole, od razu wezmą cię w obroty.

– Opuściłam dziewięć dni nauki, a ludzie się dziwią, że mam zaległości? To nie jest nic strasznego, Jean. Powiedz mamie, że się tym zajmę.

– Raczej nie pozwolą ci olewać wszystkiego tak jak Scott.

– Scott nie pozwalał mi niczego olewać, on pozwalał mi zwyczajnie brać odpowiedzialność za swoje... obowiązki. Powiedz mamie, że odrobnię te cholerne lekcje.

Nagłym gestem odebrałam jej jabłko. Zazwyczaj takie odruchowe żonglowanie mi nie przeszkadzało, ale tym razem miałam ochotę skrępować jej rękę lina, gdybym tylko znalazła jakąś gdzieś w pobliżu.

– Nie tylko szkoła wszystkich niepokoi. Nie wyglądasz najlepiej. Pora na wyznanie, tylko ostrożnie.

– Nie mów mamie, ale nie mogę spać.

– Może powinnaś coś brać.

– Nie sądzę, by komitet do spraw sierot zezwolił mi na łykanie prochów. A gdyby już do tego doszło, czego oczekujesz, że twoja mama będzie mi je wydzielać? Po jednej co noc?

– Ona ufałaby ci, Arden. Nikt nie uważa, że jesteś aż tak załamana. Wzięła do ręki pomarańczę i toczyła ją dłonią po udzie.

– A może jesteś?

Tak jak ja, Jean nigdy się nie maluje – tylko że jej bardziej z tym do twarzy, przy długich rzęsach i lekko zaróżowionych policzkach. Wszystko na jej buzi jest okrągłe: usta, policzki, nos. W tej chwili jednak najbardziej okrągłe były oczy, wielkie z powodowanego miłością niepokojem. Oddałam jej jabłko, a ona bez najmniejszej oznaki świadomego zastanowienia zaczęła toczyć je razem z pomarańczą, tworząc na kolanach dwie kolorowe smużki.

– Jean, nie zrobię sobie krzywdy w akcie desperacji. Jestem tylko zmęczona.

– I to wszystko?

– Niekiedy wystraszona.

– Może powinnaś z kimś porozmawiać, Arden. Mnóstwo ludzi to robi. Mama mogłaby ci znaleźć jakiegoś terapeutę.

– Nie ma mowy, żebym dopuściła do swojego życia jeszcze jakiegoś dorosłego.

– Musi być coś, co możesz zrobić.

70

Ostatnia uderzeniowa dawka telewizji wskórała coś więcej poza tym, że zabiła czas i wypełniła hałasem pusty dom. Dzięki paplaninie i bełkotowi zasłyszonym podczas różnych talk-showów wzbogaciło się moje słownictwo.

– Jasne – odparłam. – Mogę stawić czoło własnym demonom.

Zaparkowałam koło mostu, wprowadzając samochód do szerokiej zatoczki na odnodze drogi lokalnej.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – spytała Jean.

– Możesz tu zostać, w ciepełku.

Westchnęła i otworzyła drzwi. Całe ogrzane powietrze zostało momentalnie wypchnięte. Minus siedemnaście, obwieściło właśnie radio, po czym rozbrzmiała w nim rzewna piosenka.

Zjechałyśmy na pupach stokiem w stronę rzeki, gdzie znalazłyśmy wąską ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta i naznaczoną niezliczonymi śladami raków. Raki to dobra rzecz; szkoda, że ich nie mam i nie umiem się w nich poruszać.

Nie uszłyśmy nawet dwóch metrów, gdy zapadłam się pod skorupą zmrożonego śniegu. Chwyciłam się krzewu i podciągnęłam się.

– Jak daleko masz zamiar iść? – spytała Jean.

Pokazałam na wielkie odkryte skały, może półtora kilometra przed nami.

– Tam.

Przebrnęłyśmy przez śnieg i zarośla, zaliczając jeszcze tylko kilka upadków; następnie wspięłyśmy się na największy głaz. Dyszałam ciężko.

– Brak kondycji – wysapałam.

– To widać. Jesteś czerwona jak burak.

Jean ulepiła kilka śnieżek i puściła je w ruch. Podparłam się z tyłu na rękach i rozejrzałam dokoła. W tym miejscu rzeka rozlewała się, tworząc niewielkie jezioro. Ani śladu progów i skał, które wiosną i latem przyciągały żadnych wrażeń kajakarzy. Nic, tylko tafla pokrytego śniegiem lodu, naznaczonego niewielką łąką nie zamrożonej wody w pobliżu mostu.

– Wcale nie wygląda aż tak niebezpiecznie – stwierdziłam.

– Chyba nie masz zamiaru tam iść?
Nie złapała jednej śnieżki i kulka spadła u moich stóp rozsypując się.
Pokręciłam głową.
– Tylko patrzę.
– To nie patrz za długo. Jak przestaniemy się ruszać, to zaraz zamarzniemy.
Słońce się schowało.

71

– Nurkowie musieli znaleźć jego skuter gdzieś tam.
Pokazałam na miejsce kilka metrów w dół rzeki od mostu. Pokrywa śnieżna była biała, lecz znajdowały się na niej ciemniejsze łaty, jakby tylko cienka warstwa leżała na czymś ciemniejszym, na czymś jak czarna woda. Czemu go nie znaleźli? Jak daleko mógł podryfować?

Jean lepiła kolejną śnieżkę, która jednak rozpadła się jej w dłoniach. Podała się i objęła rękoma kolana.

– Jest zimno, Arden.

– No to ruszajmy się. Przejdźmy się.

– Aż tak zimno chyba nie jest.

Ktoś zbliżał się do nas, idąc w górę rzeki – jaskrawoczerwona plama na białoszarym tle. Postać kołysała się z boku na bok z rękami na butach. Po chwili za czerwoną plamą pojawiła się zielona, także w rakach. Para stanęła plecami do nas.

Wyższa postać pokazała coś, po czym obróciła się powoli, a wyciągnięta ręka omiotła krajobraz w górę rzeki i wycelowała w nas. Ramię opadło, gdy oboje stanęli twarzą do mostu.

Al i Claire. Wstałam i pomachałam.

Oboje musieli mieć niezłą kondycję, bo żadne nie miało zadyszki po przebiegnięciu odległości dzielącej ich od naszej skały. Dostrzegłam na plecach Claire plecak, w którym, jak mi się zdawało, zamajaczył zarys termosu.

– Idziecie na piknik? Popatrzyli na siebie.

– Al pokazywał mi pewne rzeczy – odparła.

– Co takiego?

Al odpiął raki i wetknął je pionowo w śnieg.

– Macie tam jeszcze miejsce u góry?

Claire faktycznie miała termos z herbatą i – jak przystało na wytrawną matkę – ciasteczka. Mógłby to być całkiem radosny piknik, gdyby nie oczywisty powód, który – o czym nie sposób było zapomnieć – przywiódł nas wszystkich w to miejsce.

– Nie wiedziałam, że też szukasz – powiedziałam do Claire.

– Dziś pierwszy raz. Miałam wolne, pogoda była niezła, a Hanna została z koleżankami. Al zasłużył sobie na towarzystwo.

– Czy to się trochę nie mija z celem? – odezwała się Jean. – Większość rzeki skuta jest mocnym lodem.

– Nie tak do końca – odparł Al. – Wystarczy trochę słońca i wiatru, a zaczynają odsłaniać się dziury. To tylko z pozoru mocny lód.

Przesunął się, krzyżując nogi.

72

– To go właśnie zmyliło – dodał cicho.

– Przyszliście tu pieszo aż z parku? – zapytała Jean.

– Tylko od Winkera – odrzekła Claire. – Doszliśmy do zapory, a teraz szliśmy z powrotem. Piękny jest ten odcinek rzeki.

Piękny grób.

– Gdybyś była tu chwilę wcześniej, spotkałabyś Lee Mueller – rzeki Al.

– Kto to jest?

– To specjalistka od poszukiwań i akcji ratunkowych, Arden. Ma wspaniałego psa wytresowanego do wyszukiwania zapachów w powietrzu. Szeryf dwa razy wzywał ich na poszukiwanie.

– Czy nie upłynęło za dużo czasu i nie spadło za dużo śniegu, żeby móc tropić?

– znów spytała Jean.

Al pokręcił głową.

– Pies wyszukiujący zapachy nie tropi. Choć metoda jego prac jest dość makabryczna.

– To znaczy, Al? – odezwałam się.

– Zwłoki wydzielają gazy, które przedostają się przez śnieg i wodę, nawet przez lód. Pies potrafi wyczuć je na odległość i iść za nimi do źródła.

– Czy ten pies poczuł coś dzisiaj? – dopytywałam się.

– Nie, Arden.

Przyciągnął swoje długie nogi do brzucha i oparł na nich podbródek.

– Próbowaliśmy już wszystkiego – wyszeptał. – Nie możemy go znaleźć.

Claire napełniła kubek herbatą z termosu i piliśmy po łyku, każdy po kolei.

Rosyjski czaj; za słodka jak dla mnie. Wolałabym kawę bez cukru. Jean przerwała ciszę.

– Chciałabym wypróbować twoje raki – zwróciła się do Claire tonem, który zabrzmiał stanowczo zbyt radośnie na tle szarego dnia i ponurych nastrojów. – Mogę?

– Jasne. Zapięcia powinny pasować do twoich butów.

– Pokażę ci.

To zaproponował jej ochoczo Al i razem z Jean ześlizgnęli się z głazu na ziemię.

– W ten sposób – mówił, gdy mocowali raki do jej stóp. Kołysząc się przesadnie, pokazał jej, jak iść, po czym ruszył szlakiem, wracając do swego normalnego kroku, stopa za stopą. Jean kilka razy za-trzepała rękami, jakby coś podrzucała; zdawało się, że pomagała sobie

73

w ten sposób utrzymać równowagę, bo szybko ruszyła, doskonale naśladowując swego przewodnika.

– Załapała. Zdumiewające – dziwiła się Claire.

– Jest dość zwinna; gdybyś tylko widziała, jak potrafi wywijać gigantycznymi szczoteczkami do zębów.

Claire przesunęła się na skale, by móc patrzeć mi w twarz.

– To dość makabryczne, nieprawdaż?

– Piknik nad grobem? Owszem.

– Miałam nadzieję, że odwiedzisz mnie w tym tygodniu.

– Miałam dużo zajęć w szkole. Jak się ma Hanna?

– Dobrze. Wzięła do szkoły lusterko, żeby je pokazać i opowiedzieć.

– To jedyne w swoim rodzaju.

Może i nie jestem najbardziej spostrzegawczą osobą na świecie, może nawet jestem bardziej skupiona na sobie niż większość ludzi, lecz mam dość intuicji, by wyczuć, gdy ktoś chce mi coś powiedzieć, a nie wie, jak się do tego zabrać. W tej chwili coś dręczyło Claire. Spoglądała to na mnie, to znów gdzieś w bok, to oglądała się za siebie, przez cały czas mając zajęte ręce. Hm, trzymała buzię na kłódkę, ale tylko dzięki temu udawało się jej powstrzymać od wybuchu.

Trzeba kobiecie pomóc, pomyślałam.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Czy to aż tak oczywiste?

– Tak.

Skubała swój puchaty rękaw.

– Nie mówiłam o tym jeszcze swojej matce ani siostrze, ani... nikomu.

– O czym?

I skąd ta potrzeba, żeby powiedzieć mnie] – zastanawiałam się.

Miała najsmutniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widziałam, ale ona pewnie to samo myślała sobie o mnie.

Claire wyciągnęła okrytą rękawiczką dłoń, ale siedziałyśmy za daleko od siebie, więc ją opuściła. Ja miałam w ręku kubek, więc wzięłam łyk tego paskudztwa – zawsze to jakaś czynność, zajęcie podczas jej długiego, niezręcznego milczenia. Przemówiła w końcu:

– Jestem w ciąży.

Boże, ależ ta gorąca herbata parzy, gdy się ją wciągnie nosem, co też ja właśnie uczyniłam. Niezbyt właściwa reakcja na czyjaś koszmarną wiadomość, zwłaszcza gdy płyn ląduje na całej twojej twarzy.

74

Claire roześmiała się i podała mi chusteczkę.

– To okropne – rzekłam.

– Raczej tak.

– Scott?

– Tak.

Jak długo go znałaś? – chciałam zapytać. Jaka głupota może się wykazać dwoje ludzi? Miałam ochotę kwiczeć. A zamiast tego spytałam:

– Od jak dawna?

– Jakieś trzynaście tygodni.

Policzyłam szybko. Święto Dziękczynienia. Ja szalałam wokół swojego pierwszego nadziewanego indyka, a mój starszy brat robił w tym czasie dziecko.

– Wiedział?

– Tak. Powiedziałam mu wieczorem po pierwszym wypadku. Odrzuciłam głowę, a herbata wylała się z kubka na mój nadgarstek.

Wylałam resztę na śnieg.

– No, to wszystko wyjaśnia.

– Co takiego?

– Jego humor. Myślałam, że był załamany i przerażony ledwo unik-nionym spotkaniem ze śmiercią. Całymi dniami przesiadywał w fotelu i tylko warczał. Ale chodziło o ciebie...

Raczej nie uszczęśliwiłam jej tym stwierdzeniem.

– O rany, przepraszam – powiedziałam. – Ale głupoty wygaduję.

– W mojej obecności nie wydawał się zły. Rzecz jasna, nie jest to wiadomość, która faceta wprawi w zachwyt...

To trochę mało powiedziane, pomyślałam.

– ...ale był nastawiony raczej pozytywnie. Zaczął mówić o wspólnym zamieszkaniu i małżeństwie.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– Co za idiota – mruknęłam cicho. – Och, nie – poprawiłam się widząc, jak spuszcza wzrok i przygryza wargę. – Chodzi mi o to, że ten idiota wiedział, że jesteś w ciąży, a potem wziął i zrobił coś takiego.

Machnęłam ręką w stronę rzeki. Claire pokiwała głową.

– Byłam na niego taka wściekła. Waliłam w ścianę, rwałam włosy z głowy, ciskałam poduszkami... Zabiłabym go...

Pokręciła głową.

– ...gdyby żył – dokończyłam.

----- 75

– Albo gdybym go tak nie kochała.

Cóż, to wyznanie uwolniło potok łez. Oddałam jej zgnieciony gałganek chusteczki i rozejrzałam się dokoła zmieszana. Zostać czy pójść sobie? Ofiarować pocieszające ramię czy pociechę samotności? Jak bardzo byłam gotowa się do niej zbliżyć?

Claire machnęła ręką.

– Al i Jean będą tu lada moment. Idź i zatrzymaj ich, dobrze?

– Jasne.

– I nie mów im, proszę. Nie jestem jeszcze gotowa.

– Oczywiście.

Ześlizgnęłam się ze skały i wylądowałam w śnieżnej zaspie, upadając na kolana.

Wstałam, otrzepałam się i ruszyłam szlakiem.

Dziecko Scotta.

Pacnęłam jakiś krzew, rozsypując śnieg i płosząc małego ptaszka. Przeleciał nad rzeką, zrobił kółko, obniżył lot i poszybował tam, gdzie mój wzrok nie sięgał. Jak mogłeś? – ryknęłam bezgłośnie. Chciałam walić w mur, rwać włosy z głowy, ciskać poduszkami. Z wściekłości. Dokładnie to chciałam robić.

Szlak skręcił nad rzekę, a ja wskoczyłam na lód. Kopnęłam weń obcasem, posyłając śnieg łukiem w górę. Spod spodu wyłoniła się błękit-no-biała tafla z leciutką domieszką czerni. Kopałam weń i kopałam, kopałam we wszystko, co zostało pod nim uwięzione. Przeszłam w inne miejsce i butem odgarnęłam śnieg. Był tam? Chciałam, żeby jego zamarznęta, przerażona twarz ukazała się skuta lodem pod moimi stopami. Kopnęłabym ją.

– Ty głupku! – krzyknęłam.

– Arden! – zawołał jakiś głos: Al czy Jean, czy Claire – nie wiedziałam; po prostu głos.

– Ty głupku! – wrzeszczałam. Rozwścieczona. Wykończona. Przerażona. Skakałam, pozwalając butom mocno walić w podłoże.

– Arden, wracaj tu, oszalałaś?

Pod moimi stopami ukazało się cienkie jak włos pęknięcie, przez które zaczęła sączyć się woda. Uklękałam i dotknęłam jej, pozwalając przesiąknąć przez rękawiczkę. Ależ zimna.

Podniosłam się, odwróciłam i zobaczyłam trzy przerażone twarze. Al stał na zaśnieżonym brzegu. Wyciągał rękę.

– Wracaj, Arden. Powoli.

Trzy piwa, cienki lód, zimna woda. Co za głupi błąd, braciszku. Zawsze byłeś taki mądry, a teraz, gdy jesteś potrzebny, ruszasz w śnieżycę na przejażdżkę skuterem i kończysz jako topielec. I zostawiłeś ją samą z nie narodzonym dzieckiem. I zostawiłeś mnie. I odszedłeś...

Słowa są dziwne. Wybierasz jedno lub drugie, znaczenie mogą mieć bardzo podobne, a jednak całkiem różne. Skubać i obdzierać. Jeść i pożerać. Krzyczeć i wrzeszczeć.

Umarłeś albo... odszedłeś.

Silny podmuch wiatru poderwał śnieg i poprzestawiał chmury. Promień słońca błysnął przez nie na moment i zaraz znikł. Krótki moment światła, a wystarczył. Olśnienie.

Al położył dłoń na moim ramieniu i wyciągnął mnie na pewny grunt akurat w chwili,

gdy lód pod moimi nogami pękł na dobre. Zimna woda chlapnęła mi na lewą stopę.

– Zwariowałaś'? – powiedział. – Czy szaleństwo to u was rodzinne?

Uśmiechnęłam się, widząc jego chmurną twarz.

– Musicie mnie posłuchać, bo już wszystko wiem.

– To ty mnie posłuchaj. Zabieramy cię do domu. Zjawiała się Jean.

– Ty się trzęsiesz.

– Pewnie, że się trzęsie – warknął Al. – Wsadziła nogę do lodowatej wody.

Spojrzałam w dół. Tylko mój but był trochę mokry i ciemny.

– Nie przesadzaj, Al.

Jean popędziła mnie z powrotem w górę szlaku. Potykałam się i upadałam, a Al odwrócił się i bezwzględnie ciągnął mnie za sobą.

– Uspokój się – rzekłam wesoło. – Nic mi nie jest.

– Nie wierzyłem własnym oczom – mówił, idąc dalej. – Patrzą, a ty skaczesz sobie po lodzie. Szalona. Głupia. Całkiem jak twój brat.

Chwyciłam za brzeg jego kurtki i zatrzymałam go.

– Naprawdę, Al? Naprawdę Scott Munro był głupi? Czy zanim się to wszystko stało, nazwałbyś go kiedykolwiek głupkiem?

Zwiesił rękę.

– Jasne, że nie, Arden. To był najmądrzejszy facet, jakiego znałem.

– Od ilu dni chodzisz tu i szukasz go, Al?

– Będzie już parę.

– Wykwalifikowane ekipy poszukiwawcze i nurkowie, wyposażony w najnowszy sprzęt helikopter, nawet specjalnie wyszkolony pies. I nic.

– Co masz na myśli?

– Tyle czasu i starań i nikt nie odnalazł ciała? Nie widzisz, o co mi chodzi?

Popatrzyłam na Jean i Claire.

– Wy też nie widzicie?

– Wsiadaj do samochodu – nakazała Claire. – I to już.

– Nie rozumiecie? Nie ma go tu!

Popatrzyli wszyscy na siebie, po czym Jean objęła mnie ramieniem i poprowadziła dalej.

– Chodź – rzekła delikatnie. Straciłam jej ramię ze swojego barku.

– Nie!

Trzęsłam się. Wilgoć wspięła się po mojej nodze i przylgnęła do niej, przy czym zimno dotarło jeszcze wyżej i głębiej.

– Nigdy go tam nie znajdziecie – mówiłam z drżącą brodą i szczękającymi zębami.

– Może i nie – odparł Al. – Ale i tak będziemy szukać.

– Szukajcie sobie, ile chcecie, ale go nie znajdziecie. Nie ma go w rzece. On wcale nie zginął.

Zabrali mnie do domu najszybciej, jak tylko się dało. Ciepłe ubrania, gorąca zupa, koce i ogień na kominku. Cudownie. Miło być rozpieszczaną. Gdyby tylko zechcieli mnie jeszcze wysłuchać.

– Rozumiem, co chcesz nam powiedzieć, Arden, ale to niedorzeczne.

Al wciąż się wściekał.

– Wypij trochę zupy – poradziłam. – To cię uspokoi. Jean, starczy zupy dla Ala? Nie chciał zupy.

– Scott wpadł pod lód, Arden. Nie snuj tu jakichś dzikich fantazji. Wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że żyje, ale to niemożliwe.

– No to gdzie jest ciało? – spytałam, sącząc zupę. Pycha, rosół z kurczaka z

ryżem.

– Arden – odezwała się Claire, rozpinając kurtkę. Siedziała z tyłu, patrząc i słuchając, jak Al i ja rozmawiamy. – Tłumaczyłam ci już, jaką naturę ma ta rzeka.

Taka delikatna, taka cierpliwa, taka dobra matka.

79

– Możemy nigdy nie znaleźć jego ciała.

– No właśnie. Przecież to idealna sytuacja. Patrzyli wszyscy na siebie.

– Wybrał idealne miejsce, nieprawdaż? Scott nie był głupi, żeby próbować przedostać się nad tamtą dziurą w lodzie; mój brat był inteligentny. Wybrał takie miejsce, gdzie każdy zostałby wchłonięty przez rzekę. Takie miejsce, gdzie poszukiwania spełzłyby na niczym. Idealne, nie widzicie?

– Twierdzisz więc, że utopił nowiuški skuter i odszedł w śnieżną burzę, i nikt nawet tego nie zauważył? – Al dosłownie tryskał śliną. – Nie znaleziono najmniejszego śladu, żadnego tropu. A przede wszystkim, czemu miałyby to zrobić? Dlaczego?

– Śnieżyca zawiąła ślady i sprawiła, że na szlakach było pusto. A powód? Z tym było gorzej. Nie patrzyłam na Claire.

– Po pierwszym wypadku jakby się ocknął, zdał sobie sprawę, że nienawidzi życia, jakie tutaj wiódł. Miał dość naprawiania samochodów.

– Arden uważa, że Scott odszedł – odezwała się cicho Claire – bo jestem w ciąży. Uważa, że to był powód.

Całe wzburzenie z Ala uszło. Usiadł koło mnie na japońskiej macie, miażdżąc mi stopy. Szturchnęłam go, ale się nie ruszył.

– Claire... – powiedział unosząc i opuszczając dłonie. Oniemiał.

Ale tylko na moment; potem walnął w hałdę z koców utworzoną przez moje kolana.

– Zadowolona jesteś, gówniaro? Właśnie zmusiłaś ją do wyjawienia najgłębiej skrywanej tajemnicy. Zadowolona? A poza tym jeśli uważasz, że to mogło być przyczyną, to nie znasz swojego brata. Scott nigdy by z tego powodu nie odszedł. Najwyraźniej nie masz pojęcia, co do niej czuł.

– To było przyczyną, Al. Scott miał dwadzieścia dziewięć lat, pracę, która nie dawała mu możliwości rozwoju, i po raz drugi w życiu ktoś miał obarczyć go dzieckiem.

Cóż, jako artystka znacznie delikatniej posługuję się dłońmi niż językiem. Al podniósł się.

– To żałosne. Muszę iść do pracy.

– A ja muszę odebrać Hannę – rzekła Claire.

Nie widziałam jej miny, może dlatego, że nie ośmieliłam się spojrzeć jej w twarz.

– Ja mogę zostać – oznajmiła Jean.

80

Wyszła z ciemnego kąta i odebrała ode mnie kubek z zupą.

– Daj spokój. Możesz iść do domu.

– Ktoś musi zostać i się tobą zająć. Przez trzy tygodnie żyłaś ze śmiercią, prawie nie śpiąc i nie jedząc, a teraz najwyraźniej się załamalaś.

Nachyliła się i zbliżyła swoją twarz do mojej.

– Najpierw zachowywałaś się jak w amoku; teraz –jesteś zwyczajnie podła.

– Czuję się świetnie.

– Prześpij się, Arden – rzekł Al.

Claire nie odezwała się. Przesiadłam się i patrzyłam przez okno, jak idą do jego samochodu. Nie rozmawiali; Al tylko objął ją ramieniem. Pewnie niewiele było do powiedzenia.

Gdy Jean wyszła, z radością poszłam do łóżka. Pierwszy raz od wieków nie bałam się zasnąć. Niby jak mogły mi się śnić koszmary teraz, gdy poznałam prawdę?

Pograżyłam się bez reszty w głębokim śnie aż do południa. Południe! Co za rozpusta. Podobnie jak jedzenie w łóżku, na co pozwoliłam sobie, robiąc jednocześnie listę dowodów. Były wszędzie –jak mogłam je przegapić? No dobrze, może nie były to dowody. Nazwijmy je „wskazówkami”.

Spisałam wszystko, zmazując i przestawiając fakty i szczegóły. Wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba wczoraj, w tamtej chwili na lodzie. Uporządkuj wszystko, Arden. Przemyśl i uporządkuj. Pokażę im, jak to się stało. Skąd wiem. Wówczas wszyscy mnie wysłuchają.

2

W ratuszu huczało od odgłosów poniedziałkowego powrotu do pracy.

– Imię? – mówił naczelnik policji Kent. – Mówisz mi, że wierzysz w to, iż twój brat upozorował własną śmierć, bo chciał ci opowiedzieć o twoim imieniu?
– Karta? – zastępczyni szeryfa Felicity Kay pochylała się nad blatem w poczekalni biura szeryfa. – Twierdzisz, że się domyśliłaś na podstawie karty z wizerunkiem gracza w baseball?
– Ella Fitzgerald? – Peg Raymond usadowiła się z tyłkiem na biurku w redakcji „Penokee Journal”. – Uważasz, że coś się za tym kryje z powodu Elli Fitzgerald?
81

•– I dlatego nie byłaś' dzisiaj w szkole? – spytała Kady. – Zwariowałaś? Będzie trudniej, niż myślałam.
Potrzebna mi twoja pomoc, John.
Mój prawnik wyglądał na zakłopotanego. Poprowadził mnie do krzesła i zamknął drzwi swojego gabinetu.
-- Nie powinnaś być teraz w szkole?
– Pracowałam nad czymś. Potrzebna mi twoja pomoc. Prychnął.
– Uciekający braciszek?
– Tak. Skąd wiesz?
– Żartujesz, co? Zawracałaś głowę wszystkim strzegącym prawa instytucjom w mieście, poszłaś ze swym szalonym pomysłem do gazety i ja miałbym się o tym nie dowiedzieć?
– John, ja nie wierzę, że on nie żyje. Chcę go poszukać. Nikt nie zamierza mi pomóc. Ty mógłbyś sprawić, że coś by drgnęło. Gdybyś narobił wokół tego trochę szumu, mogliby to potraktować jako zaginięcie.
– Nie mogliby. On nie zaginał, Arden. On zwyczajnie nie żyje. Koniec, kropka.
– Chcę go odnaleźć.
– Wszyscy tego chcemy, Arden. I przy odrobinie szczęścia odnajdziemy. Przy odrobinie szczęścia jego zamrożone ciało wypłynie w jakiejś lodowej szczelinie albo wiosną woda się ogrzeje, a zwłoki zaczną się rozkładać i wypełnią się gazami, które wypchną je na powierzchnię. I wtedy go znajdziemy.
Stuk-???, stuk-puk, stuk-???. To Britt pisała na maszynie w pokoju obok.
– Arden, gdybym nawet uważał, że to możliwe, że Scott porwał się na taki wyczyn, nie rozumiem, czemu miałyby to zrobić. Oczywiście, Claire jest w ciąży, wszyscy o tym wiemy dzięki tobie. Ale facet potrafi się z tym uporać bez uciekania w nieznane.
– Większość facetów w jego wieku nie ma za sobą dziesięciu lat wychowywania dziecka. Pewnie był tym zmęczony, John.
Ja w każdym razie byłam zmęczona. Zmarnowałam zbyt wiele czasu i energii, ścierając się z tymi ludźmi. Wysłuchajcie mnie, uwierzcie mi – prawie krzyczałam im w twarz. I dalej nic.
– Pewnie był zmęczony mną.

82

– Nie był. Do diabła, za rok i tak miałaś wyjechać! Och, Arden, nie płacz. Chociaż nie, jednak płacz. Wyrzuć to z siebie. Scott zawsze mówił, że twarde z ciebie dzieciak, ale muszą być przecież jakieś granice. Najpierw rodzice, a teraz to. Powinnaś płakać co najmniej przez tydzień.
– Potrzebna mi twoja pomoc.
Wyciągnęłam chusteczkę z pudełka na biurku i wytarłam twarz. John oparł się i założył ręce na okrytym prążkowaną koszulą brzuchu.
– W porządku... Powiedzmy, że miał motyw. Ale jak niby miał tego dokonać? W praktyce to dość trudne. Jak zdołał utopić skuter, nie moczając się? Jakim sposobem wyszedł z lasu i zniknął? Dokąd się udał?
– Mógł to przemyśleć. Uwielbiał takie wyzwania, tak jak składanie samochodu z kawałków złomu.
– To tak zwane wyzwanie, Arden, złamałoby w kilku miejscach prawo. Niemożliwe, żeby Scott to zrobił; był najuczciwszym facetem, jakiego znałem.
– Jakie prawo?
– Po pierwsze: naraził na nieuzasadnione niebezpieczeństwo pracowników służb publicznych. Urzędnicy nie bywają uszczęśliwieni, gdy mają prowadzić zakrojone na szeroką skalę poszukiwanie.
– Nie sądzę, żeby go to obchodziło. Chciał się stąd wydostać.
– Nie ten Scott, którego ja znałem. John pokręcił głową.
– Już samo zniknięcie nie byłoby łatwe, ale co potem? Jak niby miałyby żyć? Twój brat cenił sobie wygody, Arden. Nie sądzę, by mógł uknuć to wszystko tylko po

to,

żeby nawiać i skończyć jako dziad.

– Zastanawiałam się, czy nie odłożył sobie czegoś gdzieś na tajnych kontach.

– Skąd miałby wziąć na to pieniądze? W przychodach z jego funduszu powierniczego nie ma żadnych dziur, a pensja z warsztatu wpływała na wasz wspólny rachunek. Sprawdziłem to wszystko. I zastanów się: może i odszedłby od ciebie i Claire, ale czy zostawiłby barracadę?

– Nie mam ochoty na żarty, John. Potrzebuję pomocy.

– Jest coś, z czym rzeczywiście musimy się teraz uporać: ciąża Claire komplikuje sprawy spadkowe. Mógłbym zacząć sypać prawniczym żargonem, ale generalnie chodzi o to, że dziecku Scotta też należy się działka. Na szczęście dzięki funduszowi ustanowionemu przez rodziców tylko dla ciebie nadal będziesz finansowo w dobrej sytuacji. Kurczę, gdybym miał tyle forsy, mógłbym iść na emeryturę.

– Jeśli Scott żyje, nie możesz wszczynać sprawy o podział majątku.

83

– Domniemana śmierć...

– Ja nie domniemywam jego śmierci, a przy tym jestem najbliższą krewną. Światelko na telefonie zaczęło mrugać jasnym oczkiem. Wstałam – pora iść. Po co mam tu siedzieć, skoro mój prawnik nie chce mnie słuchać?

John podniósł się.

– Pomógłbym ci, Arden, gdybym uważał, że to może być prawda. Bardzo bym tego chciał, bardzo bym chciał, żeby Scott żył. Ale nie widzę ani powodu, ani sposobu,

żeby to było możliwe.

Skąd i dlaczego wiedziałam, że mój brat żyje? To proste.

Zaczął się – a może się mylę? – gdy zginęli moi rodzice. Dziesięć lat temu ich samolot rozbija się o porośniętą dżunglą górę, a starszy brat przyjeżdża do domu i zaczyna pełnić rolę mamusi i tatusia dla młodszej siostry. Dziesięć lat prania,

bajek na dobranoc, gotowania, wywiadówek, a nie raz i nie dwa – sprzątanania moich wymiocin.

Gdy zbliżał się już tego koniec – dziecko. Jego własne, żywe i prawdziwe.

Potem któregoś dnia prawie umiera. Zimna woda to przejrzysta woda – i nagle wszystko staje się równie jasne i przejrzyste dla niego: dość. Uciekaj.

Skąd mogłam wiedzieć, że zamierza odejść? Po pierwsze, moje imię. Tamtego ranka bardzo zależało mu, żeby opowiedzieć mi historię mojego imienia. Nie słuchałam, za bardzo się spieszyłam. Wiedział, że odchodzi, i chciał mi przedtem przekazać tę jedną rodzinną opowieść. O moim imieniu.

Szkoda, że nie posłuchałam. Jeśli go nie znajdę, mogę jej już nigdy nie poznać. Historia mojego imienia. Moja historia.

Następnie była karta baseballowa. Scott nigdy by niczego nie zapomniał, zwłaszcza gdy komuś coś obiecał. Gdyby naprawdę miał zamiar iść tego dnia do Claire, wziąłby ze sobą tę kartę. Ale zostawił ją na szafce nocnej, pewien, że przekaże ją Hannie.

Ella Fitzgerald. Wykopał tę starą płytę i słuchał muzyki mamy; przyniósł z piwnicy wszystkie stare kompakty. „Nigdy nie zapominaj” – przykazał mi. „Choć niewiele o nich wiesz, to nigdy nie zapominaj.”

Bo wiedział, że nie będzie go przy mnie, by przypomnieć.

Czemu zwyczajnie nie uciekłeś, braciszku? Czemu nie wsiadłeś po prostu do samochodu i nie odjechałeś? Po co cała ta komedia?

84

To, rzecz jasna, dość podchwytliwe pytanie, ale znałam odpowiedź i na nie: ten wyczyn na rzece był pewnie jedynym sposobem, żeby godzin zaufania, porządny, zwykle odpowiedzialny Scott miał pewność, iż po dwóch dniach ucieczki nie wróci do domu ciągniony na postronku wyrzutów sumienia.

Samobójstwo, tyle że nie zakończone śmiercią.

Jak szukać zaginionej osoby, gdy policja nie zamierza pomóc? Przydałby się jakiś dowód, coś namacalnego, co mogłoby dobrze puknąć w te ich zakute głowy. Ale co? Ale co?

– Arden, czy znasz odpowiedź?

Do licha. Trudno skupić się na zjednoczeniu Niemiec, gdy ma się do rozwikłania taką zagadkę.

– Przepraszam, proszę pani. Mogłaby pani powtórzyć pytanie?

– Nie mogłabym. Zostań po lekcji, Arden, dobrze?

– Ale ja muszę iść...

– Po lekcji.

Tak naprawdę wcale nie musiałam nigdzie iść, ale wykręcanie się przed nauczycielami weszło mi już w nawyk. „Tak, już prawie dokończyłam tę pracę.” „Oczywiście, wkrótce to pani oddam.” „Naprawdę pracuję nad tą rozprawką.”

„Jasne, że mogę poprawić test w poniedziałek.”

Zostałam w ławce i siedziałam ze spuszczoną głową, gdy inni uczniowie wychodzili z klasy, jak tylko zadzwieczał dzwonek; wolałam nie widzieć ich krzywych uśmiechów, spojrzeń i pełnego współczucia poszturchiwania. Mimo to spędziłam przecież z tymi ludźmi wiele lat i potrafiłam ich rozpoznać, nawet nie widząc. Leesa to ta, co się tak mocno perfumuje. Bryan dziwnie chodzi, jakby pociągał jedną nogą. Tina kroczy niczym primadonna na środek sceny? – lepiej niech wszyscy zejda jej z drogi. Jen-nifer zawsze nosi ten sam hałaśliwy, własnoręcznie wykonany naszyjnik z plecionej skóry i klekoczących opakowań po ochronnych pomadkach do ust.

Ciszę również rozpoznałam bezbłędnie. Ciężąca nicość towarzysząca nauczycielowi, który przygotowuje się do przemowy.

Pani Penny stała zwrócona do okna tak nieruchomo, że nie widziałam nawet, jak oddycha. Powoli odwróciła się w moją stronę. Jej wąska twarz

85

była ładna, lecz naznaczona zimową bladosc'cią, tym bardziej podkreślona cienką warstewką czerwieni na ustach.

– Do wieczora ma napadać dziesięć centymetrów – zaczął mówić.

– Tak – odparła.

Znów się odwróciła, tym razem w stronę drzwi. No, kobieto, starczy już tych gierek i sztuczek. Mam sporo do zrobienia.

– Czemu kazała mi pani zostać?

– Twoje oceny...

– Dość kiepskie, prawda?

– Właśnie, Arden. Jestem poważnie zaniepokojona.

Och, czyż oni wszyscy nie niepokoiłi się o mnie tak samo? Czuję się, jakbym miała wokół siebie stado pawianów, które wyciągają mi gnidy. Pyk, pyk, pyk.

– Rozmawiałam z panią Rutledge i panem Millsem. Doszliśmy do wniosku, że powinnaś zrezygnować z moich zajęć.

– Ale historia powszechna to przedmiot obowiązkowy. Bez niego nie będę mogła w terminie ukończyć szkoły.

– Napiszę ci na świadectwie, że nie ukończyłaś kursu, i będziesz mogła go nadrobić podczas zajęć wakacyjnych. W czasie moich lekcji powinnaś udać się do biblioteki i wykorzystać ten czas na naukę. Przy odrobinie wysiłku i szczęścia może uda ci się uratować inne przedmioty. Licho ci idzie prawie ze wszystkiego, Arden, więc powinnaś uznać, że to szczydra oferta.

Szkoła latem? To ma być szczydra propozycja?

– Czy nie jest to nie w porządku, stawiać na kimś krzyżyk, jeszcze zanim się ten ktoś wyłożył?

– Bardzo nie w porządku. Ale w obecnych okolicznościach... Ach tak, okoliczności.

– Pani Richter powiedziała mi, że twoja ocena z biologii spadła z piątki do słabej trójki.

– Nie odrobiłam kilku zadań domowych.

– Jak już mówiłam, martwimy się o ciebie. Pyk, pyk, pyk.

– Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie okropna zima. Geniusz z tej kobiety.

– W czasie takich zawirowań wszystko wydaje się trudne. Dość już. – Muszę już iść, pani Penny.

86

Musiała mieć ostatnie słowo.

– W czasie takich zawirowań ważne jest, by umieć znaleźć sprawy, które samemu można kontrolować. A możesz kontrolować swoje wyniki w nauce, Arden. Więc się postaraj.

Odmaszerować. Kusilo mnie, żeby zaszutować i strzelić obcasami, ale nie chciałam zaprzepaścić świadectwa i dodatkowej godziny nauki. To naprawdę była szczydra propozycja. Chwyciłam torbę z książkami i posłałam jej wąski uśmiech. Korytarze już były puste i dochodziły mnie tylko nikłe odgłosy z sali

gimnastycznej, gdzie ćwiczyła drużyna koszykówki chłopców. Jean i Kady czekają już pewnie skostniałe przy samochodzie. Pora iść.

– Jeszcze jedno.

Musiałam mi opaść ręce, bo torba ześlizgnęła się z ramienia i spadła na podłogę, rozsypując wszystko: ołówki, książki, luźne kartki, gumki do mazania, tampony.

– Tak? – rzekłam, nie bacząc na bałagan.

– Słyszałam, że próbujesz dowieść słuszności pewnej własnej teorii.

– Nie wierzę, że mój brat nie żyje, jeśli o to pani chodzi. Zamierzam go odnaleźć.

– Jeśli jest coś, w czym mogłabym ci pomóc, proszę, daj mi znać. Rozwieszanie ulotek, telefonowanie. Cokolwiek.

Rozwieszanie ulotek, już dawno mogłam o tym pomyśleć.

– Dziękuję, pani Penny. Ale dlaczego? Nikt inny nie wierzy, że mogę mieć rację.

– Prawdę mówiąc, ja też nie wierzę, ale to nie znaczy, że nie mogę ci pomóc. W piątek jadę do Minneapolis. Zawiozę tam ulotki, jeśli masz jakieś. Rozwieszę je na przystankach autobusowych, w restauracjach. Tak się chyba zazwyczaj rozpoczyna poszukiwania, nieprawda?

4

Prawda. Jean i Kady nie były, rzecz jasna, zainteresowane. Zwłaszcza Kady.

– Pogoń za duchami – orzekła. – Nie zamierzam udawać, że myślę inaczej.

– Ja chyba mogłabym ci pomóc? – powiedziała Jean. – Ale najpierw muszę zająć się swoimi sprawami.

87

– Na przykład praniem – wtrąciła Kady. – Twoja kolej w tym tygodniu. I w łazience jest jeden wielki bałagan. Twój bałagan.

– Mogę się do ciebie wprowadzić? – zwróciła się do mnie Jean. – Znajdzie się dla mnie miejsce?

Jasne, że znalazłoby się miejsce. Hektary miejsca. Ale z drugiej strony, nie miałam go ani trochę. Niech wszyscy trzymają się ode mnie z daleka.

Jean oczywiście żartowała i nie czekała na odpowiedź.

– Zjesz u nas?

– Nie. Muszę odrobić lekcje i chcę zacząć przygotowywać plakaty. Ostatni raz, obiecałam sobie po powrocie do domu. Ostatni raz oleję szkołę. Musiałam rozpocząć poszukiwanie. Upłynęło już zbyt wiele czasu; ludzie, którzy mogli go widzieć, zaczną zapominać.

Potrzebne mi było jak najbardziej aktualne zdjęcie. Najlepiej portret. To dziwne,

że produkując ramki do zdjęć, miałam tak niewiele fotografii wyeksponowanych we własnym domu. W moim pokoju wisiało jedno zdjęcie rodziców i inne, stare, zrobione przez pana Drummonda, gdy Scott i ja graliśmy w baseball. Scott trzymał na biurku moje szkolne zdjęcie z zeszłego roku i takie, na którym był on, John, Al i kilku innych facetów podczas rajdu samochodowego w St. Paul, gdzie startował swoją barra-cudą.

Mieliśmy tylko jeden duży album, a w nim jedynie fotografie sprzed śmierci rodziców. Potrzebowałam czegoś aktualnego, a wszystkie nowsze zdjęcia leżały wymieszane w pudełku. Ściągnęłam je z półki nad komputerem w pokoju do pracy Scotta. Gdy schodziłam z krzesła, moja koszula zahaczyła o oparcie i prawie się przewróciłam. Pudełko upadło, pokrywka odleciała i wysunęło się trochę zdjęć. Usiadłam i wybrałam kilka. Ja w stroju czarownicy. Ja z wędką. Ja, jak stoję na głowie. Scott, jak znów stoi przy tej swojej przeklętej barracudzie. Ja kilka lat temu, jak pokazuję jakąś szkaradną ramkę. Żonglujące Jean i Kady. Scott zjadający miodowe kóleciska Cheerios.

Przewróciłam pudełko do góry dnem i wszystkie zdjęcia rozsypały się.

Porozsuwałam je ręką, szukając twarzy, którą mogłabym poprzyklejać do ścian na całym Środkowym Zachodzie.

Bingo. Spośród wszystkich kolorowych odbitek wyskoczyła jedna czarno-biała – portret, jaki dał sobie zrobić kilka lat wcześniej do gablotki zatytułowanej „Poznaj swojego mechanika” w Lorenzo Motors. Ta sama broda, ta sama łysiejąca głowa, to samo nieustępliwe spojrzenie, jakie widziałam tamtego ostatniego ranka.

88

Czy ktoś widział tego człowieka?

Nie znosił tego zdjęcia i nie pozwalał mi go oprawić. Twierdził, że już i tak fatalnie, że wszyscy klienci je zobaczą, i na pewno nie pozwoli mi wystawić go

nigdzie w domu. Mówił, że wygląda staro. Że wygląda złośliwie. Że wygląda, jakby był martwy.

W mieście były tylko dwie samoobsługowe kopiarki i w obu jedna kopia kosztowała dwadzieścia centów. Tyle to nawet ja mogłam policzyć. Kilkaset kopii po dwadzieścia centów za sztukę, to było trochę za dużo.

Śnieg sypał naprawdę mocno, gdy z poślizgiem wjechałam w zatoczkę przed sklepem papierniczym. Mój zderzak dał buziaka samochodowi z przodu. Cholera. Czy John zajął się ubezpieczeniem? Cofnęłam, zaparkowałam, po czym wysiadłam i sprawdziłam. Nic się nie stało.

W sklepie było pusto, nie licząc sprzedawczyni, która nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko obserwować każdy mój ruch. Wyszła zza lady i stała z założonymi rękami, gdy mijałam półki z artykułami biurowymi.

Mój szczęśliwy dzień: kopiarkę wystawiono na sprzedaż. Teraz jedyna nadzieja w moim prawniku.

Co mam dla ciebie zrobić? Rany boskie, Arden, miałam właśnie iść do domu. Johna dziś nie ma, jest już po piątej, a ja mam być gościem honorowym na poprawinach po weselu przyjaciółki. Poza tym mogę cię zapewnić, że Johnowi nie spodoba się to, co robisz.

– Przyniosłam własny papier, Britt. To nie powinno zająć dużo czasu. A John nie musi wiedzieć.

Britt spojrzała na plakat. Byłam z niego raczej zadowolona, choć nie przedstawiał sobą niczego ponad zwykłą ulotkę o poszukiwanej osobie: kartka A4 ze zdjęciem i garścią informacji.

– Zaczna do ciebie dzwonić jakieś świry – rzekła Britt. – I pewnie tylko oni, dopóki nie odezwą się z kostnicy.

– Dzięki za słowa otuchy. Zrobisz to?

– Jasne, w końcu szefa nie ma.

Śnieg nadal padał, nadając głównej ulicy miasteczka jeszcze bardziej rozpaczliwy i opuszczony wygląd. W „Penokee Journal” jednak nadal paliły się światła. Pismo ukazywało się w soboty; dwa dni wcześniej pewnie zamykają już numer.

– Chciałabym wykupić miejsce na ogłoszenie w tym tygodniu. Nie jest za późno?

89

Otupałam nogi ze śniegu na jasnozielonej wycieracze.

Jakaś kobieta podniosła się zza biurka za blatem oddzielającym przestrzeń dla gości od właściwego biura i uśmiechnęła się. Okulary spadły jej z nosa i zawisły na jasnozielonym sznurku założonym na szyję.

– Nigdy nie jest za późno dla klienta, który chce płacić. Co tam masz? Położyłam na blacie mój plakat. Kobieta założyła okulary i wzięła go do ręki. Dość długo studiowała ulotkę; potem dość długo przyglądała się mnie. W końcu odezwała się:

– Słyszałam, że rozmawiałaś z szefową. To twój brat, tak? My nigdy się nie spotkałyśmy, złotko, ale jego znałam. No, to właśnie ze Scottem zawsze chciałam rozmawiać, gdy oddawałam samochód do warsztatu. Ufałam mu całkowicie. Wiedziałam, że ma młodszą siostrę, ale nigdy cię nie widziałam. Dziwne, co? Takie małe miasto...

Okulary jej zjechały, a ona odruchowo wsunęła je na miejsce.

– Nie mogę tego zrobić, złotko. Nie mogę pomóc ci w marnowaniu pieniędzy.

– To moja decyzja.

Zerknęłam na jej biurko i tabliczkę z nazwiskiem. Pauline Atwood.

– Pani Atwood, ja nie uważam, że to strata pieniędzy. Powinnam była to zrobić już dawno temu.

Oparła się na łokciach i trzymała kartkę w obu dłoniach.

– Cóż, w druku wyszłoby to doskonale. Dobre zdjęcie. Ale, złotko, wszyscy w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Penokee słyszeli o wypadku. Nie sądzisz, że gdyby ktoś coś wiedział, zadzwoniłby już dawno?

Stukałam palcem w blat. Byłam na to przygotowana.

– Oczywiście, wszyscy znają imię i nazwisko Scotta. Sporo było szumu wokół tego wypadku, ale nigdzie nie ukazało się jego zdjęcie. Jeśli ktoś podwiózł go tamtego dnia albo widział, jak gdzieś idzie, to nie miał najmniejszego powodu, by łączyć tego nieznanego z osobą, którą szeryf oficjalnie uznał za martwą. Teraz może być inaczej, jeśli wydrukujecie jego zdjęcie.

Pokręciła głową i mruknęła cicho z dezaprobatą, wciąż trzymając ulotkę. Potem wzruszyła ramionami i spytała: – Jakie duże?

Byłam głodna, gdy wyszłam z redakcji, i miałam pewność, że jedyne nadające się do spożycia artykuły, jakie są w domu, musiałabym najpierw rozmrozić. Cofnęłam się do supermarketu „Przy lesie”. Wieczorem zwy-

90

kle panuje tam spory ruch, lecz tym razem śnieżycza zatrzymała większość ludzi w domach. Jak tylko otworzyłam drzwi samochodu, śnieg sypnął mi w twarz i wślizgnął się za kołnierz. Odszedł w taką pogodę jak dziś: pokrywa śnieżna rosła o dwa centymetry na godzinę, a do tego wiatr tworzył zasy. Idealny kamuflaż. Wzięłam ze sobą plik plakatów. Jeden przyczepiłam do tablicy informacyjnej zaraz za wejściem do sklepu, przestawiając ręcznie napisane ogłoszenia o meblach na sprzedaż i darmowych szczeniakach. Wokół mojej ulotki zostawiłam sporo wolnego miejsca. Nie sposób było jej nie zauważyć. Resztę zabrałam do informacji, gdzie pracownik przeglądał stos kaset wideo.

– Mogę to przyczepić na kasach? Pasują akurat z tyłu i nie będą zasłaniały żadnego towaru.

Pracownik sklepu wziął jeden plakat i czytał powoli, poruszając ustami.

– Zaraz, to ten facet, co nie żyje!

– Żyje.

– Nie żyje. Mój wujek szukał go kiedyś przez cały dzień. Były urodziny mojego kuzyna, a on poszedł szukać. Dlatego pamiętam. Jasne, że facet nie żyje. Utopił się.

– Mogę je powiesić?

– Nie ma sprawy.

– Będę potrzebowała taśmę klejącą.

– Rząd numer siedem.

Kupiłam jakieś gotowe dania z garmazerki, mleko, jabłka, chleb, krakersy, masło orzechowe, sok, ser i sześć rolek taśmy klejącej. Spakowałam zakupy do torby i zostawiłam je w wózku, a sama zajęłam się przyklejaniem plakatów na kasy. Jedyną klientką poza mną była młoda matka, która wykladała na taśmę przy kasie pampersy,

mleko w proszku oraz makaron i ser w pudełkach. Jej dziecko, łyse i roześmiane, waliło piąstkami w uchwyt wózka.

– Myślałam, że on nie żyje – rzekła matka, przeczytawszy ulotkę. Dziecko zaczęło ssać pięść.

– Żyje – odparłam.

– Wiedziała pani? – zwróciła się kobieta do kasjerki. – Mężczyzna, którego szukano w rzece, ten, który wpadł pod lód... okazało się, że jednak żyje.

– Więc co się stało? – spytała kasjerka, stukając w klawisze kasy, gdy zakupy wraz z taśmą posuwały się do przodu.

91

– Uciekł – rzekłam.

Młoda matka popatrzyła na mnie, a potem na swoje dziecko. Nie wydawała się już tak życzliwie nastawiona.

– W takim razie powinien nie żyć.

. 5

Na automatycznej sekretarce czekały na mnie trzy wiadomości. Około szóstej dzwoniła pani Drummond, bo zauważyła, że w domu jest wciąż jeszcze ciemno; Walt Lorenzo przepaszającym tonem oznajmiał, że nazajutrz ktoś przyjedzie odebrać furgonetkę Scotta.

A potem Claire. Proszę, żebyś się ze mną spotkała. Musimy porozmawiać.

Czyżby?

Zjadłam kupione w sklepie gotowe potrawy i popiłam sokiem. Niezła kolacja, komitet do spraw sierot nie miałby się do czego przyczepić. Za to mógłby się przyczepić do bałaganu. Nie sprzątałam od kilku dni, a pogorszyłam jeszcze sprawę, rozrzucając zdjęcia po całym pokoju dziennym. Wzięłam do ręki kilka fotek i wrzuciłam je do pudełka. Jedna przykuła moją uwagę i wyciągnęłam ją z powrotem. Scott i ja staliśmy na nabrzeżu, a za nami żaglówka. Byłam mała i – uwaga! – chuda. Odwróciłam fotografię: żadnej daty, żadnego podpisu.

Gdzie to było? Czyja to łódka? Czemu Scott miał na głowie kapitańską czapkę? Za czym sprawą miałam na sobie tak ohydny strój kąpielowy?

Wzięłam rolę taśmy klejącej, poszłam do swojego pokoju i przykleiłam zdjęcie nad łóżkiem. Jeśli popatrzę na nie dość długo, może uda mi się wywołać wspomnienie tamtej chwili. W innym wypadku nigdy się nie dowiem.

Nie wystarczy. Gdybym nawet coś sobie przypomniała, jedno wspomnienie nie

wystarczy. Wyciągnęłam wszystkie zdjęcia i zaczęłam przyczepiać. Z początku robiłam to bez zastanowienia, potem ściągnęłam te, które już powiesiłam, i zaczęłam od nowa. Tym razem zaczęłam od fotografii z albumu. Te z rodzicami przyklejałam do ściany przy łóżku, aż cała była zasłonięta. Zawsze sprawdzałam na odwrocie daty i miejsca. Niektóre były puste, zaś inne szczegółowo opisane: „Pierwsze urodziny Ar-den, Bar U Elli, Madison, Wisconsin”. Inne napisy dręczyły mnie tak jak ten, który znalazłam na odwrocie zdjęcia przedstawiającego mamę, tatę

92

i Scotta z jakimś obcym mężczyzną. „Z Harrym, trzydzieste urodziny” – napisała. Czyje trzydzieste urodziny? I kim był Harry? Scott go znał, tulił się do niego mocno.

Sceny na plaży. Co to za plaża?

Ojciec uśmiechnięty od ucha do ucha i pokazujący ceglany budynek. Co to za budynek?

Mały Scott opierający się o palisadę. Co to za dom? Gdzie?

Było tak, jak z tym drzewem walącym się w lesie. Skoro nikt nie słyszał trzasku, to czy można mówić o dźwięku?

Skoro nikt nie pamięta, czy można mówić, że coś się zdarzyło?

6

Nazajutrz biegałam podczas lunchu od stolika do stolika, wręczając plakaty każdemu, kto zaproponował mi pomoc. Pewnie, wiedziałam, że większość ulotek ozdobi wewnętrzne strony szafek w szatni i zostanie zapomniana, ale kilka może znajdzie się na ścianie jakiejś stacji benzynowej albo restauracji. Liczy się każdy drobiazg, prawda?

Przerwy na lunch zazębiały się i w stołówce wciąż siedziało kilkoro najstarszych uczniów. Poruszając się po pomieszczeniu, dostrzegłam Jean i Kady siedzące razem,

co stanowiło dość niezwykły widok. Odkąd pamiętam, co dzień rozdzielały się, jak tylko znalazły się w szkole. Na początku roku, jeśli zostały im przydzielone sąsiadujące szafki, któraś zawsze zamieniała się z koleżanką. Dla każdej z bliźniaczek szkoła oznaczała zupełnie co innego. Kady, która zawsze musiała być we wszystkim najlepsza, uwielbiała ją. Jean była podobna do mnie: dobrze sobie radziła z przedmiotów, które lubiła, i jakoś zaliczała resztę.

Ale teraz siedziały razem. A raczej Kady dołączyła do Jean, skończywszy lunch, bo nie było śladu po jedzeniu w miejscu, gdzie siedziały.

– Co robisz? – spytała, gdy odsunęłam krzesło.

– Rozdaję to. – Rzuciłam pozostałe plakaty na stół. – Chcesz parę? Jean wzięła jeden z góry.

– Niezłe zdjęcie. Przynajmniej jak na taki cel. Trochę głupio tak na niego patrzeć.

Kady nie patrzyła. Wlepiała wzrok we mnie.

– Myślę, że potrzebujesz pomocy – rzekła w końcu.

93

– Pewnie. W tej okolicy jest mnóstwo sklepów i stacji benzynowych. I miliony barów. Gdybyś...

– Chodziło mi o coś innego, Arden. Uważam, że powinnaś się gdzieś udać. Do terapeuty.

Jean gwizdała cicho i wpychała papier, w który zapakowane było jej śniadanie, do pustej torebki.

– Nic mi nie jest. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dużo wypoczywam.

– Gonisz za jakąś swoją fantazją i twierdzisz, że nic ci nie jest? On nie żyje, Arden, nie żyje. Znaleźli jego skuter, znaleźli linę z hakiem do lodu, znaleźli portfel, a wkrótce znajdą także jego.

– Wówczas okaże się, że się pomyliłam, prawda?

– Nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Marnujesz tylko czas i pieniądze.

– Zobaczymy. Pomożesz mi?

Wstała i zwróciła się do siostry: – Ty jej powiedz. Po czym wyszła.

– Co masz mi powiedzieć?

– Nasza babcia jest w szpitalu. Przewróciła się wczoraj i złamała biodro. Dziś po szkole wszyscy jedziemy do Green Bay. Mama mówi, że masz jechać z nami, bo nie chce, żebyś została tu sama. Prosiła, żebyśmy ci to przekazały, bo wolałaby, żeby nie zabrzmiało to jak rozkaz.

- A to jest rozkaz?

Jean zgmiotła torebkę w pomarszczoną kulkę.

- Mama mówi, że tak, tata - że nie. Tata chciałby, żebyś pojechała, ale nie ma zamiaru robić z tego wielkiego halo.

- Nic mi się nie stanie. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia, muszę się pouczyć i załatwić to. - Stuknęłam palcem w stos ulotek.

- Chyba właśnie dlatego mama chce, żebyś pojechała i się od tego wszystkiego oderwała.

- Od „tego wszystkiego”, czyli od uganiania się za jakąś „fantazją”? Wzruszyła ramionami.

- Czy ty też uważasz, że to tylko fantazja, Jean?

Patrząc na mnie, przerzucała zgniecioną torebkę z ręki do ręki.

- Moje życie stało się znacznie łatwiejsze, odkąd się poddałam i zaczęłam przyznawać, że Kady ma zawsze rację.

Ze złością sięgnęłam po papierową kulkę, ale ledwo musnęłam ją kciukiem. Dłoń Jean natychmiast ją pochwyciła i podrzucała nadal. Nawet nie wybiłam jej z rytmu.

94

- Powiedz mamie, że zostaję w domu. Przeżyję jakoś kilka nocy bez anioła stróża. I mam nadzieję, że twoja babcia szybko wyzdrowieje.

Pani Penny szykowała się już do wyjścia, gdy weszłam do jej klasy.

- Pewnie się pani ucieszy słysząc, że podczas nauki własnej nadrobiłam dwa kolejne zadania domowe - powiedziałam.

- Naprawdę miło mi to usłyszeć.

- Wczoraj mówiła pani, że mi pomoże.

- Tak.

- Przyniosłam to. - Wyciągnęłam rękę z tuzinem ulotek.

- Oczywiście. Nigdzie mi się jutro szczególnie nie spieszy, więc będę mogła zatrzymać się w paru miejscach po drodze.

Zaczęłam grzebać w torbie.

- Przyniosłam też taśmę.

Wzięła ją ode mnie prawie bezwiednie, wnikliwie studiując plakat.

- Ten numer telefonu może ci przysporzyć kłopotów. Pewnie zaczną dzwonić różni wariaci.

- Wolałam nie podawać numeru szeryfa. Jego ludzie nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Mam automatyczną sekretarkę, więc mogę kontrolować rozmowy przychodzące.

Otworzyła szufladę i wyjęła nową kopertę z szarego papieru. Wsunęła do niej ulotki.

- Kiedyś chciał się ze mną umówić. Prawie się posikałam.

- Słucham?

- Twoje zdziwienie raczej mi nie pochlebia, Arden. Nie jestem aż taka stara. Było między nami może parę lat różnicy.

Jest. Nie poprawiłam jej.

- Ile Scott miał lat? Ile Scott ma lat.

- Dwadzieścia dziewięć.

- A zatem siedem. Poznaliśmy się trzy lata temu w klubie czytelnika przy bibliotece.

- Nie miałam pojęcia, że tam chodził. Ciekawe, gdzie ja wtedy byłam.

- Na lekcji pływania, o ile dobrze pamiętam. Scott wziął udział w kilku spotkaniach. Tamtej zimy omawialiśmy Jane Austen. Wpadał na chwilę co tydzień, ale zawsze musiał wcześniej wyjść, żeby cię odebrać.

Taki już jego los.

95

- Któregoś wieczora zaprosił mnie gdzieś, ja odmówiłam i na tym się skończyło. Dopiero co wzięłam rozwód i nie byłam gotowa na randki.

- Nic nie wiedziałam. Wsunęła kopertę do swojej teczki.

- Cóż, niby czemu miałyby ci o tym mówić?

Scott próbował umówić się z panią Penny. O czym jeszcze mi nie powiedział? A z czego ja mu się nie zwierzyłam?

Pierwszy pocałunek, pierwsza miesięczka, regularne bóle brzucha, zadurzenie w nauczycielu-praktykancie w szóstej klasie, dwadzieścia dolarów pożyczone jakiemuś kumpłowi na obozie, których nigdy nie odzyskałam, obraźliwe anonimy, które wkładałam do plecaka Jennifer w siódmej klasie, piwo, które wypiliśmy na

siedemnastce u Leesy, na której nie było rodziców. Hejże, wszyscy mamy swoje tajemnice. Słuchajcie – rzekłam do Kady i Jean, gdy spotkałam się z nimi przy samochodzie. – W życiu nie uwierzycie, kogo podrywał kiedyś mój brat. Jean pocierała dłonie i chuchała na nie. – Naprawdę powinnaś dawać nam kluczyk, żebyśmy mogły poczekać w samochodzie. – Panią Penny. Nie jesteście w szoku? Właśnie mi powiedziała. Rany, naprawdę musi coś mieć do starszych kobiet. Ciekawe, z kim jeszcze się umawiał albo próbował się umówić. Chyba powinnam popytać. – Niech zmarli spoczywają w spokoju – powiedziała Kady. Odgarniałam śnieg przed domem, kiedy Drummondowie wyruszyli do Green Bay. Uniosłam rękę, żeby im pomachać, a wraz z nią podniosłam łopatę i śnieg posypał mi się na głowę. Roześmiali się, najwyraźniej sądząc, że zrobiłam to specjalnie. Gdy sąsiedzi wyjechali, mój dom wydał mi się pusty. Zasłoniłam okna i włączyłam mnóstwo świateł. Wiedząc, że Drummondowie mnie nie obserwują, nie mogłam opędnąć się od myśli, że może to robić ktoś inny. Wyznanie pani Penny wzbudziło moje zainteresowanie tajemnicami mojego brata. O czym jeszcze nie wiedziałam? W pokoju Scotta panował zaduch, ale na zewnątrz było chyba minus dwanaście stopni, więc nie otwierałam okien.

96

Spojrzałam na łóżko. Czy przyprowadzał tu kogoś, gdy na przykład nocowałam u koleżanek? Ile tak naprawdę chciałam wiedzieć? Jego biurko należało kiedyś do rodziców – to jedna z tych niewielu rzeczy, jakie zatrzymał dla siebie. Otworzyłam środkową górną szufladę. Czy to tu skrywał swe sekrety? Znaczki, ołówki, kilka zdjęć barracudy. Facet miał fioła, nie ma co. Stał mi przed oczami samochód pod brezentem w garażu i przypomniałam sobie, jak przy nim pracował w letnie wieczory przy szeroko otwartej bramie, świetle wylewającym się na podjazd i ryczącym radiu. „Ale czy mógłby zostawić barracudę?” – mówił John. Inne szuflady były równie nieciekawe. Rachunki, kartki z notkami z pracy, szkice samochodów. Zapomniałam, że lubił rysować. Kiedyś brał nawet lekcje. Czemu tego zaniechał?

Widok komody zapał mi dech w piersiach: wszystko poukładane według przeznaczenia i barwy. Zawahałam się, otwierając szufladę z bielizną, po czym odsunęłam na bok sterty slipek i bokserek. Bez wątplenia właśnie w takim miejscu mężczyzna ukryłby przed siostrą to, co miał do ukrycia. Szuflady były pełne porządnie poskładanych, czystych ubrań. Zrobił pranie w tamten weekend. Po co, skoro miał zamiar odejść? Żeby mnie zmylić, rzecz jasna. Wszystko musiało wyglądać normalnie.

W szafce nocnej była tylko jedna szuflada. Cukierki na kaszel, zegarek na zerwanym pasku, dwie książki – John Grisham i Jane Austen. Co za zestawienie. Żadnych listów, żadnych czasopism, żadnej pornografii, żadnych prezerwatyw, żadnych sekretów. Absolutnie nic, co by mogło zaświadczyć o jego życiu osobistym.

Zero. Pytam, ilu ludzi mogłoby umrzeć i nie zostawić po sobie choćby jednej wstydlivej rzeczy?

Czy pozbył się wszystkiego wiedząc, że odchodzi, czy też jego życie rzeczywiście było takie czyste?

Wszystko w jego pokoju było tak schludne i porządne. Czy było to dla niego takie proste – poukładać wszystko i odejść? Czy kiedykolwiek się zawahał, zmienił zdanie, by potem powrócić do poprzedniej decyzji?

A teraz – co sobie myślał, co robił, co czuł? Czy pamiętał o mnie, zastanawiał się, co ja sobie myślę, co robię, co czuję?

Obróciłam się powoli, chmurnie patrząc na schludne pomieszczenie. Wszystko było takie uporządkowane. Jedyne bałagan, jaki po sobie pozostawił: moje życie.

97

7

W porządku, życie może i nie było idyllą. Mimo to moja sytuacja miała jedną olbrzymią zaletę.

Muzyka. Mogłam słuchać, czego chciałam, kiedy chciałam i jak głośno chciałam, i to w całym domu. Żadnych więcej słuchawek we własnym pokoju, żeby nie przeszkadzać starszemu bratu podczas oglądania „Z archiwum X”. Przez dziesięć

lat supersprzęt rodziców w pokoju dziennym stał prawie nie używany, bo Scott i ja nie chcieliśmy sobie przeszkadzać.

Jakby się tak zastanowić, była jeszcze jedna dobra strona: niedbały strój. Od wielu lat, od czasu, gdy uświadomiłam sobie, że mam piersi, nigdy nie wychodziłam ze swojego pokoju bez choćby podomki. Scott też. Czy któreś z nas kiedykolwiek siedziało w kuchni jedynie w podkoszulku i bieliźnie? Nigdy. Nie przypominam sobie nawet, bym widziała go kiedyś pracującego w letni wieczór w garażu bez koszuli.

Gdziekolwiek się teraz znajdował, założę się, że był na wpół nagi, a dokoła niego ryczała muzyka.

Włączyłam kompakt Cranberries, mając na sobie jedynie starą koszulkę z Bobem Dylanem i granatowe wzorzyste bokserki. Obie rzeczy należały do Scotta. On ograbił mnie ze wspomnień, za to ja splądrowałam jego szuflady.

Głośna muzyka sprawiła, że nie od razu usłyszałam dzwonek. A gdy już do mnie dotarł, pomyślałam, że to może część akompaniamentu gdzieś w tle, maleńka wstawka, której wcześniej nigdy nie zauważyłam. Gdy zobaczyłam poruszającą się klamkę, prawie upuściłam kubek z herbatą, którą niosłam do kuchni, żeby podgrzać w mikrofalówce. Ktoś próbował wejść do środka. Wyłączyłam odtwarzacz i muzyka ucichła.

Usłyszałam śmiech, a potem swoje imię.

– Hej, Arden, otwórz drzwi! Cody Rock.

– Moment – zawołałam. Pobiegłam do swojego pokoju, naciągnęłam dżinsy, zdjęłam koszulkę, a założyłam stanik i sweter.

– Rany boskie, zamarnąć można – jęczała jakaś dziewczyna, gdy otworzyłam drzwi. Na schodach stało ich pięcioro. Cody od razu wpakował się do środka.

– Słyszeliśmy, że jest u ciebie impreza – rzekł. – Kto przyszedł?

– Nikt.

98

Skinieniem głowy witałam ludzi, którzy weszli za nim.

– Nie ma żadnej imprezy.

Wyjrzałam na dwór. U Drummondów było ciemno, a u Knightsleyów, w jedynym innym domu w zasięgu wzroku, paliło się tylko jedno światełko nad garażem. Tu tylko diabeł mówi dobranoc, nie ma co.

– Czego chcesz, Cody? – spytałam.

– Miejsca, gdzie mógłbym się ogrzać. I może jakiegoś szkła? Podniósł brązową torbę. Sterczała z niej szyjka butelki.

– To nie jest dobry pomysł.

– Co z tego masz, że mieszkasz sama, skoro nawet nie chcesz urządzić imprezy? Znasz Derka, nie? A Tiannę? Małolata, ale jest w porządku. Ten dupek z sześciopakami to Roo-nald. Mieszka w Minong, a chwilowo przebywa w Penokee, doprowadzając do szału swoją babkę.

Chłopak trzymający piwo skrzywił się i rzekł:

– Nikt nie mówił na mnie Ronald, odkąd skończyłem trzecią klasę. Mów mi R.J.

– /jak joint, co? – wtrąciła Tianna. – Masz jeszcze te dwa, które skręciliśmy po południu?

– A to moja kuzynka – ciągnął Cody, obejmując inną dziewczynę.

– Abby.

– Przyrodnia kuzynka – poprawiła, po czym stanęła na palcach, przycisnęła twarz do twarzy Cody'ego i ich języki zmagaly się ze sobą przez kilka sekund.

– Wszyscy musicie wyjść – powiedziałam.

– Czemu? – zdziwił się Cody, wyplątawszy swój język z ust Abby.

– Daj spokój, zostaniemy, rozвесelimy cię trochę.

– Włączę z powrotem muzykę. Tylko nie tamto gówno. Co jeszcze masz? – mówił Derek.

Rzucił kurtkę na fotel i podszedł do odtwarzacza. Tianna ruszyła do telefonu i już wybierała numer.

– Co robisz? – spytałam.

– Dzwonię do ludzi, powiedziec, gdzie jesteśmy.

– Przestań. Musicie stąd iść.

– Daj spokój, Arden – mówił Cody. – Kto się dowie? Słyszałem, że twoi stróże wyjechali na weekend. Tianna, w razie gdyby jej kumpel glina był dziś na patrolu,

przypomnij im, żeby parkowali gdzie indziej.

R.J. zapalił skręta i podał innym. Wszłam do kuchni i pochyliłam się nad

zlewem.

Derek przyszedł za mną i wpakował piwo do lodówki.

99

– Widzę, że nie masz nic do żarcia. Wziął do ręki słuchawkę drugiego aparatu.

– Ej, Tianna, powiedz im, żeby wpadli po drodze po pizzę. W lodówce jest tylko światło.

– Dostanę trochę wody?

Ktoś szturchnął mnie od tyłu, więc się odwróciłam. Cody trzymał szklankę i butelkę z alkoholem.

– Trzeba trochę rozcieńczyć tę whisky.

Odsunęłam się na bok i patrzyłam, jak Cody miesza w szklance alkohol z wodą.

– Jeśli naprawdę chcesz się nas pozbyć, Arden, to chyba będziesz musiała zadzwonić na policję.

Doleciał do mnie ostry smród palonej trawki. Usłyszałam, jak ktoś otwiera puszkę z piwem, a potem syk, a potem śmiech i doping:

– Do dna, do dna, do dna. Następna puszka, a zaraz:

– Oho, i pół puszki nie ma. Dywan do czyszczenia.

Wezwanie policji nie wchodziło w grę. Cody był tego świadom, bo wszyscy w mieście wiedzieli, że jestem jakby na zwolnieniu warunkowym. Gdybym musiała zadzwonić na policję, żeby wybawiła mnie z kłopotu w piątkowy wieczór, to lepszego dowodu na to, że nie powinnam być sama, już nikt by nie potrzebował. Cody podniósł szklankę do moich ust.

– No, jeden drink jeszcze nikogo nie zabił. Nikt się nie dowie.

– Ja chcę – jęknęła przyrodnia kuzynka.

Uśmiechną się do mnie chytrze, odwrócił się i podał jej butelkę. Powoli oblizwała brzeg i dopiero wtedy odchyliła głowę, żeby pociągnąć. Od razu prychnęła i wypluła whisky.

– Co za gówno.

– Podziękuj mojemu bratu – mówił Cody. – Miałem tylko sześć dolców. Kurczę, Abby, oplułaś mi koszulę.

– To ją zdejmij.

Pomysł mu się spodobał. Abby pomogła mu rozpiąć guziki.

Weszłam do pokoju dziennego i usiadłam na macie. W ciągu dziesięciu minut przybyły trzy kolejne grupy gości. Wyjrzałam przez żaluzje. Na podjeździe znajdował się tylko jeden samochód. Inne stały dyskretnie rozsiane po okolicy, żeby nie przyciągać uwagi. Imprezo we parkowanie; znam to z własnego doświadczenia.

100

– Masz jakąś fajną muzykę? – zawołał nie znany mi chłopak, przeglądając kompakty.

– Co to za bzdury? Etta James, Joe Ely?

– To mojego brata – wyjaśniłam.

– Jej brat nie żyje – wtrącił się Derek. Siedział rozwalony w fotelu.

– Serio? Jak to się stało?

– Na skuterze śnieżnym – tłumaczył Derek.

– On żyje – rzekłam.

– Akurat! – rzucił Cody. Wlókł się do pokoju, ciągnąc za sobą Abby z przewieszoną przez ramię jego koszulą. – To gdzie jest?

– Czy to ważne? – zauważył Derek. – Grunt, że tu go nie ma. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie komitet do spraw sierot, jak ocenia sytuację. Dosłownie miałam przed oczami, jak siedzą ze splecionymi rękami,

pukając kciukiem o kciuk, z twarzami skwaszonymi od niezadowolenia. A więc mówisz, że ich wpuściłaś? Mówisz, że pozwoliłaś im pić? Mówisz, że się porozbierali?

Źle oceniłaś sytuację, Arden. Trzeba było powiedzieć „nie” już w progu.

Zjawiało się coraz to więcej ludzi, przywożąc jedzenie i alkohol. Nikt nie zawracał sobie głowy pukaniem czy dzwonieniem do drzwi. Znałam może połowę z nich z widzenia; reszty nie znałam w ogóle. Przez godzinę chodziłam z pokoju do pokoju, obecna, lecz bynajmniej nie rozbawiona.

– Gdzie łazienka? – spytał mnie chłopak z postrzępioną kosią bród-ką.

Pokazałam głową na hall.

– Zajęta – odrzekł. – Macie chyba więcej niż jedną. Jego pełny pęcherz nie mógł już czekać na instrukcje.

– Sam znajdę.

Obrócił się na pięcie i ruszył, wypróbując wszystkie drzwi. Garderoba, gabinet Scotta, mój pokój. Usiłowałam go dogonić.

– Co tu jest? – zapytał, kładąc rękę na drzwiach sypialni Scotta.

– Nie, do cholery, nie tam! – krzyknęłam.

Nie chciałam, by ktokolwiek wchodził do pokoju Scotta. Za późno. Abby i Cody już tam byli.

– Spadać! – ryknął Cody.

– Szczęściarz. – Nieznajomy chłopak gwizdnął i zamknął drzwi. Oparłam się o ścianę i rozważałam możliwości: iść do pokoju dziennego i dołączyć do zabawy, zadzwonić na policję i na zawsze pożegnać się

101

z niezależnością, być żoną i zrobić awanturę, schować się w swoim pokoju i cierpieć w milczeniu...

W milczeniu? Jeszcze czego! Mój problem zaczął się od tego, że bałam się otworzyć buzię. Dość tego.

Zaczęłam walić w drzwi pokoju Scotta.

– Wynoście się! – wrzeszczałam.

Nie chciałam znowu tam wpadać; nie miałam zamiaru znów oglądać nagiego Cody'ego.

– Też masz ochotę, co? – R.J. stanął koło mnie, przetaczając puszkę piwa w dłoniach. – Och, Arden – dodał cicho.

– Czego?

Jeszcze kilka razy walnęłam w drzwi.

– To naprawdę fajnie z twojej strony. To miłe, że nie muszę krażyć po mieście samochodem, żeby się nawalić, wiesz? Arden...

– Co?

Wpatrywałam się w drzwi, rozcierając piekącą dłoń.

– Muszę się położyć. Pójdiesz ze mną?

Popchnęłam go lekko, odchodząc od drzwi, a on odbił się od ściany i osunął na podłogę. Usłyszałam, jak beknął, i poczułam odór wymiocin.

Tego już było za wiele. Obróciłam się na pięcie i wparowałam do pokoju Scotta w chwili, gdy akurat Cody podciągał spodnie. Abby zapiszczała i obciągnęła koszulę,

jak najniżej się dało. Popchnęłam Cody'ego w stronę drzwi.

– Ej, nie bądź taka agresywna – mamrotał. – Miałem gumkę, łóżko jest czyste. O co ci chodzi?

Wyrzuciłam go z pokoju. Potknął się i wdepnął w wymiociny. Zaczęłam okładać go po plecach.

– Wnoś się i zabieraj wszystkich razem z sobą. Macie pięć minut albo wezwę gliny. Mam gdzieś, co się ze mną stanie; macie się wszyscy wynosić.

Ruszyłam korytarzem do swojego pokoju. Gdy już sięgałam do klamki, drzwi się otworzyły i wyszedł chłopak z dziewczyną. Nidy ich przedtem nie widziałam.

Zamrugali porażeni jasnym światłem w przejściu.

– Lepiej nie wchodzić do tego pokoju – ostrzegła dziewczyna. – Jest jakiś dziwny.

Cody popatrzył złośliwie, po czym precyzyjnie się obok mnie i wszedł do środka.

Lampka na biurku rzucała miękkie żółtawe światło. Włączył górną lampę i rozejrzał się. Dwie ściany pokryte były fotografiami rodzinnymi; na trzeciej wisiał rząd ulotek.

102

– Wnoś się – powiedziałam.

Nie posłuchał mnie. Z rękoma na biodrach przyjrzał się zdjęciom, a potem zaśmiał się z plakatów.

– Lubi, jak ją trup podgląda.

– Spieprzaj.

– Jesteś bardziej szurnięta, niż myślałem.

Następnie podniósł usmarowaną wymiocinami stopę i wytarł ją o moje udo.

– Ej, spadamy – krzyknął. – Ta suka chce wezwać gliny.

Ta suka nie wezwała glin, tylko przez dwie godziny po ich wyjściu sprzątała. W rekordowym czasie zdołali zrobić burdel w całym domu. Powypa-lane dziury w japońskiej macie, piwo na dywanie, powyginane żaluzje w pokoju dziennym, pizza na podłodze w kuchni, zasikana toaleta, rzygi w korytarzu i zużyta prezerwatywa na łóżku mojego brata. Zwinęłam pościel Scotta i wpakowałam do śmieci.

Jak tylko ta suka zgasiła światła, na ubitym śniegu i lodzie na podjeździe

zaskrzypiały opony. Obroty silnika zwolniły i trzasnęły drzwi. Usłyszałam ciche głosy, a potem drugie trzaśnięcie drzwi. Samochód odjechał.

Kurde, pewnie mówili. Już po imprezie.

8

W sobotę rano doznałam objawienia: naprawdę nawaliłam. Gdyby dowiedział się o tym komitet do spraw sierot, byłabym zgubiona. Moją winą nie była ta balanga, choć wiedziałam, że da mi o sobie znać kilkoro zatroskanych obywateli, jeśli tylko do uszu niewłaściwej osoby dotrze, że u Arden Munro była zarypiasta impreza. Nie chodziło też o zaległe zamówienia na ramki i zniecierpliwionych klientów ArdenArt. Ani nawet o nie odrobione zadania domowe.

Z czym nawaliłam? Ze śmieciami. Przez dwa tygodnie nie pamiętałam, żeby przygotować kubły do piątkowej wywózki. Prawdziwie odpowiedzialna sierota o takich rzeczach nie zapomina.

Przed pójściem spać spakowałam cały bajzel po imprezie do worka i zostawiłam w kuchni przy drzwiach do garażu, bo nie chciało mi się wynieść. Tak więc w obliczu prawdy stanęłam dopiero, gdy szurając nogami, szłam przez garaż, żeby wepchnąć worek do kubła. Cholera, pomyślałam.

103

Przegapiłam kolejną wywózkę. Moje zapominalstwo piętrzyło się przede mną w czarnych torbach. Dobrze chociaż, że było zimno, i tak miało pozostać – nic nie śmierdziało.

– Och, Scott – wyśpiewałam, znalazłszy się z powrotem w kuchni – czy to nie twój był w tym tygodniu dyżur przy śmieciach?

Zdażyłam zapuścić zęby w półcentymetrową warstwę śmietankowego serka szklącego się na idealnie opieczonym obwarzanku, gdy zabrzączał dzwonek. Ścisnęłam pasek od podomki i przeszłam do pokoju dziennego. Wpół dodziesiątej w sobotę rano; kogo, u licha, niesie?

Dzwonek zabrzmiał raz jeszcze. Kusiło mnie, żeby wyjrzeć przez żaluzje, ale podejrzewałam, że znajdę się wówczas oko w oko z Codym. Jedną dłoń zamknęłam na klamce, zaś drugą przekręciłam klucz w zamku. Och, czemuż nie mieliśmy wizjera? Gwałtownym ruchem otworzyłam drzwi.

Jace uśmiechał się do mnie przez zamazaną szybę drzwi przedsionka. Jego uśmiech przygasł, gdy zauważył mój strój i potargane włosy.

– Wyciągnąłem cię z łóżka?

– Akurat jadłam śniadanie.

– Chyba trzeba było najpierw zadzwonić – stwierdził.

– Nikt tego nigdy nie robi. Wchodź.

Wszedł do środka i zrobiło się małe zamieszanie, gdy oboje jednocześnie próbowaliśmy zamknąć drzwi.

– Przywiozłem mamę do babci. Mieszka w jednym z apartamentów dla seniorów.

Robią dziś u niej porządki i kazały mi się ulotnić.

– Może potem mogłyby wpaść do mnie. Kilka razy przesunął suwak kurtki w górę i w dół.

– Nie widzę tu bałaganu. – Wciągnął powietrze. – Może tylko panuje lekki zaduch.

– Miałam wczoraj gości. Ale to długa historia. Chcesz obwarzanka? Chciał.

Wysłałam go do kuchni i kazałam się poczęstować. Ja tymczasem ruszyłam pod prysznic.

Załatwiłam to błyskawicznie. Ostatecznie kto ośmieliłby się przebywać dłużej niż trzeba nago i mokro w domu, gdzie jedyne towarzystwo stanowił niebywale atrakcyjny chłopak? Nie taka sierota jak ja.

– Jesteś jakaś inna – rzekł, gdy dołączyłam do niego w kuchni.

– Czysta i wilgotna.

– To te włosy. Nie miałem pojęcia, że są takie długie, i chyba nigdy nie widziałem cię w rozpuszczonych. Przeważnie nosisz warkocze ople-

104

cione jakoś wokół głowy, prawda? Odkąd pamiętam, nawet jeszcze w piątej klasie, zawsze nosiłaś warkocze. To dość niezwykle.

– Musiałbyś mnie zobaczyć w pompadourze. Chcesz jeszcze soku?

Pokręcił głową, wydobywając z czeluści własnej buzi zabłąkany kawałek pieczywa. Odwróciłam wzrok. Przypomniało mi się, jak wieczorem podobną czynność wykonywała Abby w ustach Cody'ego.

– Widziałaś dzisiejszą gazetę? Pstryknęłam palcami.

– Zapomniałam.

– Moja babcia miała. – Wyciągnął złożoną płachtę z kieszeni kurtki. –

Pomyślałem, że chciałabyś to zobaczyć.

– Ja zamieściłam ogłoszenie.

– Widziałem. Zdziwiłem się. Pomyślałem, „Kurczę, więc on żyje”. A potem przeczytałem... o, tutaj, patrz. – Jace podał mi gazetę. – Na trzeciej stronie. Poważne gazety nazywają to działem wiadomości lokalnych. W „Jo-urnalu” jest to jednak kolejna strona wypełniona miejscowymi plotkami i mieści głównie krótkie artykuły dotyczące wizyt u krewnych, wydarzeń z życia szkoły i wycieczek autokarowych dla seniorów. Tego dnia było sporo ogłoszeń, przeważnie reklam restauracji i salonów piękności.

I jedno o zaginionym bracie.

– Doskonale – wyszeptalam.

– Widziałaś artykuł? – spytał Jace.

Przeleciałam nagłówki. „45-lecie ślubu państwa Doyle”, „Przyjęcie na cześć pastora Severta”, „Miejscowa rodzina rusza z misją do Rosji”, „Biuro szeryfa komentuje”.

„To tylko bezpodstawna pogłoska – powiedziała nam zastępczyni szeryfa Felicity Kay. – 3 lutego Scott Munro uległ fatalnemu wypadkowi i utonął w rzece Goebic. Nasze biuro i inne służby publiczne w mieście traktują sprawę w ten właśnie sposób. Członkowie rodziny mają prawo do sprawdzenia własnej wersji zdarzeń, lecz biuro szeryfa nie widzi powodu, dla którego miałyby się w taką akcję angażować, bo nie istnieją żadne dowody świadczące o tym, że może tu chodzić o zaginięcie, przy czym wiele faktów potwierdza naszą teorię: Scott Munro nie żyje”.

– Żyje – powiedziałam.

– Wiesz coś, czego nie wie policja? Złożyłam gazetę, ściskając mocno na zgięciach.

– Nazwała mnie wariatką.

105

– Niczego takiego nie powiedziała, Arden. Ale powiedz mi, dlaczego uważasz, że Scott żyje?

– Ja nie uważam, ja wiem.

– Więc powiedz mi.

Opowiedziałam mu, a gdy mówiłam, jego buzia nie zmieniła się ani odrobinę. Kamienna twarz. On też mi nie wierzył.

– Daj spokój, Jace – zakończyłam. – Idź pomóc mamie szorować podłogę. Ja też mam sporo do zrobienia.

– Mogę ci pomóc.

– Po co masz się trudzić? Przecież to jasne, że uważasz mnie za wariatkę.

– Wcale nie.

– No to co uważasz?

– Uważam... że chcesz odzyskać brata.

– Więc spełnisz kilka moich zachcianek, żeby szybciej wybić mi z głowy tę moją fantazję. Nie traktuj mnie z góry, dobra?

– Nie mam takiego zamiaru.

– Więc idź.

– Dokąd? Do zagraconego mieszkania, gdzie skończę czyszczyć żaluzje? Słuchaj, Arden, ty masz plan, a ja mam czas. Bierzmy się do roboty-

Według książki telefonicznej w okolicy znajdowało się jedenaście sklepów spożywczych, dwadzieścia cztery bary i dziewiętnaście stacji benzynowych. Skupiliśmy się na tych leżących przy drogach biegnących w pobliżu rzeki i na dwóch autostradach prowadzących przez miasto. Najgorsi byli właściciele barów, ale tylko kilku nie pozwoliło powiesić plakatu. Przy tym jeden z barmanów oznajmił, że ogłoszenia o poszukiwanych osobach psują humor klientom. Trzech mężczyzn, niezłe już wstawionych, którzy okupowali barowe stołki, wypuściło dym z papierosów i na potwierdzenie pokiwało głowami.

W sklepach spożywczych twarz Scotta dołączyła przeważnie do kilku innych na szybach wystawowych. Prawie wszędzie, gdzie się udaliśmy, napotykaliliśmy te same ogłoszenia o sześcioletnich bliźniętach i jednej starszej dziewczynie, która „zbiegła z domu i może znajdować się w poważnym niebezpieczeństwie”.

Stwierdziłam, że mam szczęście. Scotta nie było w domu, ale prawie na pewno nic mu nie groziło.

Na jednej ze stacji benzynowych sprzedawca nie pozwolił nam umieścić ulotki.

106

– Czytałem o tym w dzisiejszej gazecie – powiedział. – Szeryf twierdzi, że

facet wcale nie zaginął. Mam dość makulatury na oknach i bez papierów, które wcale nie muszą tutaj wisieć. Wynocha.

Poszliśmy na późny lunch do Leny.

Znów nie chciała mi podać kawy. Popatrzyła tylko na nasze twarze – czerwone od spaceru w obie strony po głównej ulicy, gdzie rozwieszaliśmy plakaty na witrynach opuszczonych sklepów – i przyniosła nam dwa kubki kakao.

– Co powiecie na enchiladas*! – spytała i odeszła, nim zdążyliśmy odpowiedzieć. Meksykańskie danie z gorącą czekoladą. Jace i ja wymieniliśmy spojrzenia i uśmiechy. Miało to tyle sensu, co otaczająca nas rzeczywistość. Jace stukał nożem o szklankę z wodą.

– Tak sobie myślę...

– To może być niebezpieczne. O czym?

– O tej ulotce.

– Jace, do tej pory był z ciebie dobry kumpel. Nie zaczynaj mi teraz dokuczać.

– E-e... Jak już przegoniłaś mnie po całej okolicy, zaczęło mnie to wciągać.

Chodzi mi o samą ulotkę; uważam, że jest zła. Proszę, popatrz uważnie.

Wziął jedną z wierzchu i położył przede mną.

– To mój brat. No i co z tego?

– Właśnie przyszło mi do głowy, że szukamy nie tego faceta. Te plakaty to może być strata czasu i pieniędzy.

– Co masz na myśli?

– Jeśli Scott rzeczywiście żyje, to co musiał zrobić zaraz po sfingowaniu wypadku?

– Wsiadł w samochód i odjechał.

– Nie. Pomyśl.

– Myślałam już, Jace, od kilku dni nie robię nic innego.

– Broda, detektywie w spódnicy, broda. Jeśli facet z takim zarostem ucieka i nie chce, by go odnaleziono, pierwsze, co robi, to goli się.

Zamknęłam oczy.

– Ostatni raz, gdy go widziałam, miał brodę.

– Pewnie, że miał, bo chciał, żeby go tak zapamiętano.

* Enchiladas (hiszp.) – cienki kukurydziany placek nadziewany mięsem i podawany z ostrym sosem chili; potrawa meksykańska.

107

Rozpromieniona Lena podała nam enchiladas. Jace wziął kęs i zrobił wielkie oczy.

– Pali? – spytałam.

Ustami wciągnął powietrze i potaknął.

– Pali, bo za dużo papryki, czy pali, bo gorące?

– Papryka – sapnął.

Napił się wody i zrobił wydech.

– Super było – stwierdził i wziął następny kęs. – Scott przed zniknięciem był w tamtej gospodzie – ciągnął z pełną buzią. – Czy ktoś może wspomniał, że się ogolił?

– Nic o tym nie wiem. Twierdzisz, że po tym, jak zatopił skuter, a przed dotarciem do drogi zatrzymał się, żeby pozbyć się brody? Przecież szalała śnieżycyca.

Wzruszył ramionami i przepłukał usta wodą.

– Nie chciał ryzykować, że zostanie rozpoznany. Myślę, że powinnaś rozwiesić jego zdjęcia bez zarostu. Masz jakieś?

– Mam zaczynać wszystko od nowa?

– Skoro musisz.

– Nosił brodę od lat. Był z tego powodu trochę próżny. Zapuścił ją, kiedy zaczął tracić włosy na głowie.

Jace pokiwał głową.

– Wielu facetów tak robi. Ja tam nigdy nie wyłysieję. – Przejechał dłonią po krótkiej, ciemnej szczecinie na swojej głowie.

– No to mnie zniechęciłeś.

– A jak już się ogolił, to jak twoim zdaniem uciekł?

– Nie wiem.

– To akurat wie tylko Scott. Ale jak uważasz?

– Musiał gdzieś skombinować samochód. Nie wziął swojego.

– Gdzie go skombinował? Skąd go wziął? Kupił? Wynajął? Masz coś na wyciągu z banku?

– Nie wiem, Jace, nie wiem.

– Sprawdziłaś to wszystko, Arden? A może zabrał ze sobą kartę kredytową i teraz wydaje pieniądze po całym kraju. Sprawdziłaś? Jeśli skorzystał z niej, wypożyczając samochód, a rachunek obciążył wasze konto, to będziesz miała dowód, którym zainteresujesz szeryfa.

– Nie sędzę, by był tak lekkomyślny, ale chyba sprawdzę.

– A jak w ogóle dostał się znad rzeki do drogi? Śnieg jest dosyć głęboki, więc spacerek zająłby mu wieki. Uciekinier nie ma tyle czasu. Czy miał raki? Czy są nadal w domu? A może kupił sobie? Jeśli tak, to gdzie?

108

– Nigdy nawet nie próbował chodzić w rakach, o ile mi wiadomo.

– Więc jak tego dokonał, Arden? I jak udało mu się zatopić skuter, a samemu nie wpaść do wody? No dobrze, to akurat proste... Zwyczajnie wyskoczył w biegu. Zatem utopienie skutera nie stanowiło żadnego wielkiego wyzwania. Ale czy do lodu w tym niebezpiecznym miejscu nie była przyczepiona lina z hakiem? Jak tego dokonał?

– Widzę, że nad wieloma rzeczami się nie zastanawiałam.

Ugryzłam najbardziej pikantne danie, jakie kiedykolwiek zaserwowano w Wisconsin. Z oczu natychmiast popłynęły mi łzy, które zgromadziły się tam na długo przed skosztowaniem enchiladas.

– Coś się stało? – spytał Jace przepraszającym głosem po tym, jak się napił.

– Tak mi głupio. W ogóle o tym wszystkim nie pomyślałam. Udało mi się domyślić, dlaczego, ale nie w jaki sposób uciekł. Dzięki za pomoc. Teraz mam ochotę dać sobie spokój.

Wstał ze swojego siedzenia i usiadł koło mnie. Jego ramię opadło na mój bark, przyciągnął mnie do siebie, jego głowa zawisła nad moją. Jeden całus, drugi, trzeci.

– Kiepsko się czujesz, bo jesteś głodna – wyszeptał. – Jedz. Zjawiała się Lena, uniesioną brwią i uśmiechem skomentowała nasze przemieszczenie i nie pytając zabrała puste kubki, a po chwili wróciła z pełnymi,

zwieńczonymi czapami bitej śmietany. Moja pienista wieża za-chybotwała, gdy Lena stawiała kubek, i opadła na talerz. Enchiladas z bitą śmietaną. To możliwe tylko w Wisconsin.

– Stare zdjęcia do niczego się nie nadadzą – kontynuowałam. – Ledwo można go rozpoznać z czupryną na głowie, jaką kiedyś miał. Ale zgadzam się, że powinniśmy szukać faceta bez brody.

– Mogę to załatwić.

– Jak?

– Na komputerze. W szkole mamy świetny program graficzny. Daj mi jedną ulotkę i stare zdjęcie bez brody. Zeskanuję jedno i drugie i nałożę na siebie. To proste. – Będę musiała przygotować i porozklepać nowe ulotki. Zamieścić nowe ogłoszenie. Jace uśmiechnął się i przepraszająco wzruszył ramionami.

No i wróciłam do punktu wyjścia. A tymczasem Scott wymykał się coraz dalej i dalej, tak samo, jakby toczył się wraz z nurtem rzeki w stronę olbrzymiego, nieubłaganego grobu – jeziora Superior.

109

Śnieg sypał znacznie mocniej, gdy wróciliśmy do domu.

– Jedzicie dziś do Moose Lake czy nocujecie u babci? – spytałam, gdy zbliżaliśmy się do drzwi.

Grzebałam w kieszeni, szukając kluczy. Jace chuchał na gołe ręce.

– Mama jest organistką w kościele, więc w niedziele zawsze musimy być w domu. Zresztą powinienem posiedzieć nad historią; zleci mi na tym cały dzień. A do tego w poniedziałek są przesłuchania do sztuki i muszę popracować nad jakąś piosenką. Wystawiają „Camelot” i chcę wziąć w tym udział.

– Potrafisz śpiewać?

– Nie najlepiej, za to świetnie wyglądam w rajtuzach. Roześmiałam się i upuściłam klucze. Jace szybko je podniósł i otworzył drzwi.

Czekał w hallu, podczas gdy ja poszłam do swojego pokoju po zdjęcie.

Przyglądając się obrazkom na ścianie i zastanawiając się, który wybrać, słyszałam, jak nuci pod nosem. Gdy wróciłam, stał z zamkniętymi oczami i głową opartą o ścianę. Wyraźnie zarysowana szczęka, mocny kark, szerokie barki... Otworzył oczy i popatrzyliśmy na siebie. Dom bez dorosłych, przystojny chłopak...

Hm, co będzie dalej?

Wziął ode mnie zdjęcie i dał niewinnego buziaka w policzek.

– Muszę lecieć. Będziemy w kontakcie.

Zbiegł po stopniach do swojego samochodu, machając obiema rękami. Zamknęłam drzwi i przekręciłam w zamku klucz.

9

W poniedziałek na matematyce dostałam wiadomość z sekretariatu. Zazwyczaj nie było to żadne szczególnie poruszające wydarzenie. Każdy jest tam wzywany przynajmniej kilka razy w roku, przeważnie po to, by odebrać jakieś pieniądze, instrument muzyczny czy dostarczone przez rodziców zapomniane zadanie domowe. Arden Munro proszona do gabinetu pedagoga po trzeciej przerwie.

Przeczytałam to z tuzin razy w ciągu dziesięciu minut, jakie pozostały do końca lekcji. Nie miałam nikogo, kto awaryjnie mógł mi coś przywieźć do szkoły, więc mogłam być pewna, że nie chodzi o torbę z lunchem, którą przez roztargnienie zostawiłam na stole w kuchni.

110

Pani Rutledge zwodniczo wyciągnęła rękę, gdy podeszłam do gabinetu, ale ja byłam dobrze przygotowana na odparcie każdego ataku.

– Jeśli chodzi o moje zaległości – zaczęłam natychmiast – to pewnie ucieszy się pani wiedząc, że cały wczorajszy dzień spędziłam nad lekcjami. Oddałam trzy arkusze zadań z matematyki, poprawiłam test z biologii i pracuję nad angielskim. – To cudownie, Arden! Ale nie chciałam rozmawiać o twojej nauce. Możesz wejść do gabinetu?

A miałam jakiś wybór?

Gdy weszłyśmy, z krzesła podniosła się wysoka kobieta o srebrzystych włosach.

Pani Rutledge zamknęła drzwi i wszystkie usiadłyśmy. Jeszcze raz ukradkiem spojrzałam na nieznaną, a ona zauważyła to i uśmiechnęła się.

Pani Rutledge jednak się nie uśmiechała, więc wiedziałam, że coś musi być mocno nie tak. Zazwyczaj była tak chorobliwie radosna, że miało się ochotę ją zastrzelić. Ale nie tym razem.

– Arden, to jest pani Dina Peabody. Doktor Peabody jest nowym psychologiem w naszym rejonie.

Upuściłam torbę na podłogę; spadła z hukiem. Nie spuszczałam wzroku z pani Rutledge, nawet gdy pani doktor podała mi rękę, żeby się przywitać.

– Mam nadzieję, że nie ma za sobą zbyt długiej podróży – rzekłam. – Szkoda by było, gdyby musiała tracić swój cenny czas.

Pani Rutledge wymamrotała coś bez znaczenia i pomachała rękami, co miało oznaczać, że wychodzi i zostawia mnie sam na sam z panią psycholog. Zamknęła drzwi najciszej, jak umiała, po czym na pewno ruszyła do automatu z kawą.

– Przyjechałam z Ashland – odezwała się doktor Peabody. – A zatem nie mam za sobą zbyt długiej podróży. Prawdę mówiąc, pracuję aż w trzech miastach.

– Wobec tego są pewnie uczniowie, którzy potrzebują pani bardziej ode mnie.

– Przedstawiono mi w skrócie twoją sytuację, Arden. Złożyłabym ci kondolencje, ale, jak sądzę, nie uważasz, by były one na miejscu.

– Uważam, że mój brat mnie zostawił, nie umarł.

– W takim razie, jednak ci współczuję. To także strata.

– Po co pani tu przyjechała, pani doktor? To jasne, że w szkole uważają, iż potrzebuję pomocy, ale to już się tak ciągnie od paru tygodni. Co się takiego wydarzyło, że wezwano panią?

111

– Pani Rutledge zadzwoniła w sobotę do mnie do domu. Była bardzo zaniepokojona, bo zobaczyła twoje ogłoszenie w gazecie i towarzyszący mu artykuł. Stwierdziła, że najwyższa pora, bym spotkała się z tobą i oceniła sytuację.

– To znaczy, że ma pani sprawdzić, czy jestem wariatką. Proszę bardzo.

– Dziś rano rozmawiałam z zastępczynią szeryfa. Musiałam się dowiedzieć, jak wygląda, hm... sprawa. I dowiedziałam się. Teraz chcę usłyszeć od ciebie, co pozwala ci przypuszczać, że twój brat żyje.

Wstałam, podnosząc razem z sobą krzesło, i odwróciłam się jak robot w jej stronę.

Chciałam znaleźć się z nią twarzą w twarz. Niech mi spojrzy w oczy i poszuka w nich szaleństwa.

– Był zbyt inteligentny, by spowodować drugi wypadek. Nie pozostawił po sobie niczego, co mogłoby mu przynieść wstyd. Miał prawie trzydzieści lat i czuł się pewnie żywcem pogrzebany przez los, którego nie wybrał. Ma mu się urodzić dziecko, co byłoby ostatnim gwoździem do trumny. A był zbyt odpowiedzialny na

to,

żeby po prostu odejść. Obiecał przyjaciółce, że jej coś podaruje, po czym zostawił to tam, gdzie był pewien, że znajdzie. Ni stąd, ni zowąd nasza go potrzeba opowiadania mi o rodzicach i moim imieniu.

– To wszystko?

– Nie znaleziono ciała.

– Ciała twoich rodziców także nigdy się nie znalazły, prawda? Tu mnie zatkało. Dopiero po dobrej chwili odzyskałam mowę.

– Tu nie chodzi o moich rodziców.

– A może jednak.

– Nie. I zgadza się, ich ciał nigdy nie odnaleziono na miejscu katastrofy, bo teren był zbyt trudny. Moją mamę i mojego tatę pozostawiono, żeby zgnili w dżungli, jeżeli to chciała pani ode mnie usłyszeć. W tamtym klimacie i wśród wszystkich tych dzikich bestii pewnie nie trwało to zbyt długo.

– Czy zostało odprawione nabożeństwo żałobne?

– Nie.

– Dlaczego?

– O co właściwie pani chodzi?

– Chcę ci pomóc. Pokręciłam lekko głową.

– Nie mieli żadnych krewnych?

– Oboje byli jedynakami.

112

– A przyjaciele rodziny?

– Chyba było paru. Byłam jeszcze mała. Scott pewnie ich znał, ale straciliśmy z nimi kontakt.

Beknęła cicho, zasłaniając się nadgarstkiem, po czym przycisnęła palce do mostka,

czy raczej miejsca, gdzie pod wielkimi piersiami mógł kryć się mostek.

– Przepraszam. Zjadłam dość mocno przyprawione śniadanie w knajpce na głównej ulicy.

Znów sprawka Leny.

– Czy twoi rodzice pochodzili z tej okolicy?

– Nie. Oboje byli ze Wschodniego Wybrzeża.

– Czemu postanowili tu zamieszkać? Co mówił Scott?

– Lubili lasy północy. Tata pracował w Rice Lake, a mama w Ashland. Penokee leży mniej więcej w połowie drogi.

– Kiedy się tu przenieśli?

– Jak miałam pięć lat.

– A Scott...?

– Był sporo starszy.

– Nie dorastał tu?

– Pani doktor, rozumiem, że muszę z panią współpracować, bo w świetle prawa nie jestem pełnoletnia, a moje życie roztrząsa wielu ludzi, którzy tylko czekają, bym takiej współpracy odmówiła, żeby na mnie naskoczyć. Mimo to nie chcę z panią rozmawiać o swoim dzieciństwie ani o dzieciństwie Scotta, ani o tym, jak wyglądają teraz ciała moich rodziców.

– Twoi rodzice...

– Dobrze się pani bawi? Lubi pani to robić?

– Twoja złość wiele mi mówi, Arden.

Moja złość. O to jej chodziło, no jasne. Miała zamiar gnębić mnie tak długo, aż w końcu bym się załamała, wybuchła, rozpłakała się, zaczęła walić pięściami i wyć. Wówczas mogliby powiedzieć, biedne dziecko, nie najlepiej sobie z tym wszystkim radzi. A figa!

Nie dam im tej szansy. Uśmiechnęłam się.

– A co takiego mówi?

– To jakby forma żałoby.

– Może mi to pani wyjaśnić?

Oczywiście, że mogła, uszczęśliwiona, iż ma okazję popisać się wiedzą. Gadała i gadała. A ja uśmiechałam się i potakiwałam, przygryzałam wargę, udawałam skupienie i śmiałam się delikatnie wraz z nią.

113

W sumie – genialne przedstawienie. Gdy skończyła, oczekiwała, że coś powiem.

— Dała mi pani sporo do myślenia – rzekłam.

– Jestem tego pewna.
– Czuję się teraz trochę przygnębiona.
– To naturalne.

Wykręciłam dłonie, po czym przycisnęłam je mocno do siebie. Zauważyła to i pochyliła się nade mną z wyczekiwaniem. Boże, jak ona by chciała, żebym się rozplakała!

– Czy myśli pani... – Zaczęłam łamiącym się głosem i wzięłam głęboki wdech. – Czy myśli pani, że mogłabym teraz pójść do domu? To znaczy... Czuję się... – Urwałam i spuściłam głowę.

Ledwo mogła wytrzymać, żeby nie rzucić się na mnie i mnie nie przytulić.

– Ależ oczywiście. Zaraz porozmawiam z panią Rutledge.

– Dziękuję.

Podniosłam torbę i posłałam jej wążutki uśmiech na pożegnanie. Wychodząc zwiesiłam ramiona.

Jak już mówiłam – genialne przedstawienie.

10

Na początek poszłam na lunch do Leny – cola i burrito* z niezłą dozą pieprzu.

Potem wsiadłam do samochodu i ruszyłam za miasto.

Scott mógł wziąć samochód z parkingu Lorenza, ale nie byłby chyba taki głupi. Musiał zdobyć wóz gdzieś indziej. Najbardziej prawdopodobne wydało mi się, że wypożyczył auto, by się stąd oddalić, a potem porzucił je gdzieś przy drodze. Najbliższe wypożyczalnie znajdowały się w Du-luth i w Superior. Twin Ports leżało prawie o godzinę drogi stąd, ale niebo było błękitne, na drogach pusto, a ja wcześniej urwałam się ze szkoły.

Jeśli Jace miał rację, że Scott się ogolił, to musiał to zrobić dopiero po upozorowaniu wypadku i oddaleniu się od miasta. To by mogło oznaczać, że wypożyczył samochód wciąż jeszcze mając brodę. Może więc moje ulotki jednak na coś się przydadzą.

* ? u r r i t o (hiszp.) – rodzaj kanapki z cienkiego placka kukurydzianego z mięsem lub fasolą i serem; potrawa meksykańska.

114

Największe wypożyczalnie samochodów miały swoje stoiska na lotnisku w Duluth. Tam udałam się najpierw i już po paru minutach zdałam sobie sprawę, że to jednak stary trop.

– Nie pamięta pan, czy około miesiąca temu wynajmował pan samochód temu mężczyźnie? – pytałam agentów.

Miesiąc temu! – odpowiadali. Żartujesz? Potem kręcili głowami i mówili: nie pamiętam, co dziś jadłem na śniadanie ani jakiego koloru skarpetki założyłem; nie pamiętam daty urodzin swojej żony.

Jeden facet to już naprawdę zrobił z siebie durnia.

– No nie – rzekł z chytrym uśmiechem. – Ja nie pamiętam nawet, z kim wczoraj poszedłem do łóżka.

Ha, ha, ha.

Większość pozostałych wypożyczalni funkcjonowała przy salonach samochodowych. Tymi nie zwracałam sobie głowy. Scott znał mnóstwo mechaników i przedstawicieli handlowych w okolicy. Nie było mowy, żeby wszedł do salonu samochodowego i pozostał nie zauważony.

Jedyna agencja, jaka mi została, znajdowała się gdzieś w centrum miasta. „U-Save – wynajem samochodów” – mieściła się w starym ceglany budynku na ulicy biegnącej równoległe do jeziora Superior. Była wciśnięta między świetlicę parafialną a kamienicę, która szczyciła się tym, że czynsz można w niej opłacać dziennie, tygodniowo lub miesięcznie, jak kto woli. Na schodach kamienicy siedział staruszek i nucił coś, stukając laską w poręcz. Minęłam go szybko i otworzyłam drzwi „U-Save”.

Spodziewałam się ponurego pomieszczenia, które pasowałoby do otoczenia, ale biuro okazało się czyste i ładnie urządzone. Nie zauważyłam żadnego pracownika, więc nacisnęłam na srebrny dzwonek na ladzie. Z drugiego pokoju wytknęła głowę jakaś kobieta.

– Chwileczkę! – zawołała.

Skinęłam głową. Czekając, rozejrzałam się po wnętrzu. Stały w nim dwa krzesła, stolik, leżały jakieś czasopisma. Nie zdobiły go żadne paskudne biurowe dzieła sztuki, ściany w ogóle były puste. W lepszych czasach mogłabym im zaproponować coś na zamówienie, może wielkie lustro w brzoźowej ramie ozdobionej maleńkimi modelami samochodów.

– Chcesz wypożyczyć samochód? – spytała kobieta, podchodząc do lady. Pochyliła się i mlasnęła językiem. Przejechała dłonią po głowie. Czarne włosy miała tak krótkie i sztywne, że zdawało mi się, iż powinnam zobaczyć kapiącą z jej ręki krew.

– Nie, próbuję kogoś odnaleźć.

115

Wyciągnęłam ulotkę.

– Nie pamięta pani, czy ten człowiek nie wypożyczał samochodu mniej więcej miesiąc temu?

Długo i w skupieniu wpatrywała się w plakat. Potem wzruszyła ramionami.

– Jestem tu nowa. Poprzednia dziewczyna odeszła. Trudno jej się dziwić. To taka nudna robota.

Znów ślepy zaułek.

– To twój chłopak?

– Brat.

– Mogłabym sprawdzić w komputerze. Jak się nazywa? Przeczytała na ulotce i wpisała.

– Nie ma żadnego Munro.

– Nie sądzę, żeby podał prawdziwe nazwisko.

– Oho, robi się ciekawie. Uwielbiam zagadki; jedyne książki, jakie czytam, to te, w których jest zagadka do rozwiązania. Kiedyś czytałam westerny – możesz mi wierzyć albo nie – ale wszystkie były do siebie takie podobne, że mi się znudziły. Sama pewnie mogłabym napisać nie gorszy, niż niektóre z tych beznadziejnych, jakie przeczytałam. A może powinnam napisać western z zagadką, to byłaby książka!

Znów pogłaskała się po włosach.

– A propos, mam na imię Jill. No dobra, o jakiej dacie mówimy? Wywołam wszystkie samochody wypożyczone w tym czasie. Może któreś z nazwisk zabrmi jakoś charakterystycznie, no wiesz, zlepek nazwiska panińskiego matki z imieniem kolegi czy coś takiego.

Co mógł sobie wybrać? – zastanawiałam się, jadąc w dół listy. Co ja bym wybrała, gdybym miała nadać sobie nowe nazwisko?

Nic nie pasowało, ale poprosiłam, żeby sprawdziła dane Willa Forda i Zeke'a Dodge'a.

– To marki samochodów – wyjaśniłam. – A Scott jest mechanikiem.

– Całkiem logiczne – stwierdziła, palcami przebiegając po klawiaturze.

Pokręciła głową, gdy na monitorze ukazała się lista transakcji. – Chyba nic z tego. Obaj są naszymi klientami już od lat.

– Pewnie zapłacił gotówką. Czy to by oznaczało, że może być na innej liście? Czy w ogóle przyjmujecie gotówkę?

– Przyjmujemy wszystko to, co przyjmie od nas bank, ale musimy mieć dokument tożsamości.

– W takim razie musiałby się przedstawić jako Munro.

– Niekoniecznie. Czy miał czas na zaplanowanie tego zniknięcia?

– Jakiś miesiąc.

– Można przecież kupić dokumenty.

Zadzwoił telefon, a ona, podnosząc słuchawkę, zrobiła znudzoną minę. Gdy rozmawiała i załatwiała wypożyczenie samochodu, szybko pisząc na klawiaturze jedną ręką, drugą sięgnęła pod ladę i wyciągnęła tandetny brukowiec otwarty na artykule o paleniu zwłok. Odsunęła słuchawkę od ust.

– Nie wydaj mnie przed szefem, że czytam w pracy – wyszeptała. Następnie wróciła do skąpych odpowiedzi przez telefon, kartkując jednocześnie gazetę do ostatniej strony.

– Tu! – wyszeptała bezgłośnie, stukając palcem w papier.

Metryki urodzenia, dyplomy, zielone karty, prawa jazdy. Wyślemy katalog.

Jill odłożyła słuchawkę, kręcąc głową.

– Co za palant może potrzebować zimą kabriolet?

– Poczta zamawiane dokumenty? To musi być nielegalne. Jill oparła się o ladę.

– Jak ktoś jest zdesperowany, to co mu tam?

Rozejrzała się tak, jakby ktoś mógł niepostrzeżenie zakraść się do biura i podsłuchiwać teraz w kącie.

– Miałam kiedyś koleżankę – zaczęła zniżonym głosem – która musiała zwać od swojego byłego, rozumiesz? Rany, z tego to był numer. W każdym razie, kiedyś dzwoni pod jeden z tych numerów i dostaje katalog. „Twoje dane na prawie jazdy w

każdym stanie", pisali. „Dla kolekcjonerów". Jasne. Dla kolekcjonerów... tak kryją własne tyłki.

– Nie sądzę, żeby odważył się zamówić jakiś katalog. Przecież to ja mogłam odebrać go razem z pocztą.

Przewróciła oczami.

– Każdy dupek z kilkoma dolcami przy duszy może wynająć sobie skrytkę na poczcie. Sprawdzalaś to?

– Nie. Ale to niezły pomysł.

– Zrobimy listę. Możesz zacząć sprawdzać, jak stąd wyjdiesz. Może nie będą chcieli ci nic powiedzieć, ale musisz spróbować. Rany, ale zabawa.

To miłe, że choć ktoś się dobrze bawił. Przeglądałam brukowiec, podczas gdy Jill kartkowała książkę telefoniczną. Zaczęłam czytać ogłoszenia towarzyskie, ale jej dłoń wylądowała na kartce.

117

– Nawet nie próbuj! – ostrzegła mnie. – Większość z tych facetów to więźniowie albo s'wiry, nie wiedziałaś'? Jesteś na to stanowczo za młoda. Miałam jeszcze jedną koleżankę, o, zaraz ci opowiem...

Żałowałam, że nie mogłam zabrać Jill ze sobą. Może jej zapał jakoś by mi pomógł. W Twin Ports było całkiem sporo punktów ze skrytkami pocztowymi do wynajęcia. Zawitałam do pięciu i we wszystkich poniosłam klęskę; Jill może udałoby się oczarować kogoś na tyle, by zaczął mówić. Ja usłyszałam jedynie kilka wersji tego samego: zjeżdżaj, mała.

Po piątej porażce poddałam się. Przed ostatnim z punktów pocztowych zobaczyłam na wpół ukrytą w brudnym śniegu budkę telefoniczną. W środku wisiała na sznurku sfatygowana książka telefoniczna. Zaczęłam ją kartkować w poszukiwaniu telefonu Jace'a w Moose Lake. Jak już znalazłam się w tym stanie, to warto było skorzystać z niższych stawek za rozmowy telefoniczne.

Nuciałam niecierpliwie, słysząc ćwierkanie jego mamy nagrane na automatyczną sekretarkę, po czym zostawiłam wiadomość.

– Mówi Arden, mam inny pomysł – rzuciłam zaraz po usłyszeniu sygnału.

Miałam tylko trzy ćwierćdolarówki, więc musiałam się streszczać. Może wzięłyby tę starą ulotkę i popytał w wypożyczalniach samochodów w swojej okolicy? I może jeszcze w sklepach sportowych, które sprzedają raki? Czy w pobliżu Moose Lake są miejsca, gdzie można wynająć skrytkę pocztową? Tam też sprawdź, dobrze, Jace? Aha, jak idzie fotomontaż? Śnieg zaczyna padać, dzięki, na razie.

W Superior poszłam na kolację, ale była wstrętna. Hamburger był jak z gumy, frytki miękkie, a napój w plastikowym kubku smakował jak benzyna. Zjadłam wszystko pomimo wyglądu i smaku i już kilka minut po przełknięciu ostatniego kęsa poczułam, jak wszystko kotłuje mi się w żołądku, grożąc wybuchem. Do domu, błagam, niech mnie ktoś zabierze do domu!

Miałam wrażenie, że nigdy tam nie dojadę. Trzydzieści kilometrów od Penokee zaczął padać śnieg – nic strasznego, ale ruch w przeciwną stronę był spory, więc minęły wieki, nim zdołałam wyprzedzić dziadka w wielgachnym wozie, jadącego sześćdziesiąt na godzinę. A jak już tego dokonałam, zapomniałam zwolnić. I stąd wziął się mój pierwszy mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości.

– Mam nadzieję, że rodzice każą ci zapłacić z własnego kieszonkowego – powiedział policjant. – To ci da nauczki.

118

– Tak, proszę pana. Na pewno tak będzie – odparłam. – Rodzice są bardzo surowi. I od dawna martwi.

Komitet do spraw sierot nie byłby, rzecz jasna, uszczęśliwiony. Chociaż zawsze mogłam przytoczyć nazwiska kolegów z klasy, którzy zostali przyłapani na gorszych uczynkach – drobne kradzieże, posiadanie narkotyków, spożywanie alkoholu, prowadzenie pod wpływem środków odurzających. Jednak, jak sądzę, najbardziej zdenerwowałyby ich, że mandat ten dostałam w trakcie swej pogoni za duchami. Trzeba ją było aresztować, panie policjancie.

11

W domu Drummondów paliły się światła od parteru po sam dach. Zastanawiałam się, czy do nich nie zjechać, ale byłam w zbyt podłym nastroju. Poza tym dopiero co wrócili z wizyty u chorej babci, więc pani Drummond z pewnością nie miała jeszcze czasu, żeby przygotować coś do jedzenia.

Wiadomości na sekretarce wprawiły mnie w jeszcze podlejszy humor. Wszystkie telefony pochodziły od świrów, a w każdym razie były bezużyteczne. Dwóch pytało o nagrodę. Inny zбочeniec zaproponował, że chętnie zajmie miejsce zaginionego.

Jakiś pijak, pewnie wybrawszy pierwszy numer, jaki miał pod ręką, dzwonił z baru i domagał się odwiezienia do domu. Jakaś szurnięta baba zostawiła wiadomość, że czuje „wibracje” i z radością powie mi więcej za niewielką opłatą. Skasowałam wszystko i znów zadzwoniłam do Jace'a.

– Odebrałaś wiadomość? Poprawiłeś ulotkę? – rzuciłam, jak tylko podniósł słuchawkę.

– Ja też się cieszę, że cię słyszę – odparł. – Nie, nie poprawiłem ulotki. Zajęcia z komputerem mam dopiero w środę.

– Nie możesz załatwić tego wcześniej? Czas ucieka, Jace.

– Nie mam prywatnego dostępu do tego programu, Arden. Mogę to zrobić tylko podczas lekcji.

– Nie zapomnij w środę, dobrze? A co z wycieczką po wypożyczalniach?

– To sporo jeżdżenia. Nie wiem, czy dostanę samochód.

– Powiedz mamie, że chodzi o coś innego. Proszę cię, Jace.

119

– Spróbuję. Co u ciebie?

– Nieciekawie. Zaatakowała mnie pani psycholog, dostałam pierwszy mandat za nadmierną prędkość i brzuch mnie boli, jakbym złapała gdzieś pałeczkę E.coli. Zadzwoni, jak coś zdasz, dobra?

Obiecał, że zadzwoni, pożegnaliśmy się i dopiero wtedy przypomniałam sobie o przesłuchaniu, w jakim miał wziąć udział. Nie szkodzi, zapytam przy następnej okazji.

Szłam w podomce pod prysznic, gdy zadzwonił dzwonek.

– Ledwo człowiek wróci do domu... –jęknęłam. Dzwonek znów zabręczał, długo i przejmująco.

Czy mogłabym go zignorować? Uklękałam przy oknie i wyjrzałam ukradkiem. Żadnych samochodów. To pewnie Jean albo Kady.

Jak tylko otworzyłam drzwi, wkroczyła pani Drummond. Gdzie ja już widziałam ten wyraz twarzy? Ach, racja, u policjanta z drogówki.

– Proszę wejść. Jak się czuje pani mama?

– Nie najgorzej. Mam zostać twoją opiekunką, Arden.

– Cieszę się z powodu pani mamy. Co do drugiego – ja mam zostać usamodzielniona.

– Nie byłabym tego taka pewna. Wyjeżdżam z domu na weekend, a w godzinę po powrocie dowiaduję się, że urządziłaś tu imprezę...

Oho.

– ...a do tego marnowałaś czas i pieniądze, obwieszając miasto ulotkami z informacjami o zaginionym bracie. Dziś natomiast, jak słyszałam, zwolniłaś się z lekcji, żeby wrócić do domu, lecz zamiast tego przepadałaś na całe popołudnie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewasz. To już przekracza wszelkie granice, zwłaszcza granice mojej cierpliwości.

To było coś nowego i przez chwilę usiłowałam rozpoznać ten smak. Nigdy, odkąd sięgam pamięcią, nie otrzymałam matczynej reprimendy. O zgrozo, stwierdziłam, że to nawet przyjemne.

– Ta impreza to nie było nic wielkiego. Kilka osób wpadło bez zaproszenia i pozbyłam się ich najszybciej, jak mogłam.

Jakimś cudem udało mi się powstrzymać od spojrzenia na plamę po wymiocinach. Pani Drummond rozpięła płaszcz.

– Tak właśnie przypuszczała Kady. Dowiedziałam się o tym, kiedy w sklepie wpadłam na Paulę Rock. Mówiła, że syn doniósł jej, jakoby – cytuję – „u Arden była zarypiasta impreza”. W żadnym wypadku nie powinnam była zostawiać cię samej.

Następnym razem tego nie zrobię.

120

– Następnym razem będę mądrzejsza i nikogo nie wpuszczę. Nic takiego się nie stało, pani D.

– A gdzie byłaś dzisiaj?

– W Duluth. W Superior. Musiałam załatwić parę spraw. Wyciągnęła z kieszeni płaszcz z złożoną ulotkę.

– Związanych z tym?

Matczyna reprimenda coraz mniej mi się podobała.

– Tak.

– Kay Rutledge mówiła, że rozmawiałaś z psychologiem. Cieszę się. Myślę, że już najwyższa pora. Powinnam była nalegać na to już dawno.

– To nie był mój pomysł.

– Nawet by mi to do głowy nie przyszło. Twój pomysł to ta... – Rozprostowała w dłoniach pogniecioną kartkę. – ...ta pogoń za niczym. Mogłabym polemizować, ale dzisiejsza wycieczka właśnie tym była.

– Jeśli rzeczywiście masz zamiar się usamodzielnąć, musimy ustalić jeszcze parę zasad, Arden. W każdym razie ja muszę. To dość uczciwa propozycja. Uśmiechnęłam się na znak, że być może się zgodzę.

– Na przykład jakich?

– Chcę widzieć cię u nas przynajmniej dwa razy w tygodniu. Najlepiej w poniedziałki i czwartki.

– Mam u was nocować?

– To nie jest konieczne, choć zawsze będziesz mile widziana. Powiedzmy, że zjesz u nas kolację i odrobisz lekcje. My będziemy mieli przy tym czas, żeby cię skontrolować i spytać, co się u ciebie dzieje. O twoich poczynaniach chcę się dowiadywać od ciebie, a nie od kogoś przypadkiem spotkanego w sklepie na zakupach.

Plakat znikł z powrotem w kieszeni płaszcza. Usłyszałam, jak pani D. zgniata go w garści w kulkę.

– Wydawało mi się, że mogę się zgodzić na tę twoją próbę niezależności, ale teraz sama nie wiem. Kilka lat temu obiecałam Scottowi, że zajmę się tobą, gdyby coś się stało.

– Przecież zajmuje się pani mną. Uśmiechnęła się kwaśno, potarła oczy i ziewnęła. Też miała ciężki dzień.

– Dzwonił ktoś w odpowiedzi na to ogłoszenie?

– Było kilka telefonów, ale nic istotnego. Wolałam nie mówić o sznureczku wiadomości, jakie zastałam na automatycznej sekretarce po powrocie do domu.

121

– Skoro upierasz się przy wywieszaniu swojego numeru telefonu po całej okolicy, to ja mam zamiar się uprzeć, żebyś nabyła aparat z funkcją wyświetlania numeru osoby dzwoniącej.

– Może to i dobry pomysł. Powinna być wcześniej o tym pomyśleć. Wyraźnie się uradowała. To dla mnie chyba jakaś lekcja: dasz im palec, a wydaje im się, że dostali całą rękę.

– W takim razie wszystko uzgodniłyśmy – zakończyła. – Kupujesz nowy aparat, dwa razy w tygodniu przychodzisz do nas na kolację i zawsze informujesz mnie, gdy zamierzasz wyjechać z miasta i w jakim celu. To chyba rozsądny kompromis. Gumowy hamburger przewrócił mi się w żołądku. To był rozsądny kompromis, zwłaszcza że była w nim mowa o domowym jedzeniu.

Pani D. wróciła do domu uszczęśliwiona. Zrobiła, co do niej należało. Teraz mój prawnik mógłby zrobić to, co należy do niego.

Co mam zrobić?

W głosie Johna nie zabrzmiał brak zrozumienia, lecz irytacja. W tle słyszałam telewizor – mecz koszykówki.

– Wszystkie wyciągi z kont, anulowane czeki i rachunki za telefon.

– Za jaki okres?

– Ostatnie trzy miesiące. John, ja naprawdę potrafię się zająć własnymi rachunkami. Zbył tę uwagę prychnięciem.

– Mogę odebrać je jutro?

– Britt przygotowuje je dla ciebie. Po szkole.

Ani Scott, ani ja nie korzystaliśmy z kart zbyt często. Gotówka i czeki wystarczały. Ja miałam tylko kartę do rachunku ArdenArt, a wraz z bratem dwie – Visę i MasterCard – do rachunku bieżącego. Do tego trzy karty płatnicze stacji benzynowych, natomiast żadnej do międzystrefowych rozmów telefonicznych. Nie dzwoniliśmy dużo poza miasto. Sieroty – do kogo niby moglibyśmy telefonować? Tak więc koperta, którą wręczyła mi Britt, była cienka i lekka.

– To wszystko? – spytałam.

– Kopie ostatnich rachunków. Aha, nie musisz zwracać sobie głowy dzwonieniem do banków, żeby sprawdzić, czy ktoś korzystał ostatnio z kart kredytowych. John zrobił to dziś po południu. Nie były ruszane od tygodni.

122

A zatem John sprawdził. Może jednak powoli zmieniał zdanie, może w końcu udało mi się przekonać kogoś, że Scott żyje. Britt czytała w moich myślach.

– Pomaga ci, dzieciaku, bo, primo, najprędzej powstrzyma cię udowadniając, że

się mylisz; secundo, klient nasz pan.

Pstryknęła palcem w kopertę.

– Powodzenia, Sherlocku.

Nie potrzeba było słynnego detektywa, by stwierdzić, że nie ma nic podejrzanego w anulowanych czekach, rachunkach i wyciągach z banku. Zwykły przepływ pieniędzy wydawanych przeważnie najedzenie, comiesięczne opłaty, ubrania, części do barracudy i skutery śnieżne.

Rozłożyłam wszystkie чеки na stole. Jego wyraźne, zaokrąglone pismo na przemian z moją kanciastą bazgraniną. Jego podpis wyglądał tak znajomo; przez całe lata widywałam go na usprawiedliwieniach do szkoły i karteczkach z wiadomościami dla mnie.

Proszę o usprawiedliwienie nieobecności Arden...

Zezwalam Arden na uczestnictwo...

Prosiłem Cię chyba, żebyś poskładała ręczniki. WEŹ SIĘ ZA TO, zanim wrócę do domu.

Rozszyfrowanie rachunków za telefon stanowiło nieco trudniejsze zadanie, bo znajdowały się na nich tylko numery telefonów i nazwy miast. Britt przygotowała rachunki od września. I to właśnie wrzesień był na wierzchu; przejrzałam spis, choć wiedziałam, że nie znajdę tam nic, co by mi się przydało. Byłam pewna, że zaczął planować ucieczkę w noc po pierwszym wypadku, po tym, jak dowiedział się, że będzie ojcem. Kiedy rozłożyłam rachunki ze stycznia i lutego, numery prawie zawirowały mi przed oczyma. Co najmniej dwadzieścia rozmów, podczas gdy zazwyczaj były nie więcej niż trzy.

– Mam cię, łajdaku – wyszeptalam.

Zaraz po pierwszym wypadku było mnóstwo telefonów. Do Minnea-polis, Spooner, Duluth, Ashland. Dosłownie wszędzie. Cała trasa ucieczki. Głupek – załatwiał wszystko przez telefon.

Zaczęłam sprawdzać numery i przy trzeciej rozmowie wróciłam na ziemię. Był głupkiem, to prawda, ale z innego powodu.

Wszystkie numery należały do sprzedawców skuterów. Wydał sześćdziesiąt siedem dolarów na rozmowy międzystrefowe, żeby wypytać o ceny skuterów.

123

Zdażyłam już zadzwonić w jedenaście miejsc, wyeliminować powtarzające się numery i pozostał mi jeden: trzyminutowa rozmowa z Winoną w Minnesocie. Byłam pewna, że to znowu jakiś sklep z tymi piekielnymi maszynami. Wybrałam numer.

– Auto-części „U Barta”. Bart przy telefonie.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale chciałam sprawdzić kilka numerów z mojego rachunku za telefon. Mój brat musiał do pana dzwonić.

Bart uznał to za zabawne i zachichotał.

– Brat? Pewnie sprawdzasz swojego chłopaka, co?

– Brata.

– Cóż, pewnie ucieszysz się, że to skup samochodów powypadkowych, nie żaden motel ani agencja towarzyska.

Złomowisko. Ten jego przeklęty samochód.

– Brat ma barracudę rocznik 70. Pewnie dzwonił w tej sprawie.

– Na pewno. Dużo ludzi do mnie wtedy dzwoniło. Dałem ogłoszenie w gazecie, że mam na sprzedaż progi od barracudy.

– To pewnie to. Przepraszam za kłopot.

– Może powiesz bratu, że za jakiś tydzień będę miał maskę.

– Przekażę.

Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do rachunku, sprawdzając numer i datę chyba ze dwadzieścia razy. Zadzwonił do Barta w Winonie w sobotę przed zniknięciem.

W przeddzień.

Pierwszy raz od chwili, gdy zaczęłam skakać po lodzie, do mojej teorii zakradło się zwątpienie. Zaledwie ziarenko, pyłek, jedno pytanie. Skoro miał zamiar zwać,

to po co szukał części do barracudy?

Pierwszy raz od dłuższego czasu mój nocny spoczynek zakłóciły złe sny. Tak jakby to ziarno wątpliwości obudziło uśpione koszmary.

Znowu ryby. Rybie oczy, rozdziawiające się pyski, falujące skrzela. Tym razem to ja obracałam się w niespokojnej wodzie. Pokryte łuskami, obślizgłe cielska ocierały się o mnie, przewracały mnie. Pojawił się olbrzymi szczupak z otwartym spiczastym pyskiem. Uniosłam ramię, żeby się od niego opędzić, lecz prąd rzeki rzucił mną do tyłu i zaczęłam koziołkować w przerażeniu: moja ręka była

obgryziona i oskubana do gołej kości.

124

12

Poproszę ziemniaki.

Moja druga dokładka, ale przecież to mój pierwszy porządny posiłek od wieków.

Pani Drummond promieniała, podając mi miskę z puree.

– Nie zapomnij wziąć kawałka pieczeni ze sobą do domu – powiedziała. – Zrobiłam jej więcej.

Sięgnęłam po półmisek z mięsem i dostrzegłam zmarszczone brwi Ka-dy. Ona i Jean od lat były wegetariankami, ale już dawno doszły do porozumienia z rodzicami co do wspólnych posiłków. Widok delikatnej, doskonale doprawionej polędwicy wieprzowej z pewnością nie mógł wywołać jej złego humoru.

– Co się stało? – spytałam.

Jean wzięła z miski jabłka i zaczęła je podrzucać.

– Przechodzi menopauzę.

Ojciec wstał z krzesła z pustym dzbankiem po wodzie i zręcznie wyrwał z powietrznego łuku jeden owoc.

– Nie żongluj jedzeniem.

Kady złożyła serwetkę w idealny kwadrat.

– Pamiętasz o naszych planach na lato?

– Pamiętam, ale nie poświęciłam im ostatnio wiele uwagi. Chyba nie możecie mnie za to winić.

– Cyghaanie – rzuciła Jean, zaczynając żonglować kólkami od serwetek.

– W tym tygodniu pocztą otrzymałam cztery zaproszenia i pozwolenia na udział w festiwalach. Dwa w Minnesocie, jeden w Madison i jeden w Spooner. Interesuje cię to jeszcze?

– Może by mnie interesowało, gdybym miała coś na sprzedaż, ale Kady, ja od wieków w ogóle nie zbliżyłam się do warsztatu. Nie dokończyłam nawet swoich starych zamówień. Nie wiem, skąd miałabym wziąć dostateczną ilość towaru.

– Wszystko dałoby się załatwić, gdybyś się zabrała do roboty. Miałabyś mnóstwo ramek, gdybyś skupiła się na nich zamiast na... innych rzeczach.

Pani Drummond zaczęła sprzątać ze stołu. Jean wstała i wzięła od niej naczynia.

– Z tego może wyniknąć coś paskudnego. Idź sprawdzać klasówki, mamó.

125

– Możecie to zrobić beze mnie – rzekłam.

Nieprawda; wiedziałam, że potrzebowały mojego samochodu.

– Ale nie chcemy – odparła Jean.

– Przepraszam, że schrzaniłam wam lato. Nie... Przepraszam, że mój brat schrzanił wam lato.

Kady dziobała widelcem fasolowy klopsik na swoim talerzu.

– Wskórałaś coś ulotkami?

– Nie.

– I co dalej?

– Nie wiem. Utknęłam jakby w martwym punkcie.

– Kiepski żart – stwierdziła Jean, wychodząc z kolejnym ładunkiem brudnych naczyń.

– Nie myślałaś o wynajęciu detektywa?

– Zdawało mi się, że uważasz to za żaloszny wytwór mojej wyobraźni.

– Bo tak uważam. Myślę, że twój brat nie żyje, ale skoro masz zamiar obstawać przy swoim, to rób to przynajmniej z głową.

– Niepotrzebny mi detektyw, choć jest coś, co nie daje mi spokoju. Coś, co nie pasuje do mojej teorii.

– Więc się poddałaś? – Wyglądała na zadowoloną.

– Nie, ale powiedzmy, że zrobiłam sobie przerwę.

Gdy wróciłam do domu, mrugało światelko na sekretarce. Sprawdziłam numer dzwoniącego na wyświetlaczu. Kierunkowy 612 – strefa Twin Ci-ties. Większość telefonów od świrów to były rozmowy miejscowe, które ustały, jak tylko nagrałam powitanie z ostrzeżeniem, że nazwisko i numer telefonu osoby dzwoniącej zostaną zapisane w pamięci telefonu. Tej osoby to nie zraziło.

Cześć. Dzwonie w sprawie plakatu. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale widziałem coś, co może pomóc. A może i nie. Moja żona uważa, że zwariowałam i że nie powinienem dawać ci bezsensownej nadziei, ale kiedyś zaginął mój dziadek, po prostu odszedł z domu, i wiem, co to znaczy się martwić. W każdym razie nie mogę powiedzieć, że na pewno widziałem tego faceta z plakatu. Ale tamtego dnia w

lutym razem z żoną byliśmy w domku jej szefa niedaleko Penokee, a ona chciała zostawić w lodówce jakieś ciasto – taka fonna podziękowania. Tylko że nie mieliśmy wszystkich potrzebnych produktów i musieliśmy pojechać do miasta. Właściwie to byłem wtedy w mieście trzy razy Pierwszy raz – bardzo wcześnie, po kawę i gazetę. I widziałem ten samochód zaparkowany na poboczu Coun-

126

0' Road JG. Stał tam przez cały dzień. Przejeżdżałem obok niego dwa razy. Potem, jak już wracaliśmy do Twin Cities, zobaczyłem, jak wsiada do niego jakiś facet w czerwonej kurtce albo swetrze. Widziałem go od tyłu, no wiesz, jak otwierał drzwi i się schylał. Było około wpół do piątej. Porządnie już wtedy sypało, więc mu się nie przyjrzałem, ale wzrost by chyba pasował. Ciemne włosy jak na zdjęciu.

Przykro mi, że nie potrafię podać numeru rejestracyjnego ani marki samochodu. Był duży... mówiłem to już? Ciemny, może granatowy. Amerykański. Jakiś stary grat. W każdym razie ???? słałem, że zadzwonię. To pewnie nic takiego, ale... To „nic takiego” mogło zmienić wszystko.

Dzięki, że przyjechałeś, John.

Nie wyglądał bynajmniej na uszczęśliwionego; pewnie przeszkodziłam mu w oglądaniu kolejnego meczu koszykówki. Ale w końcu facet był moim prawnikiem, płatną pomocą, która dostawała pieniądze za to, żeby być na zawołanie klienta. – Wrzuć tylko płaszcz do szafy i siadaj. Mam kakao. Chcesz? Potaknął z ponurą miną, nachylając się, by zdjąć buty.

– Co to za wiadomość, którą mam przesłuchać?

– Na sekretarce. Odtwórz sobie, jak będę w kuchni.

Słyszałam, jak dwa razy przesłuchuje nagranie, podczas gdy ja napełniałam kubki. Sporo porozlewałam w pośpiechu, by wrócić do pokoju i zobaczyć jego reakcję.

Podaliśmy mu kakao.

– Przyznasz już, że miałam rację? Nie sądzisz, że teraz mogłabym otrzymać jakąś pomoc?

Nie wyglądał na podnieconego. Nie wyglądał nawet na zaskoczonego. Przygryzał dolną wargę, a ja wpatrywałam się w automat. Wziął łyk kakao i odstawił kubek.

– Słyszałeś? Widzieli faceta. Widzieli Scotta.

– Widzieli kogoś.

– Nie bądź takim zakutym łbem, John. Zgadza się dzień, miejsce, uważają, że wygląd pasuje do opisu, facet był w czerwonej kurtce.

John wstał i przeszedł korytarzem do pokoju mojego brata. Po chwili usłyszałam, jak wychodzi i zamyka drzwi.

– Takiej jak ta? – rzekł.

Ulubiona kurtka Scotta wisiała na wieszaku kołyszącym się w dłoni Johna.

Czerwona i powyciągana jak nakłuty balon.

– Była w jego szafie. Pamiętam, że widziałem ją, jak szukałem jego książeczki czekowej.

127

– Nie zauważyłam jej tam – wyszeptalam.

Położył kurtkę na krześle, a wieszak wyslizgnął się i spadł na podłogę.

– Czy chcesz, żeby ktoś pomógł ci pozbyć się jego rzeczy, Arden? Żywy czy martwy, najwyraźniej albo ich nie chce, albo nie potrzebuje.

– To on wsiadał do tamtego samochodu. Wiem to. John jęknął i opadł na fotel.

– To jasne, że jego kurtka wciąż tu jest, bo nie ośmielił się niczego ze sobą zabrać. Zauważylibyśmy. Ale potrzebował przecież jakichś ciuchów na ucieczkę; nie mógł ruszyć w drogę w skórzanej kombinezonie do jazdy skuterem. Pewnie kupił sobie inną kurtkę i ukrył ją w samochodzie. To chyba prawdopodobne, że wybrał podobną do swojej ulubionej.

Kolejny jęk.

– Nie mógłbyś mi pomóc?

Musiało to zabrzmieć wyjątkowo żałośnie; mój prawnik wyprostował się i założył ręce na piersi.

– Pomogę ci stanąć w obliczu prawdy, Arden. Zadaaj sobie kilka pytań. Po pierwsze, skąd wziął samochód?

– Pracował w tym interesie, znał tego rodzaju miejsca; to nie powinno być dla niego trudne.

– Jak za niego zapłacił? Nie ma żadnego dowodu zakupu na wyciągach z banku, nic nie wskazuje na to, aby pobrał z któregoś z rachunków większą kwotę, nie licząc tego, co wydał na skuter. Sprawdziłem to.

– Ten człowiek mówił, że to był jakiś stary grat. Nie mógł za wiele kosztować. A może... może zwędził sobie wóz z warsztatu.

– Ukradł od Lorenza? – John złączył palce obu dłoni i zamknął oczy. – Arden – wyszeptał – tracisz kontakt z rzeczywistością.

– Wobec tego wracaj do domu. Przykro mi, że cię tu ściągnęłam.

– Zrobię coś dla ciebie. Daj mi numer telefonu faceta, który zostawił tę wiadomość, a ja zadzwonię do niego i poproszę o dokładniejsze dane. I pogadam z Alem, żeby popytał. Niech sprawdzi, czy inni ludzie z baru Winkera widzieli ten samochód. Może będą wiedzieli, do kogo należy.

– Należy do mojego brata. Nie zamierzał słuchać.

– Ty tymczasem możesz się zastanowić, w jaki sposób mój nieżyjący przyjaciel zapłacił za tę przygodę, podczas której, jak twierdzisz, dobrze się teraz bawi. Wszystko się sprowadza do pieniędzy, Arden. Jak udało mu się sfinansować tę wielką eskapadę i z czego teraz żyje?

128

13

Gdy John wyszedł, zasiadłam w ulubionym fotelu Scotta, włączyłam ulubioną muzykę Scotta i próbowałam rozumować jak Scott. Przez wiele dni po pierwszym wypadku przesiadywałam w pokoju dziennym i knułam. Zastanawiałam się, podejmowałam decyzje i zapewne rozmyślałam, jak mijało mu życie.

Jego życie. Kiedy zaczął je tak bardzo nienawidzić? Czy zaczął nienawidzić także mnie?

John miał rację co do pieniędzy. Skąd mógł je wziąć? Mój brat wpadł na to, siedząc w tym miejscu. Mnie też mogło się to udać.

Z fotela miałam widok na głośniki, odtwarzacz CD, regały z książkami, oprawiony w ramy plakat, matę japońską i ławę. Na stole piętrzył się wielotygodniowy zbiór jego czasopism i przysyłanych pocztą folderów reklamowych, które rzucałam tam co dzień. „Części Samochodowe”, „Nowoczesny Silnik”, „Nowojorczyk”, „Życie na Sportowo”. Jeden z numerów tego ostatniego zsunął się z kupki. Na okładce wielki,

pogrubiany napis głosił: ROZGRZEWKĄ PRZED WIOSNĄ. Na zdjęciu był Frank Thomas odbijający piłkę poza boisko. Hannie bardzo by się spodobało, było zupełnie jak...

Karta baseballowa.

Pług śnieżny z Duluth przejeżdżał właśnie przez parking na Superior. Prosząc w duchu, żeby w okolicy nie było policji, zawróciłam. W chwili, gdy kierowca pług podnosił akurat swą wielką łychę i ruszał dalej, wpadłam w poślizg na ubitym śniegu i wjechałam na krawężnik. Zaczęły wyć klaksony i co najmniej jeden kierowca pogroził mi palcem.

– Ale mam szczęście – stwierdziłam – niewiele brakowało.

Z zewnątrz przybytek o nazwie „Karty i komiksy u Mel” nie wyglądał na przyjazny dzieciom, a to pewnie przez brudne szyby i lokalizację tuż przy księgarni dla dorosłych. Mimo to, gdy weszłam, w środku zastałam czworo dzieci. Piątek, dziesiąta rano – czemu nie były w szkole? A skoro już o tym mowa, to dlaczego ja tam nie byłam?

Upuściłam kluczyki na szklaną ladę, a kobieta przy kasie uśmiechnęła się i podniosła rękę, by mnie uciszyć, po czym wróciła do liczenia pieniędzy. W końcu z hukiem zamknęła szufladę i uśmiechnęła się szeroko.

– Słucham?

129

Skinęłam głową i położyłam na ławie ulotkę.

– Chciałabym się dowiedzieć, czy ten człowiek był tu kiedyś, żeby sprzedać karty baseballowe, prawdopodobnie jakiś miesiąc temu.

Trzymała kartkę w obu dłoniach i podpierała się na łokciach. Kląskawa cicho językiem, studiując ją uważnie.

Nie musisz uczyć się na pamięć, pomyślałam.

– A więc? – spytałam.

– Scotty nie najlepiej wyszedł na tym zdjęciu, co? Och, strasznie mi było przykro, jak się dowiedziałam, że nie żyje.

– Zna go pani?

– Tak, znałam. Stały klient. Przychodził tu trzy, cztery razy w miesiącu po komiksy, które dla niego odkładałam. Czasem kupił albo wymienił parę kart. Zawsze zamienił parę słów. Słodki chłopak. Kiedyś naprawił mi wycieraczkę. Bawiła się bezmyślnie złotym krzyżykiem zawieszonym na łańcuszku

na szyi.

– A ty kim jesteś?

– Jego siostrą.

Szczęka jej opadła i pozostała tak, aż w kąciku ust uformowała się maleńka kropelka śliny.

– Nie miałam pojęcia, że miał rodzeństwo.

– Kiedy ostatnio sprzedał pani jakieś karty?

– Chyba pod koniec grudnia. Przyszedł tu wtedy i poprosił, żebym przejrzała całą jego kolekcję. Mówił, że zastanawia się, czy nie podarować jej jakiejś małej dziewczynce.

Hannie.

– Na pewno to był grudzień? – Przed wypadkiem.

– Aha.

– Kupiła pani coś?

– Jedną kartę. Zaproponowałam, że wezmę jeszcze kilka innych, ale nie był zainteresowany.

Jakiś mały chłopiec wcisnął się przede mną, rzucił na ladę garść drobnych i pokazał kobiecie komiks, jaki chciał kupić. Wzięła monety i wydała mu dziesięć centów reszty.

– Nie było w jego kolekcji szczególnie cennych kart – jedna czy dwie warte może siedemdziesiąt, osiemdziesiąt dolarów. Reszta to tania masówka. Nic takiego, z czym od razu można by iść na emeryturę. Powiedziałam mu, że może je dać tamtej dziewczynce.

Jeszcze raz spojrzała na ulotkę.

130

– Mówisz, że zaginął? I żyje?

– Tak, tylko zaginął.

Nie zdążyłam jeszcze dobrze zaparkować przed domem, a już zobaczyłam spieszącą do mnie przez jezdnię Kady. Wczesne popołudnie – powinna być w szkole.

Dostrzegłam jej matkę stojącą w oknie, ale z tej odległości nie widziałam wyrazu jej twarzy. Z resztą i tak z całą pewnością wolałam go nie widzieć. Bez wątpienia był to wyraz morderczego gniewu.

– Czemu nie jesteś w szkole? – spytałam. – Dlaczego twoja mama nie jest w pracy?

– A dlaczego ty nie jesteś w szkole?

– Mama kazała ci mnie poszukać?

– Arden, nie jesteś pępkiem świata. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że inni ludzie też miewają problemy?

– Rany, skądże. Byłam pewna, że czepiają się tylko mnie.

– Moja babcia zmarła dziś rano. Jej serce nie wytrzymało. Wracamy do Green Bay. Czekaliśmy tylko na ciebie. W szkole powiedzieli, że dzwoniłaś i mówiłaś, że jesteś chora. Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziewałaś.

Znajdowała się gdzieś na krawędzi wściekłości i bólu; sama nie raz już tam byłam.

Wściekłość zwyciężyła i Kady wyciągnęła rękę, i walnęła mnie w bark.

– Mam już gdzieś to, że marnujesz swoje życie. Mam gdzieś, że zavalasz szkołę, zanedbujesz swoją firmę i oddalasz się od przyjaciół, ale nie próbuj nawet zatruwać teraz życia mojej mamie.

– Przykro mi.

– Nie mów tego, jeżeli rzeczywiście tak nie myślisz.

– Naprawdę mi przykro.

– Jej to powiedz.

Pani Drummond wyglądała jak starsza wersja Kady, targana tak jak ona jednocześnie gniewem i cierpieniem.

– Przykro mi z powodu pani mamy – powiedziałam od razu. – I przepraszam, że nie poszłam dziś do szkoły. Proszę...

Dałam sobie spokój. Pani Drummond nie słuchała mnie, więc żadne wyjaśnienia nie miały sensu.

Jean z ojcem poszli zanieść torby do samochodu.

– Ile czasu zajmie ci pakowanie? – spytała pani D.

– Pakowanie?

----- 131 -----

– Jedziesz z nami. W przyszłym tygodniu zaczynają się ferie, a ja wiem, że nie powinnam zostawiać cię samej na tak długo.

– Mam mnóstwo do zrobienia. Jeśli zostanę, nadrobię zaległości w szkole i może

nawet wezmę się do pracy w moim warsztacie. Mam tony zamówień na ramy. Och, pani Drummond, tak mi strasznie przykro z powodu pani mamy i tak mi przykro, że musi się pani jeszcze martwić o mnie, ale nie chcę jechać.

Kady zostawiła nas same, wychodząc z pokoju szybkim, pełnym złości krokiem.

– Proszę – dodałam.

Pani D. patrzyła przez okno na mój dom. – Moja mama miała osiemdziesiąt dwa lata.

Ile lat miała twoja, gdy zginęła?

– Czterdzieści trzy.

– Taka młoda kobieta. Nie mieszkaliście tu wtedy zbyt długo i ledwie ich znałam. Pamiętam, jak Elizabeth sadziła tulipany przy latarce nocą przed tym ostatnim wyjazdem. To był chyba październik, nieprawdaż? Pewnie bała się, że po powrocie z Hondurasu może być za późno.

I oczywiście w ogóle stamtąd nie wróciła.

– Ciekawe wspomnienie – odezwałam się cicho. – Cieszę się, że mi pani powiedziała. Nie pamiętam za wiele.

– Taka młoda kobieta – powtórzyła. Obróciła się i przytuliła mnie. – Żadnych chłopców w domu. Żadnych imprez. Rób to, co do ciebie należy. Chcę, żebyś dzwoniła do mnie co wieczór bez wyjątku. A w razie gdyby u twoich drzwi pojawił się Cody Rock albo ktoś inny, natychmiast dzwoń po Ala. Ludzie chcą ci pomóc; pozwól im na to. To ich upewni, że podjęli słuszną decyzję.

– Na pewno. Obiecuję, że wszystko będzie jak należy.

– Jedno potknięcie, i koniec, wprowadzasz się do nas.

– Wszystko będzie dobrze. Będę posłuszna, naprawdę superposłuszna. Dziękuję. Nie mówiłam tego wcześniej, ale dziękuję za wszystko, pani Drummond.

Trochę się wtedy rozkleiła, a z jej oczu wymknęło się kilka łez. Ni stąd, ni zowąd zjawiała się Kady i objęła matkę.

Odwrociłam się twarzą do okna z widokiem na mój dom. Wpadła mi do głowy okrutna myśl: czy Scottowi tak łatwo byłoby odejść, gdybym mu to kiedyś powiedziała?

Choćby raz; czy nie mogłam tego zrobić nawet jeden jedyny raz? Spojrzeć mu prosto w oczy i powiedzieć: dziękuję.

132 -----

14

To dla mnie?

Bez wątpienia Hanna była boskim dzieckiem, ale szczególnie chwytaly za serce jej oczy. Były wielkie i błyszczaly, gdy przegladywała album z kartami.

– Dla ciebie i dla maleństwa.

Ups, a co, jeśli nie wiedziała? Zerknęłam na Claire, która jednak nie wygladywała na poruszoną.

Hanna ostrożnie zamknęła album.

– A jeśli dzidzia nie będzie lubiła kart ze sportowcami? Mogę wziąć je wszystkie?

– Jasne.

– Ale wtedy będziesz musiała dać jej coś innego, żeby było sprawiedliwie. Coś, co należało do Scotta, tak jak karty.

– Masz rację.

– Coś, co było dla niego ważne, tak jak one – mówiła stanowczo Hanna. – Scott jest tatą dzidzi, wiesz?

Tym razem zauważyłam, że Claire się zdenerwowała, wiercąc się z zażenowaniem, podczas gdy krew z jej krwi negocjowała na rzecz nie narodzonego rodzeństwa.

– Jak skończy szesnaście lat, dostanie jego samochód – powiedziałam.

Hanna rozdziawiła buzię.

– To plymouth barracuda, trochę stary, ale w doskonałym stanie. A co najważniejsze, ma składany dach. Ale ty i ja będziemy musiały o niego dbać, żeby wciąż był na chodzie, gdy twoja siostra już będzie mogła prowadzić.

– Oczywiście – rzekła uroczyście.

Bąknęła coś o wcześniejszym pójściu do łóżka, po czym wzięła album i odmaszerowała do swojego pokoju.

– Całą noc będzie siedzieć i zapamiętywać wszystkie karty, sprawdzać ich wartość w jednym z czasopism dla kolekcjonerów – odezwała się Claire.

– Nie są warte tyle, ile by się chciało – powiedziałam, wspominając wyprawę do sklepu Mel.

– Mimo wszystko to uroczy podarunek. Ale nie ma mowy, żebyś obarczała moje dzieci tym koszmarnym samochodem. Za ten dar na pew-

no ci nie podziękuję, za to podziękuję ci za pizzę i sałatkę, i za piękną ramkę.

– A ja dziękuję, że pozwoliłaś mi się wprosić.

– Jesteśmy dziś dla siebie bardzo uprzejme, nieprawdaż?

– Niesłychanie kulturalne. Przyszło mi do głowy, że jestem ci winna ogromne przeprosiny, no i stwierdziłam, że chciałabym poznać to dziecko, które masz urodzić. Moją bratanicę albo bratanka. Hanna jest najwyraźniej pewna, że to będzie dziewczynka. Wiesz coś na ten temat?

Claire pokręciła głową i odwróciła się do zlewu, żeby wyjąć ścierkę. Ścierała blaty kuchenne długimi, szerokimi pociągnięciami po zużyтым laminacie.

To była mała kuchenka, jasna i ciepła, ale zagracona urządzeniami, krzesłami i stołem. Mieszkanka pracowników parku nie były przestronne ani luksusowe; zaledwie cztery wyposażone pomieszczenia na pierwszym piętrze dwurodzinnego domu,

rzut beretem od wejścia na teren parku.

– Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle. Zmęczenie już mi nie dokucza, specjalnych mdłości nigdy nie miałam.

Puściła wodę i splukała ścierkę.

– Napijesz się herbaty?

– Tak, poproszę.

– Nieciekawie spędzasz tę sobotę, ale ostatecznie chyba nie da rady urządzić imprezy co tydzień.

– Co właściwie słyszałaś? Uśmiechnęła się.

– W tym mieście funkcjonuje całkiem nieźła poczta pantoflowa.

– Która sięga aż do parku?

– Al o wszystkim mi donosi.

– Jasne. Nieczęsto go ostatnio widuję. Wciąż przychodzi szukać nad rzekę?

– Nie tak często. Raz w tygodniu. Był tu wczoraj ze swoją nową dziewczyną.

– Zostawił tę kasjerkę z banku w Ashland? Scott by się ucieszył. Wiem, że nigdy jej nie lubił i próbował zeswatać Ala z kimś innym.

Claire postawiła kubki i torebki ekspresowej herbaty na blacie.

– W pewnym sensie właśnie to zrobił. To ta kobieta od psa tropiącego. – Zdjęła z kuchenki gwizdzący czajnik. – Może ona i Al będą teraz żyli długo i szczęśliwie. Choć tyle dobrego wyniknęłoby ze śmierci Scotta...

– Ze zniknięcia, Claire. Nie ze śmierci. Z hukiem odstawiła czajnik na rozgrzany do czerwoności elektryczny palnik. Wrzątek wyleciał dzióbkiem i chlapnął jej na rękę. Zatrzępała sparzoną dłonią w powietrzu i odkręciła zimną wodę.

– Arden – odezwała się, stojąc do mnie plecami i polewając sparzone miejsce. – Jak ja się twoim zdaniem czuję, gdy to mówisz? Jak twoim zdaniem będę czuła się pewnego dnia, mówiąc mojemu dziecku, że jego ojciec tak bardzo przejął się faktem jego istnienia, że postanowił udawać, że się zabił?

Podniosłam się i wzięłam za robienie herbaty. Claire przygotowała miętową. Powąchałam torebki, wciągając w nozdrza słodką woń. Nalałam wodę do kubków.

– Czy John rozmawiał z tobą na temat podziału majątku, o tym, ile dostałoby dziecko, gdyby Scott nie żył?

Poruszyła lekko głową.

– Uznam to za odpowiedź twierdzącą. Claire, nie robię tego wszystkiego, żeby pozbawić dziecko należnej mu części. Gdyby Scott nie żył, sama oddałabym mu wszystko, co by odziedziczyło.

– Nie oczekuję pieniędzy – odparła krótko. – Nie obchodzą mnie jego pieniądze. Nie rozmawiajmy o nich.

Odstawiłam czajnik z powrotem na kuchenkę.

– Opowiedz mi o waszych ostatnich spotkaniach.

– Dlatego, że to dla ciebie ważne, czy dlatego, że chcesz złożyć w całość elementy jakiejś układanki?

– Chciałabym dowiedzieć się czegoś o bracie.

Przechyliła lekko głowę, jakby chciała pokazać, że takie uzasadnienie trafia jej do przekonania.

– Większość czasu spędzaliśmy na rozmowach.

Jasne. Powstrzymałam się od uśmiechu i zapatrzyłam w naciągającą herbatę. Pewnie od tego zaszłaś w ciążę, pani przyrodniczko.

- Dużo mówił o tobie - ciągnęła. - O twojej firmie, ocenach...
- Aha.
- Uważał, że Hanna jest do ciebie bardzo podobna. To jest do ciebie, jak miałaś tyle lat co ona. Był pewny, że się polubicie. Rzecz jasna, nie spieszył się z przedstawieniem nas sobie, prawda?
Dotknęła palcem mosiężnego guzika na swetrze, po czym złożyła ręce na brzuchu.
- Zdarzało się, że był w dołku. Kiedyś powiedział, że dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś miała starszą siostrę zamiast niego.

135

- Bzdura. A skoro już tak się tym martwił, to czemu nigdy żadnej nie przyprowadził? Ani razu nie przedstawił mi swojej dziewczyny.
Wzięła łyk herbaty i wierzchem dłoni otarła usta.
- Mówił o tym zaledwie kilka dni przed s'miercią. Poruszyłam się i uniosłam brew. Claire wzruszyła ramionami.
- No dobrze, przed tym, jak odszedł w nieznaną.
- Tak już lepiej.
- Jak twierdził, zawsze się bał, że cię rozczaruje. Że gdybyś się do niej przywiązała, a potem oni by ze sobą zerwali, to byłoby ci ciężko. Prawdę mówiąc, dosłownie to powiedział...
Uśmiechnęła się i pokręciła głową.
- Co dosłownie powiedział?
- Powiedział: „Jak tylko Arden zwięszy rodzinę, rzuci się na nią jak wygłodniały pies na kości”.
- Kretyn. Zdawało mu się, że mnie zna.
- Nie wyglądał na zmartwionego, że Hanna może się do niego przywiązać, a potem przeżyć rozczarowanie. Lubiła go. Zawsze ciągnęła go do parkowego muzeum, żeby móc się pochwalić tym, co wiedziała na temat eksponatów.
Biedny Scott. Parkowe muzeum stanowiło obowiązkowy punkt programu wszystkich szkolnych wycieczek z Penokee. Trudno sobie wyobrazić, żeby wypchane ptaki i zwierzęta, kości, których można dotknąć, futra, pióra i skóry węży stanowiły romantyczne tło spotkań dla zakochanych.
- Któregoś dnia, jakiś tydzień po pierwszym wypadku, próbowałam nauczyć go poruszać się w rakach.
Odwrociłam się od blatu z kubkiem w dłoni, a gorąca herbata chlapnęła mi na nadgarstek.
- Naprawdę? Poruszać się w rakach? Nie miałam pojęcia. Claire, to... to cudownie, to takie istotne. Skoro prosił cię, żebyś go tego nauczyła, czy nie rozumiesz, że planował już, jak przedostać się znad rzeki do drogi?
- Czekaj, Arden, o co chodzi?
- Musiał poprosić cię, żebyś nauczyła go chodzić w rakach, bo zamierzał wykorzystać je tamtego dnia, żeby wydostać się znad rzeki.
Wzięła ode mnie kubek. - To dla mnie? Potaknęłam.
- Nieźle to sobie wykombinowałaś, Arden. - Wzięła łyk herbaty i pokręciła głową, gdy gorący płyn dotarł do języka. - Ale to ja zmusi-

136

łam go do tej nauki. I wcale mu to nie szło. Po dziesięciu minutach był czerwony i zziębnięty. Hanna nie miała dla niego litości - ona biega w rakach jak mały zając. - Claire otuliła dłońmi kubek i uśmiechnęła się. - Kochałam go z wielu powodów, ale na pewno nie dla kondycji fizycznej. Jeśli Scott rzeczywiście dojrzał w rakach znad rzeki do drogi, to musiało mu cholernie zależeć, żeby stąd prysnąć. - Uniosła kubek. - Twoje zdrowie, Scotty... ty łajdaku.
Usiadłam ze swoją herbatą przy stole.
- Wiesz co, jak go znajdę, to chyba go zabiję.
Zachichotała gardłowo.
- Nie. Nie rób tego.
- Fakt, że za nim tęsknię, ale wkurzył mnie jak nikt.
- Chodziło mi o to, że gdyby jakimś cudem ta twoja wywołana żalem fantazja okazała się prawdą, to proszę, zatrzymaj go i poczekaj, aż do ciebie dojadę. Zabijemy go razem.

15

Po powrocie do domu wykonałam obowiązkowy telefon do Drummondów w Green Bay. Jean opowiedziała mi o ich męczącym dniu, a ja jej o kolacji z Claire.
- Pogadamy jutro - zakończyłam. - Ucałuj ode mnie swoją mamę.
Minione popołudnie spędziłam na porządkowaniu kuchni, robieniu zakupów i innych

obowiązkach; potem pojechałam do Claire i Hanny. Nie sprawdziłam poczty, co zazwyczaj robiłam dość skrupulatnie, podświadomie spodziewając się kartki od brata. Byłam pewna, że któregoś dnia, o ile wcześniej go nie znajdę, zajrzę do skrzynki, a pośród prenumerowanych czasopism znajdzie się niewielki prostokąt z tandetnym widoczkim z jakiegoś tropikalnego kurortu. „Żyję, mam się dobrze, to był tylko żart, wkrótce wracam, mam mnóstwo do opowiedzenia, całuję, Scott”. Tym razem nie znalazłam żadnej pocztówki, za to odkryłam coś równie miłego: Jace przysłał mi w końcu zmontowaną fotografię Scotta.

To takie obrzydliwe wrażenie – twarz, która niby do niego nie należała, a jednak była jego. Gładko ogolona fizjonomia, jakiej od lat nie widziałam. I może nigdy nie zobaczę.

137

Jace dołączył krótką notkę. Dwa zdania – cóż za elokwentny samiec.

Zdjęcie wyszło chyba całkiem nieźle. Czy komputery nie są wspaniałe ?

Czy komputery nie są wspaniałe?

I znowu olśnienie.

Gdy wcisnęłam guzik uruchamiający komputer i słuchałam, jak maszyna przygotowuje się do pracy, miałam nadzieję, że nie odkryję jakiegoś wyjątkowo wstydnego sekretu. Przejrzałam już zresztą jego kieszenie i szuflady, więc cóż mogło znaczyć wkroczenie w jeszcze jeden obszar prywatnego życia?

Najpierw przejrzałam uporządkowane i podpisane foldery. PROJEKTY – tu znajdowały się rozbudowane samochody przyszłości, jakie tworzył. RYSUNKI – tylko one i nic więcej. Choć nie znalazłam wśród nich żadnych sielankowych pejzaży; mój brat zajmował się tworzeniem postaci rodem z literatury fantastycznej. KSIAŻKI I FILMY – długa lista tytułów. Udało mu się obejrzyć i przeczytać kilka z nich, przy których umieścił daty i krótkie notatki.

W jego poczcie elektronicznej panował jeszcze większy porządek. Wpisał się na dwie listy dyskusyjne i co tydzień tworzył nowy folder, gdzie zachowywał ważniejsze wiadomości. Co tydzień! To jakaś obsesja czy co? Większość e-maili zawierała samochodowe bzdury. Wynikło z tego chociaż coś pożytecznego: przypomniałam sobie, że muszę wymienić olej w mojej hondzie.

Przyszło mi do głowy, że pewnie dostał sporo nowej korespondencji, i postanowiłam ją ściągnąć. Hasło? Ach, racja. Wielki Wkręt. Też mi ma-cho.

Nowe e-maile, których w ogóle nie widział, były równie nudne jak te, które upchnął w folderach, i przypomniały mi, dlaczego sama zaniechałam korespondencji z ludźmi z listy rękodzielników: zbyt wiele denerwujących dygresji i dziwactwa. Szybko zdałam sobie sprawę z tego, że mogę mniej uważnie przelecieć e-maile z mech-listy, bo z pewnością nie ogłosił całemu światu swego zamiaru ucieczki. Znalazłam jednak także parę wiadomości spoza listy. Najwyraźniej braciszek zawarł kilka bliskich przyjaźni z innymi mechanikami i fanami barracudy na całym świecie.

Ebody@chip.link.com: Scott, przyjeżdżam na giełdę do St. Paul. Są tam jakieś dobre hotele?

Hemiwhore@nevada.tech.edu: Zdobyłem filtr powietrza! Dzięki za podpowiedź-

Oilchange@liverpool.com: No! Ja widzę Dickensa za kółkiem któregoś z tych waszych wielkich amerykańskich wozów. Może oldsmobila 88?

138

Doc460@whip.tech.edu: Trzy słowa: Walt Whitman, mazda miata. Cholera, to cztery słowa.

Samochody dla nieżyjących pisarzy. Rany, ci to się zabawiali.

Lektura przywiodła mnie do Nowego Roku. Przetarłam oczy, rozmasowałam rękę, którą prowadziłam myszkę, zrobiłam sobie kakao i wróciłam do pracy.

Pod koniec stycznia listy stały się poważne i przez trzy dni dotyczyły w zasadzie jednego: ciąży Claire. Kondolencje, gratulacje, rady, wymówki, nawet niewybredne żarty – każdy, kogo poznał przez internet, miał coś do powiedzenia. Opuściłam oparcie obrotowego krzesła i odchyliłam się do tyłu. A więc Scott wylał swoje żale przed grupą obcych ludzi bez twarzy. Nie przede mną, Alem czy Johnem. Po dwunastu latach budowania życia w Penokee mój brat odwrócił się od ludzi, których znał, i stwierdził, że najlepszymi jego przyjaciółmi są ci cyberkolesie.

Nic dziwnego, że tak łatwo było mu odejść: życie tutaj ani tutejsi ludzie nic dla niego nie znaczyli. Czemu wcześniej tego nie zauważyłam? Czemu byłam tak pochłonięta własnym wspaniałym życiem, że nie dostrzegłam, iż on swojego nienawidzi?

Jak się masz, Scott? O czym myślisz, braciszku? Powiedz, czego ci trzeba? Pstryknęłam mysz, a ona poleciała przez biurko, uderzyła w klawiaturę, podskoczyła i spadła na klawisz. Na monitorze pojawiła się nowa wiadomość. Pochodziła od gadatliwego faceta, który, jak zdażyłam się zorientować, był oddanym sprawie rasistą nienawidzącym kobiet i z pewnością nie należał do grona mechaników łączących literaturę z naprawą samochodów. Nienawidziłam jego e-maili,

a po tym, jak zaczął wyzywać się na Claire za „wrobienie” Scotta, w ogóle przestałam je czytać. Rzuciłam okiem na tę wiadomość i niewiele brakowało, bym ją skasowała.

Wiem, co czujesz, Scott. Jak w klatce, co? Pisałeś, że myślisz o skoku – tylko daj mi znać, jak będziesz gotowy. Będę czekał.

Bingo. Strzał w dziesiątkę. Gol.

Wiadomość nosiła datę dwa dni po zniknięciu mojego brata. To by oznaczało, że ten facet, Overdrive@thunderlink.com, nie pomógł w zaplanowaniu ucieczki, ale na pewno wiedział, co Scottowi chodziło po głowie i duszy.

W klatce. Co właściwie powiedział temu człowiekowi zamiast mnie?

Będę czekał. No dobrze, ale gdzie?

139

Szybko sprawdziłam pozostałą pocztę, lecz nie znalazłam niczego szczególnego, chyba że jakieś znaczenie mogło mieć milczenie Overdrive'a. Nie odezwał się już więcej do Scotta. Czy dlatego, że mój uwięziony w klatce brat zapukał do jego drzwi z błaganem o pomoc? Spędziłam kolejną godzinę, jeszcze raz przeglądając e-maile Overdrive'a przychodzące na adres mech-listy, usiłując wyszperać odpowiedź, gdzie może mieszkać. Mogłam napisać do niego i zapytać wprost, ale jeśli rzeczywiście Scott się u niego ukrywał, otrzymaliby w ten sposób sygnał, że ktoś jest na tropie.

Około północy znalazłam odpowiedź zachowaną w folderze z marca zeszłego roku. Wiadomość od Overdrive'a: Mam dobre wieści! Drugi raz z rzędu mój warsztat wygrał konkurs na najlepszy plakat reklamowy zorganizowany przez Radę do spraw Reklamy Północnego Ontario. Moja cudowna maska i boskie ciało (to żart!) stały się symbolem „Auto-części u Pete'a". Nie mogę wejść do restauracji w Thunder Boy, żeby mnie ktoś nie rozpoznał. Pete Junior cholernie się wstydzi, szczególnie jak kobiety mi się przyglądają. Ale w końcu on ma dopiero szesnaście lat i w życiu by nie powiedział, że jeszcze to coś mam.

Och, kolego z Thunder Bay. Co ty takiego masz? Mojego brata?

Czy zastałam Pete'a?

Całą niedzielę przygotowywałam się do tej chwili. To było jak obsesja. Rozmawiałam z Pete'em sprzątajac kuchnię, dwa razy wpisałam „Pete" w jednym zdaniu wypracowania z angielskiego, rzuciłam „Cześć, Pete", gdy pan Drummond odebrał telefon w Green Bay. Stwierdziłam, że jeśli Pete w ogóle coś wiedział, to wyczuje to natychmiast, nawet jeśli nie będę go widzieć. Zdradzi się wahaniem w głosie, zbyt radosną paplaniną albo może wymknie mu się jedno z ulubionych słów, którymi okraszał swoją korespondencję.

Dlaczego Scott czuł się jak w klatce, Pete? Co miał zamiar w związku z tym przedsięwziąć, Pete? Gdzie może się teraz twoim zdaniem znajdować, Pete?

Dlaczego zwierzył się właśnie tobie, Pete?

– Przykro mi, Pete'a nie ma.

Ścisnęłam słuchawkę. Na to się nie przygotowałam.

– Kiedy wróci?

W tle słychać było znajome odgłosy warsztatu samochodowego.

– Dopiero w czwartek. Pojechał po sól. Potrzebował czterech dni, żeby kupić sól?

– Po sól?

140

v– Do Soo* – krzyknął mężczyzna. – Pojechał do Sault Ste. Marie, do swojego drugiego warsztatu, „Przy Porcie". Już mówiłem, wraca w czwartek.

Ale ja chcę uzyskać odpowiedź teraz, proszę pana.

– Czy zastanę go tam?

– A o co chodzi?

Myśl szybko, Arden. Szukam zaginionego brata? Lepiej nie – to uruchomiłoby alarm,

jeszcze zanim porozmawiałabym z Pete'em.

– O jego syna.

– Chyba nie wpadł znów w kłopoty?

– Jestem jego koleżanką ze szkoły. Peter mówił, że jego ojciec mógłby przejrzeć mój samochód.

– No ale w tym tygodniu jest w Sault. Zatrudnia nowego faceta.

– Co takiego? – Mój głos podniósł się o oktawę, a serce podskoczyło do gardła.

– Wprowadza w obowiązki nowego mechanika. Ma się zajmować starymi modelami. Nie mam pojęcia, po co im dwóch mechaników w miejscu, gdzie wystarczyłby jeden, ale to nie ja tu rządzę.

– Dziękuję panu. Bardzo dziękuję.

Spec od starych modeli samochodów... takich jak barracuda? Nigdy nie uwierzyłabym, że to będzie takie łatwe. Jeden telefon i znalazłam go.

Prawie go znalazłam. Nie ma mowy, żebym ostateczną pułapkę zastawiła przez telefon.

Miałam swe dalekosiężne plany: ukończenie szkoły, studia, podróże, zostanie obrzydliwie cudowną ciotunią – wszystko w swoim czasie. Jednak w tej chwili moim jedynym pragnieniem było wkroczenie do warsztatu „Przy Porcie” i zarzucenie sieci na łyse łeb mojego brata. Mam cię.

16

w ósmej klasie miałam wiedzę o społeczeństwie z praktykantką, która bardzo interesowała się geologią. Przynosiła do szkoły kamienie, a my mieliśmy się nimi zachwycać.

* Soo – region na granicy stanu Michigan i Ontario w Kanadzie z głównym miastem Sault Ste. Marie podzielonym między USA i Kanadę.

141

– Prekambryjska skała! – wykrzyknęła kiedyś, podnosząc bezkształtną bryłkę, wyglądającą jakby zabrała ją z czyjegoś podwórka. – Dokładnie stąd, z Wisconsin. Czy ktoś wie, co znaczy „prekambryjski”?

Może ktoś i wiedział, ale jej entuzjazm zdławił budzące się w nas iskierki zainteresowania. Nikt się nie odezwał.

– To znaczy bardzo, bardzo stary – mówiła cierpliwie – pochodzący z czasów, gdy pojawiły się dopiero najprostsze formy roślin i zwierząt. Ten kamień ma ponad miliard lat.

Wiem, że w klasie było przynajmniej tuzin dzieciaków, które nie wierzyły w ewolucję i gotowe były peszyć naszą praktykantkę tak długo, aż rozsypałaby się w proch jej teoria powstania życia na Ziemi. Ale podejrzewam, że wszyscy myśleli to co ja: nowa nauczycielka, nie ma co się trudzić, niedługo sama się wypali.

I się wypaliła. Pod koniec ośmiotygodniowej praktyki zaniechała pokazów i zwyczajnie zadawała fragmenty podręcznika do przeczytania i robiła testy, gdzie trzeba było wybrać poprawną odpowiedź. Jednakże musiała odcisnąć na mnie jakieś swoje piętno. Gdy jechałam przez Wisconsin, a potem przez zaśnieżone Michigan, przez góry Porcupine i przez płaskie niziny w stronę Sault, ku Kanadzie, nie mogłam powstrzymać się od myśli na temat powstawania rzeźby tego regionu – jak wypiętrzyła się wraz z zetknięciem lodowców i wulkanów. Zimno i gorąco – to, co czułam teraz do mojego brata. Mrozący krew w żyłach żal i piekielną wściekłość. Ogień i lód.

Siedem godzin po rozmowie z mężczyzną z Thunder Bay znajdowałam się na granicy, przejeżdżając z Sault Ste. Marie w Michigan do Sault Ste. Marie w Ontario. Mogli się bardziej wysilić z nazwami dla tego miasta. Byłam jedyną osobą przejeżdżającą przez most, więc pewnie z nudów pracownik służby granicznej tak długo sprawdzał moje dokumenty.

– Cel wizyty? – spytał.

– Odwiedziny u krewnych. – Trochę go okłamałam oczywiście.

– Masz ferie?

– Tak – odparłam tym razem zgodnie z prawdą.

Machnął ręką i przejechałam powoli. Nie miałam pojęcia, gdzie się udać, nie wiedziałam nawet, czy nie powinnam przejechać na lewą stronę jezdni. Zjechałam z drogi, zaparkowałam i rozejrzałam się. Moja pierwsza wizyta zagranicą, choć wiem,

że większość Amerykanów nie traktuje Kanady w ten sposób. Przypuszczam, że taki wyjazd to rodzaj „podróży dla początkujących”.

142

Wstąpiłam na stację benzynową, sprzedawca powiedział mi, jak jechać, i znalazłam warsztat, zaliczywszy jedynie dwa niewłaściwe skręty. Zakład z pewnością nie powinien nazywać się „Przy porcie”. Był to niski budynek w kolorze błota przy ruchliwej handlowej ulicy z dala od wody. Zatrzymałam samochód i obserwowałam

wejście. Szeroka brama podniosła się i wyjechał niebieski pikap. Brama zjechała na dół. Robiło się ciemno – dzień pracy dobiegał końca. Obejrzałam jeszcze trzy wyjeżdżające pojazdy. Za każdym razem, gdy brama zjeżdżała w dół, we mnie opadało serce. Nie było go tam. Wiedziałam to, patrząc na warsztat i czując drżenie powodowane przez przejeżdżające ciężarówki. Scott miałyby uciec tutaj? Miałam przed sobą jedynie zimne, wietrzne portowe miasto. Takie jak Duluth czy Superior, tyle że jeszcze mniej ciekawe.

Musiałam jednak sprawdzić. Wsiadłam z samochodu i przebiegłam przez jezdnię. Jakaś starsza pani zbliżała się do warsztatu, więc zaczekałam, aż otworzy drzwi, i weszłam za nią. Recepcjonistka uśmiechnęła się, ale tylko do tamtej kobiety. Zdaje się, iż uznała, że jesteśmy razem. Świetnie. Spojrzałam na korytarz ciągnący się za informacją i dostrzegłam drzwi, a na nich napis: WARSZTAT – NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że obie panie dyskutują nad rachunkiem. Przemknęłam korytarzem i zajrzałam przez okienko w drzwiach warsztatu, zobaczyłam, że zbliża się jakaś głowa, więc obróciłam się i nachyliłam, żeby napić się wody z kranu. Wyplułam. Była ciepła. Drzwi warsztatu otworzyły się i wyszedł niski mężczyzna o siwych włosach. Nie był w kombinezonie mechanika, lecz w sportowej tweedo-wej marynarce, koszuli i krawacie. Pete właściciel? Zaczekałam, aż oddali się o kilka kroków, a wówczas przecisnęłam się przez drzwi. Kieszeni kurtki zahaczyłam o klamkę i odwróciłam się, żeby ją odczepić.

– Zgubiłaś się, aniołku?

Podniosłam wzrok. Sześciu mechaników w granatowych kombinezonach tłoczyło się wokół człowieka w firmowym garniturze trzymającego w dłoni kartkę ze sztywną podkładką.

– Co możemy dla ciebie zrobić? – spytał.

– Nic. Sprawdzalam tylko, co z samochodem mojej mamy.

– Twoje nazwisko? O rany.

– Nieważne. Widzę, że wygląda już prawie na gotowy. Człowiek w garniturze zwrócił się do mężczyzny stojącego po jego lewej stronie.

----- 143 -----

– A w razie gdybyśmy nie dość włożyli ci do głowy w ciągu ostatnich kilku dni, Rooney, oto kolejna zasada, którą musisz zapamiętać: żadnych klientów w warsztacie. Szefa pozwano kiedyś do sądu, gdy jakiś idiota wpadł do środka, poślizgnął się na czymś i obciął sobie palec. – Żadnych osób postronnych, bez wyjątku.

Rooney, nowy pracownik, potaknął z zapalem, po czym zwrócił się do mnie, naśladowując groźne spojrzenie faceta w garniturze. Jeszcze raz zmierzyłam jego szczupłą, wysoką sylwetkę, żółte zęby, tłuste blond włosy związane w kitkę. Jechałam siedem godzin, żeby sprawdzić nowego człowieka w warsztacie „Przy porcie”, i oto stał przede mną – jakiś niedołęga-

Na korytarzu wpadł na mnie tamten siwowłosy mężczyzna, wybiegłszy akurat ze swojego biura. Oboje przeprosiliśmy, po czym on znikł w toalecie. Zajrzałam do jego pokoju.

– O kurczę – mruknęłam pod nosem.

Ściany pokryte były zdjęciami akrobatów spadochronowych. Solo, w parach, po ośmiu trzymających się w kręgu za ręce.

Daj znać, jak będziesz gotów do skoku.

Pete Senior nie proponował mojemu bratu nowego życia, tylko skok z samolotu ze spadochronem.

Facet z motelu „Supersen” kilka razy obracał kartę kredytową mojej firmy, jakby szukał wyraźnego napisu: „Tak, twoje podejrzenia są słuszne, to fałszywka”.

– Mam małą firmę – poinformowałam. – Rękodzieło. Przyjechałam tu do swoich klientów.

– Aha. Mogę prosić o jakiś dowód tożsamości?

Miałam już przygotowane prawo jazdy. Nie najciekawsze zdjęcie, ale wystarczyło. Mężczyzna potrzymał obie karty jedna przy drugiej, po czym wzruszył ramionami i pozwolił mi się zameldować.

Jak tylko znalazłam się w pokoju, wyciągnęłam kartę telefoniczną – także firmowa – i zadzwoniłam do Drummondów w Green Bay. Miałam nadzieję, że John nie będzie sprawdzał rachunków ArdenArt równie skrupulatnie jak tych prywatnych. Rozmowa przeprowadzona z Michigan, gdzie wylądowałam „goniąc za duchami”, wyglądałaby wielce podejrzanie.

Odebrała pani Drummond. Głos miała dość płaczący – trudno się dziwić, skoro

tego dnia pochowała matkę. Staralam się, by moja mowa zabrzmiała radośniej. Tak, wszystko w porządku, rzekłam po cichu. Tak, tro-

144

chę padało. Czy pogrzeb przebiegł spokojnie? Och, pyta pani, co ja porabiałam? Uczyłam się, pracowałam trochę w warsztacie, odśnieżyłam podwórko. Dobranoc i do zobaczenia.

Rzuciłam się na miękki materac podwójnego łoża w tanim hotelu w Michigan i zaczęłam się zastanawiać, kiedy tak dobrze nauczyłam się kłamać.

17

Po powrocie do domu faktycznie wzięłam się za odśnieżanie. Oczyszcziłam z puchu swój chodnik, a potem u Drummondów. Spadło tylko parę centymetrów, więc nie warto było uruchamiać maszyny. Zrobiłam to metodą ręczną. Godzinę później dały o sobie znać mięśnie. Nie powinno mnie to dziwić, skoro najbardziej wyczerpującym ćwiczeniem, jakie zwykle wykonywałam, było unoszenie i opuszczanie młotka – a nawet tego nie robiłam już od tygodni.

Nalewając wodę do wanny Scotta, zadzwoniłam do Jace'a.

– Czy to coś ważnego? – spytała jego matka. – Cały dzień miał temperaturę i teraz odpoczywa.

Grzecznie zapewniłam ją, że to sprawa największej wagi.

– Jakoś nie słyhać, żebyś miał gorączkę – rzekłam, jak tylko się odezwał. – Założę się, że udajesz. Musiałeś wymigać się od szkoły, czy też macie ferie? Mam nadzieję, że to ferie, bo wpadłam dziś na pewien pomysł i chcę, żebyś zrobił dla mnie coś jeszcze. Myślę, że powinniśmy zrobić kopie tego kolorowego zdjęcia, które zmontowałeś, i pójść z nimi do biur podróży. Zachowałeś sobie chyba jedno, co? Mogłabym ci wysłać parę sztuk, ale szybciej będzie, jeśli sam zrobisz kilka kopii i pojedziesz z nimi do Duluth. Oddam ci pieniądze później.

– Ach, więc jednak dostałaś zdjęcie!

– Nie podziękowałam ci jeszcze? Jest świetne. Choć dziwnie mi się na nie patrzy. Miałaś czas, żeby sprawdzić skrytki pocztowe i wypożyczalnie samochodów? Trzeba to zrobić, Jace, czuję, że czas ucieka. – Nogą przekreśliłam kurek nad wanną i woda przestała lecieć. – Nie uwierzysz, gdzie byłam...

Opowiedziałam mu w skrócie o kanadyjskiej wyprawie, pomijając lekcję geologii. Nie odezwał się, gdy skończyłam.

– Byłeś kiedyś w Sault Ste. Marie? – ciągnęłam go za język.

145

– Arden – powiedział powoli – mojej mamie nie bardzo się podobają te twoje zlecenia. Mama zna zastępczynię szeryfa, która zajmowała się sprawą, rozmawiała z nią i w ogóle, i teraz nie uważa, by to był dobry pomysł, żebym brał samochód i jeździł po okolicy, polując na twojego brata.

– A co ty uważasz?

– To dość sporo roboty: sklepy sportowe, skrytki pocztowe, a teraz jeszcze biura podróży.

– Potrzebna mi pomoc, Jace.

– Chciałbym ci pomóc, ale... Arden, naprawdę fajnie było cię zobaczyć i spędzić ten dzień razem. Szkoda, że nie mieszkamy bliżej siebie. To znaczy zaakceptowałbym to, hm, coś nawet na odległość. Próbuję ci chyba powiedzieć, że bardzo chciałbym być twoim chłopakiem, ale nie uśmiecha mi się rola twojego pomocnika. A wydaje mi się, że tego właśnie ode mnie oczekujesz.

– Nie myślę o tobie w ten sposób.

– Wątpię, czy w ogóle o mnie myślisz, nie licząc wydawania poleceń. Nie chcę okazać się niemiły, ale czy stałoby ci się coś, gdybyś zapytała „Co u ciebie?”, zanim rzucisz „Zrób to”?

Nawet w pełnej pary łazience przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

– Przykro mi, że tak się poczułeś. Byłam za bardzo tym pochłonięta, wiem, ale to dla mnie ważne.

– Wiem, Arden, i zdaję sobie sprawę, że zachowuję się trochę jak bałwan wiedząc, jaka to dla ciebie ciężka zima i tak dalej, ale jeśli oczekujesz po mnie jedynie,

żebym był twoim detektywem, to cóż, wycofuję się. A tak przy okazji, dostałem rolę w sztuce. Dzięki, że zapytałaś.

Poczekalam, aż cisza zabrzmiała wyraźniej, a potem podziękowałam mu słodko i rozłączyłam się. Po czymś takim niewiele można powiedzieć, po co więc udawać? Zanurzyłam się w wodzie. Była prawie nie do zniesienia gorąca, a mimo to nie raniła nawet w połowie tak boleśnie jak pożegnanie z Jace'em. Cóż, skoro na nim

się sparzyłam, to czemu się teraz nie podgotować?

Obsunęłam się w wannie tak, że woda zachlupotała mi koło uszu. Nazwał to „czymś na odległość”. Może i miał rację – nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości. Niewielka to strata.

Gdy się wycierałam, zadzwonił telefon, a po chwili posłusznie włączyła się sekretarka. Może to Jace się namyślił i dzwonił, żeby przeprosić. Usłyszałam głos Hanny, ale nie zrozumiałam, co mówiła. Pewnie kolejna wiadomość, że mam się wypchać.

146

Później przygotowałam sobie grzanekę i wysłuchałam zabawnego sprawozdania z cen kart, jakie jej podarowałam. Spojrzałam na zegarek. Jeszcze nie tak późno; jeszcze mogłam do niej zadzwonić. No dobrze, może nie była przystojnym, delikatnie całującym chłopakiem, ale jeśli mogłam być podziwiana jedynie przez sześciolatkę, to cóż... Akurat w chwili, gdy brałam do ręki telefon, żeby do niej zadzwonić, zabręczał dzwonek u drzwi. Oczywiście nie byłam ubrana. Nikt nigdy nie przychodził, jak miałam na sobie coś przyzwoitego. Zanim doszłam do drzwi, gość przestał dzwonić, a zaczął pukać, coraz głośniejszym i głośniejszym. Dłoń zamarła mi na klamce.

– Wiemy, że tam jesteś, więc nas wpuść. Cody i spółka.

– No, Arden, dzisiaj będziemy grzeczni. Walenie stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Widzimy światła. Otwieraj.

Doszła mnie niewyraźna wymiana zdań – głosy obu płci. A potem:

– Idź zobacz, czy nie została otwartych drzwi od kuchni.

Czy zamknęłam je, kiedy weszłam do domu? Obróciłam się i zajrzałam przez pokój dzienny do jasno oświetlonej kuchni. Żaluzje na oknie nie były zasłonięte i każdy, kto tamtędy przechodził, mógł zobaczyć, jak stoję. Opadłam na podłogę i usiadłam, opierając się plecami o drzwi. Ktoś otworzył drzwi od przedsionka i zaczął walić w te właściwe tak, że zatrzęsły mi się ramiona.

– Och, Arrrden – wołał Cody. – Wiemy, że tam jesteś!

W kuchni też rozległo się grzmocenie o drugie drzwi, a jakiś palec przykleił się do dzwonka. Wydawał wysoki, delikatny dźwięk. Cody go usłyszał i przyczepił się do dzwonka od frontu.

Ale śmieszne, ha, ha, ha. Dzwonki hałasowały coraz mocniej i szybciej: od frontu – raz, dwa, trzy, przerwa; od tyłu – raz, dwa, trzy, przerwa. W końcu zamiast dzwonić, zaczęły rżęzić.

Podciągnęłam kolana pod brodę i bezprzewodowy telefon wypadł mi z ręki.

Ludzie Chcą ci pomóc; pozwól im na to. To ich upewni, że podjęli słuszną decyzję.

Podniosłam telefon, wstałam i otworzyłam drzwi. Cody i jego ekipa stali na stopniach.

– Wiedziałem, że dasz się namówić. No, Arden... zabawmy się. Obiecujemy...

Podniosłam telefon.

----- 147 -----

– Patrz, gnojku – powiedziałam i wybrałam numer policji. – Mówi Arden Munro z Riverview Drive 40 – odezwał się do dyspozytora. – Ktoś próbuje wdrzeć się do mojego domu.

18

John, potrzebuję pomocy.

Dorwałam go, jak jadł lunch. Z krawatem wetkniętym pod koszulę połykał za swoim biurkiem zupę. Serwetką wytarł brodę, po czym napił się wody z butelki.

– Czemu nie jesteś w szkole? Nie proś mnie czasem, żebyśmy kłamał, jak zadzwoni dyrektor.

– Są ferie.

– Czego chcesz?

– Część ci moich pieniędzy. Pani Drummond jutro wraca i będziesz mógł z nią o tym porozmawiać. Ale jestem pewna, że jeśli ty się nie sprzeciwisz, to ona się zgodzi. A jeżeli dacie mi to, o co proszę, a ja wyczerpię cały zasób, obiecuję przestać. Raz na zawsze.

– Twoja przemowa była tak samo sensowna jak te papiery procesowe, które akurat czytam.

Kciukiem zastukał w stertę dokumentów na biurku.

– Dziesięcioletnie dziecko robi sobie krzywdę, spadając z motoru swojego kuzyna, a teraz wszyscy wujkowie i ciotki pozywają się nawzajem do sądu. Skończyłem

studia prawnicze po to, żeby nad tym ślęczeć. Po co ci te pieniądze?

– Chcę wynająć śledczego.

Wolę być nazywana detektywem – oznajmiła Rosę Vanaci. Wsunęła kciuk pod dekolt sukienki i poprawiła szelkę stanika. – „Śledczy” to termin używany przez policję.

Jej sekretarka zapukała do drzwi i wetknęła głowę.

– Biuro koronera w Milwaukee na drugiej linii.

Rosę wzruszyła ramionami, co miało oznaczać przeprosiny, i podniosła słuchawkę. Dałam jej nieco swobody, odwracając głowę i patrząc przez okno. Widziałam swój samochód po drugiej stronie jezdni, dokładnie naprzeciwko baru „Superior”. Ulica przejechała ciężarówka, chlapiąc mi na przednią szybę grudkami brązowego śniegu.

148

– A zatem chcesz, bym odnalazła twojego brata? Odwróciłam się twarzą do niej i uśmiechnęłam się.

– Tak. John Abrahms dzwonił do pani, nieprawdaż?

– Owszem. Mówił mi, że jesteś jedyną osobą na świecie, która wierzy, że Scott żyje.

– Są dwie osoby na świecie, które wiedzą, że on żyje: mój brat i ja.

– Nie będę się z tobą spierać na ten temat. Zaczniemy od założenia, że masz rację.

Westchnęłam i usiadłam swobodniej w swoim fotelu. No dobrze, jeśli nawet musiałam zapłacić komuś, żeby się ze mną zgodził, to i tak miło było usłyszeć: „Masz rację”.

– Dziękuję, pani Vanaci.

– Rosę, jeśli wolisz. Wyjawisz mi wszystkie rodzinne sekrety, więc możemy zapomnieć o takich uprzejmościach. A zatem pierwszarzecz, o jakiej musisz mi powiedzieć, to dlaczego chcesz go odnaleźć. Odchodząc pokazał, że nie chce cię w swoim życiu. To, rzecz jasna, przykre, ale moją rolą jest uderzanie w pewne czułe punkty. Z tego, co mówił John, wnioskuję, iż masz środki i hart ducha potrzebny do tego, by dobrze ci się wiodło w samodzielnym życiu, Arden, więc po co go szukać? Dlaczego chcesz, żeby wrócił?

– Właściwie to nie jestem pewna, czy jeszcze tego chcę – odparłam powoli, zdając sobie sprawę z własnych uczuć dopiero w chwili, gdy ubierałam je w słowa.

– Ale chcę pokazać ludziom, że oni się mylili, a ja miałam rację, chcę, żeby wszyscy mnie przeprosili.

Na biurku stała tacka ze spinaczami. Wzięłam jeden do ręki i wygięłam.

– Nie prowadził szczególnie ciekawego życia, opiekując się mną, i być może poczuł, że się dusi. Mogę to zrozumieć. Żałuję, że nie wpadłam na to wcześniej i nie powiedziałam mu czegoś; może wtedy by nie odszedł. Ale mimo iż wiem, że to po części z mojego powodu tak bardzo nienawidził swojego życia, to jestem na niego wściekła, że nabrał nas w taki sposób. Chcę, żeby teraz wrócił i wszystko odkręcił. Chyba trochę się gubię. W jednej chwili mu współczuję, a zaraz potem miałabym ochotę go zabić.

– To szczerze wyznanie, ale motywy nie najlepsze.

– W porządku, oto lepszy powód: ty go odszukaj, a ja, zanim go zabiję, powiem: „Dziękuję ci za moje życie”. Tak może być?

Uśmiechnęła się. – Powiedzmy. John mówił mi, że z kont nie znikły żadne pieniądze.

----- 149 -----

– Na to wygląda.

– To nam ułatwi sprawę. Człowiek nie może daleko odejść ani ukryć się zbyt głęboko bez pieniędzy. Gdybyś zechciała zwyczajnie zaczekać, pewnie sam by się w końcu zjawił.

– Chcę go odnaleźć.

– Oho, co za zabójcze spojrzenie. Widuję takie nierzadko.

– Często prowadzisz podobne sprawy?

– Zaginięcia to moja specjalność. W większości przypadków mam do czynienia z problemami rodzinnymi – mamusi i tatusiowie porywający własne dzieci.

– Byłaś policjantką?

– Przez piętnaście lat w Milwaukee. Potem zajęłam się wykrywaniem oszustw ubezpieczeniowych dla pewnej firmy. A teraz jestem panem własnego losu.

Na pewno nie panem i na pewno nie tym, kogo się spodziewałam. Wchodziłam na pierwsze piętro, gdzie mieściło się jej biuro wychodzące na najbardziej ruchliwą ulicę w Superior, spodziewając się ciemnego, zadymionego pomieszczenia. Nawet

nazwisko pasowało do tego wyobrażenia: Rosę Vanaci – brzmiało jak herod-baba. Wbrew oczekiwaniom zastałam jednak z gustem urządzone biuro złożone z dwóch pokoi i kobietę w średnim wieku, która mogłaby się pojawić na stronach poważnych czasopism. Doskonały balejaż, szyta na miarę jedwabna liliowa suknia, delikatny makijaż. Na ścianach wisiały nawet milutkie rodzinne zdjęcia. Mąż, dwójka dzieci,

wnuki. Ale ramki były paskudne.

– John mówił, że szukałaś trochę na własną rękę. Jak to wyglądało?

Wszystkie moje wysiłki wydały mi się raptem dość żałosne.

– Rozwiesiłam plakaty z jego zdjęciem, zamieściłam ogłoszenie w lokalnej gazecie, sprawdziłam w kilku wypożyczalniach samochodów i na pocztach, gdzie mógłby wynająć skrytkę, przejrzałam jego szuflady i zawartość komputera.

– I co znalazłaś?

– Nic. Żadnych pornosów, żadnej skórzanej bielizny, zero tajemnic. Nawet pliki w komputerze były zupełnie czyste. Nie znalazłam niczego poza wzmianką, że chyba zainteresował się akrobatyką spadochronową. A co ty zrobisz, żeby go odnaleźć?

– W zasadzie to samo, tyle że na szerszą skalę. Wykonam wiele telefonów i wyślę faksem wiele zdjęć. Skontaktuję się z wydziałami komunikacji i wpiszę się na kilka internetowych list, by poszukać nowych abo-

150

nentów, którzy pasowaliby do jego portretu. Jeśli żyje, znajdę go i to prawdopodobnie w ogóle nie wychodząc z biura.

– W ogóle?

– No cóż, będę wracać wieczorami do domu, by odegrać rolę żony i babci. Czy masz przy sobie zdjęcie brata?

Podaliśmy jej ulotkę i fotografię zmontowaną przez Jace'a.

– Przed i po zgoleniu brody. Zdjęcie na plakacie jest prawdziwe. To drugie zostało zmontowane na komputerze, żeby pokazać, jak wyglądałby bez brody. Zrobił je mój kolega. Myślę, że jest całkiem niezłe.

– Jest wspaniałe. Może nam bardzo pomóc. Teraz musisz zrobić coś jeszcze.

– Tak?

– Opowiedz mi o sobie, Scotcie i waszych rodzicach.

– Kiedy to właśnie jest jeden z powodów, dla których chcę go odnaleźć. Nie wiem zbyt dużo. Czasami czuję się, jakbym w ogóle nic nie wiedziała.

19

Trzy tysiące dolców? – Kady upuściła łyżeczkę i gapiła się na mnie jak sroka w gnat. – Pozwolili ci wydać tyle pieniędzy na śledczego?

– Ona woli, żeby nazywać ją detektywem. Masz jogurt na brodzie.

– I moja mama się na to zgodziła?

– No. Mam ograniczony czas i budżet, ale i ona, i John zgodzili się. Dziwię się, że ci nie powiedzieli.

– Jej zdaniem bycie twoim aniołem stróżem to sprawa poufna. Nie miałam pojęcia. Trzy tysiące! Łaziłam po wszystkich fundacjach w hrabstwie, żebrząc na kolanach o stypendium, a ty wydajesz trzy patole, żeby odnaleźć trupa. Czemu zwyczajnie nie spalisz tych pieniędzy? Albo nie dasz ich któremuś z tych palantów? – Podniosła rękę i pokazała za siebie, skąd większość ludzi w szkolnej stołówce gapiła się w naszą stronę.

Cody zauważył mnie, uśmiechnął się szyderczo i wbił zęby w kanapkę.

– Większość z ludzi w tym pomieszczeniu wydałaby je na imprezy – stwierdziłam.

– Trzy tysiące – wyszeptała. Zatkaną ją.

151

Na szóstej godzinie mieliśmy akademię z okazji rozpoczęcia hokejowych rozgrywek play-off. Penokee Panthers w rozgrywkach ligowych nie najlepiej sobie radziły, ale udało im się ostatnio wygrać osiem meczów z rzędu i sala gimnastyczna pełna była zachrypniętych od kibicowania, przepełnionych nadzieją fanów. Kady była przewodniczącą szkoły i zazwyczaj wygłaszała przy takich okazjach przemówienia, lecz dziś' oddała głos jednemu z graczy, zaś sama zajęła miejsce obok drużyny. Podczas gdy on w zabawny sposób przypominał hokejowe tradycje Penokee, ona rozglądała się po ludziach, aż znalazła mnie.

Pomachałam jej i uśmiechnęłam się, ale ona nie odpowiedziała; nie odwróciła nawet spojrzenia. Nietrudno było zgadnąć, o czym myśli: trzy tysiące dolców.

Po apelu poszłam do biblioteki na obowiązkową naukę własną. Prawie udało mi się nadrobić zaległości i zaczynałam nawet znowu uczyć się historii. Tak naprawdę to uczyłam się jej teraz po raz pierwszy. Może jakimś cudem, jak wyjdę na prostą i

obietcam być grzeczną dziewczynką, pani Penny pozwoli mi wrócić na lekcje i uda mi się uniknąć szkoły w wakacje, czyli ziemskiej wersji piekła, o ile takowa w ogóle istnieje.

Siedziałam zgarbiona nad stolikiem ze wzrokiem wbitym w książkę, gdy do biblioteki weszła Kady, stanęła przy mnie, po czym ruszyła w stronę komputerów. Przyglądałam się, jak wchodzi do Internetu i zaczyna coś pisać. Po kilku minutach znudziłam się i powróciłam do fascynującego schematu zawierania królewskich małżeństw w dziewiętnastowiecznej Europie.

Pakowałam się już, gdy zadzwonił dzwonek. Kady stała przy drukarce, czekając na pojawienie się kilku kartek. Włożyła je do teczki i schowała do plecaka.

– Podwieźć cię do domu?

Taka była, rzecz jasna, rutyna, ale potrzebny mi był bezpieczny temat do rozmowy.

– Dzięki. Jean kazała ci przekazać, że dziś zostaje. Musi oddać artykuł do gazetki. Ja muszę jeszcze pójść do szatni. Spotkamy się przy samochodzie. Znowu rutyna. Jednak nie było ani odrobiny swojskości w papierach, jakie wręczyła mi, wysiadając z samochodu, gdy zajechałyśmy przed mój dom.

– Co to jest? – spytałam.

– Coś, co znalazłam w bibliotece wydziału medycyny.

152

Zmarszczyłam brwi. Nasza szkoła miała wolny dostęp do bibliotek wszystkich wydziałów Uniwersytetu Wisconsin, ale biblioteka medyczna?

– Ryzykując naszą przyjaźń, stwierdziłam, że to właśnie ja muszę uświadomić ci pewne fakty.

– Fakty?

Rękawem kurtki zgarnęła trochę śniegu z dachu samochodu.

– Scott nie żyje. – Kiwnęła głową, pokazując na trzymaną przeze mnie teczkę. – Tego powinna poszukiwać ta twoja pani detektyw. Scott tak właśnie wygląda. Odwróciła się i przeszła przez jezdnię do swojego domu.

Zamknęłam bramę garażu i weszłam do kuchni. Położyłam teczkę na blacie i włączyłam światła. Podkręciłam ogrzewanie i powiesiłam kurtkę. Zrobiłam sobie kanapkę i nalałam mleka. Otworzyłam teczkę, spojrzałam na leżącą na wierzchu kartkę i prawie zwróciłam wszystko, co zjadłam przez całe życie obzartucha.

Trupy. Moja droga przyjaciółka, słodka, odpowiedzialna Kady szperała w zasobach biblioteki uniwersyteckiej tak długo, aż znalazła książkę pełną zdjęć trupów. Był to podręcznik do patologii, trzy strony z rozdziału siódmego, zatytułowanego „Utonięcia i ciała topielców”.

Rozdęte zwłoki, biała jak wosk skóra, puste oczodoły, brakujące fragmenty tkanki.

Zadzwoniłam do Drummondów, wybierając numer tak szybko, że dodzwoniłam się gdzieś indziej. Spróbowałam jeszcze raz. Odebrała Kady.

– Widzę, że to nie ja potrzebuję pomocy – rzuciłam. – Dobrze się bawiłaś szukając tego obrzydlistwa?

– Uważam tylko...

– Wiem, co uważasz, i nic mnie to nie obchodzi. Robię to, na co mam ochotę, więc możecie wszyscy się tylko zamknąć i jakoś się z tym pogodzić. Jeśli nie potraficie, to po prostu nie możemy już być przyjaciółkami.

Rozłączyłam się, zanim zdążyła odpowiedzieć na moją groźbę. Zgniotłam kartki i wrzuciłam je do zlewu. Moje egzaminy, moja firma, Jace. Do listy strat związanych z małą przygodą Scotta mogłam dopisać jeszcze jedną: najlepsza przyjaciółka.

153

20

Arden, zostaniesz moją najlepszą przyjaciółką?

– Jestem dla ciebie trochę za stara.

Hanna zgarnęła łyżeczką czekoladową polewę wieńczącą puchar lodów.

– To by się liczyło, tylko gdybyś miała być moim kochankiem. Prychnęłam, tryskając kropelkami napoju, które opadły na stół.

– Hejże! – zawołała, biorąc garść serwetek i podając mi je. – Sprzątnij to teraz.

Jaka ja byłam w wieku sześciu lat? Odważna? Nieśmiała? Czy potrafiłam czytać? Czy znałam znaczenie słowa „kochanek”?

Hanna przyszła do mnie na noc. To był mój pomysł i po trzech godzinach eksperymentu wszystko układało się jak najlepiej. Obejrzałyśmy film, zrobiłyśmy

i zjadłyśmy wielką pizzę z kielbasą i cebulą, przygotowaliśmy deser i miałyśmy właśnie obejrzeć drugi z trzech wypożyczonych filmów, „Spotkajmy się w St. Louis”.

W ten piątek byłyśmy chyba jedynymi ludźmi w mieście. „Pantery” po beznadziejnym sezonie zdołały zakwalifikować się do stanowego finału. Nawet Drummondowie, kibice szkolnych drużyn, lecz na pewno nie wielbiciele hokeja, pojechali na mecz do Madison.

– Pierwszy i pewnie ostatni raz – powiedziała Jean. – Musisz z nami jechać.

– Znowu sama? – Pani Drummond zmarszczyła brwi.

– Mogłabyś się rozejrzeć po miasteczku uniwersyteckim – dodał pan Drummond. – Wybierzemy się na wydział sztuki.

Kady się nie odzywała. Zachowywałyśmy się wobec siebie z rezerwą, odkąd w minionym tygodniu wlepiła mi tamte obrazki. Czekąca, spodziewając się pewnie, że jej rodzina zmieni plany, przystosowując się do moich.

– Zaproponowałam, że wezmę Hannę na weekend – odparłam, myśląc szybko. – Claire musi trochę odpocząć.

Odpowiedź bliska prawdy, choć wtedy dopiero zastanawiałam się nad złożeniem takiej propozycji.

– Wolisz towarzystwo sześciolatki? – zdziwiła się Jean. – Dziwne.

– To miło z twojej strony – orzekła pani Drummond.

154

– Weź ją ze sobą – rzucił pan D. mając nadzieję, że tego nie zrobię.

– Jak chcesz – skwitowała krótko Kady.

I faktycznie wolałam spędzić ten weekend z sześciolatnym dzieckiem niż z rozwrzeszczaną bandą kibiców z miasteczka podczas uwielbianej przez cały stan jatki zwanej hokejem na lodzie. Ostatnio czułam się, jakbym znikła ze szkoły. Och, pojawiałam się tam co dzień i nawet wykonywałam najlepszą od lat robotę. Jednak tego popołudnia, siedząc na drugiej w ciągu dwóch tygodni akademii kibica,

uświadomiłam sobie, że szkolne życie przestało mnie obchodzić. Mecze, radocha z wygranej, ochrypła wesołość w stołówce – co za strata czasu. Coraz częściej siadywałam podczas lunchu sama, przyglądając się ludziom, których znałam od pierwszej klasy, i zastanawiając się, kim oni są?

Tak, Hanna stanowiła świetne towarzystwo.

Wciąż dodawała sobie polewy do lodów. Zmarszczyłam brwi.

– Zabrudziłaś już pięć łyżeczek.

– Chyba nie chcesz, żebym wkładała je do polewy, jak już jakaś obli-żę. Sama mówiłaś. Przebierzemy się w piżamy przed filmem?

– Dobrze.

– Mam nową. Mama mi uszyła.

– Potrafi sama szyć?

– Jasne. Naszyła mi baseballowe piłki i rękawice. Mam u ciebie zostać na cały weekend, prawda?

– Prawda.

To oznaczało jeszcze trzy wyprawy do wypożyczalni kaset wideo i co najmniej jedno zakupy. Wyraźnie nie doceniłam apetytu tego dziecka.

– A jak mam wrócić do domu dopiero w niedzielę, to może jutro pojechałybyśmy do „Mail of America”?

– Nie mogę.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Zwykły kaprys zawiódł mnie przecież do Kanady.

– Obiecałam komuś, że nigdzie nie wyjadę bez pozwolenia. Ta osoba teraz wyjechała i będzie w domu dopiero w niedzielę.

Hanna odłożyła łyżeczkę.

– Masz własny samochód i własny dom i musisz mieć pozwolenie?

– Niestety.

Pokręciła głową ze smutkiem i jedząc lody, obie zaczęłyśmy roztrząsać tę niesprawiedliwość.

155

Dostałam pozwolenie.

– To wspaniały pomysł! – orzekła pani Drummond. – Cudownie, że ty i Hanna tak bardzo się do siebie zbliżyłyście.

– Naprawdę fajny z niej dzieciak – powiedziałam. – Mogę prosić o dokładkę pieczenia?

Pan Drummond podał mi półmisek tuż pod nosem Kady, która udawała, że wędrująca tam wołowina w ogóle nie istnieje.

– Ktoś jedzie ze mną? – patrzyłam prosto na nią. – Zapraszam.

– Na pewno nie ja – odparła Jean. – W ten weekend mam zamiar porządnie się wyspać. Poza tym nie znoszę tego miejsca. Komercja dla bezmózgowców, wszystko najgorsze, co Ameryka ma do zaoferowania, zgromadzone pod jednym dachem. Hałas, drożyzna, ścisk i obłuda. Mam mówić dalej?

– Nie, dzięki – rzekła Kady. – Obu wam dziękuję. – Wstała. – Ja nakryłam do stołu, więc ktoś inny może posprzątać.

Wyszła z pokoju, nie zwróciwszy się bezpośrednio do mnie przez cały posiłek choćby jednym słowem. Cóż, ja próbowałam.

Na matematyce znów zostałam wezwana do pani Rutledge.

– Nie, tylko nie kolejna sesja z panią psycholog – mruknęłam do siebie pod nosem.

– Przez cały czas byłam taka grzeczna i posłuszna, pani Rutledge – wyrzuciłam z siebie, jak tylko weszłam do jej gabinetu. – Od paru tygodni nie powiesiłam ani jednej ulotki, nie wyjechałam ukradkiem do Duluth i tylko co drugi dzień dzwonię do prywatnego detektywa.

Oczywiście podeptałam budzącą się miłość i długoletnią przyjaźń, ale nie musiała przecież wiedzieć wszystkiego. Pokazała mi, że mam usiąść, i zamknęła drzwi. Zamknięte drzwi i ponura pani Rutledge. Fatalnie.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Dzwonił do mnie Al Walker. On i John Abrahms są w drodze do... Och, Arden, Al prosił, żebym zawiadziła cię do siebie i powiedziała ci osobiście. Jacyś ludzie łowili ryby w pobliżu ujścia Goebic do jeziora Superior.

Ciepła pogoda, jaką mamy od kilku dni, sprawiła, że rzeka płynie bardzo wartko, mimo iż pod lodem.

– Co pani chce powiedzieć? Gdzie pojechali John i Al? Przekręcała pierścionki na swojej lewej ręce.

– Do kostnicy w Ashland. Wędkarze znaleźli ciało topielca.

Zawiadziła Kady i Jean, żeby odwiozły mnie do domu. Jean zarzuciła na ramię moja torbę, a Kady, wyjąwszy z kieszeni kluczyki do samochodu, podała mi kurtkę.

– Ja poprowadzę – powiedziała.

Nie tylko poprowadziła mój samochód, ale i zabrała mnie do swojej kuchni, zrobiła herbatę, zadzwoniła do rodziców, przygotowała talerz pożywnych przekąsek i zostawiła Alowi na posterunku wiadomość, że jestem u niej. Ani razu nie powiedziała: „A nie mówiłam?”.

Wszystkie trzy siedziałyśmy na długiej kanapie i czekałyśmy na coś. Kady z mojej prawej strony, Jean z lewej i obie zwrócone twarzą do mnie. Ja patrzyłam na ścianę po drugiej stronie pokoju, oglądając ich rodzinne fotografie, rozmieszczone dokoła wielkiego zdjęcia państwa D. w dniu ich ślubu.

Jean włożyła rękę pod poduszkę i wyciągnęła trzy woreczki z grochem – w każdym pokoju miały gdzieś upchnięty sprzęt do treningu. Podrzuciła je kilka razy, po czym posłała jedną z torebek nad moją głowę do siostry, która chwyciła ją ze złością i odłożyła.

– Nie teraz – rzuciła Kady ostro.

Złożyłam ręce i przez kilka minut przyglądałam się, jak idealnie pasują do siebie wszystkie palce. Za to moim paznokciom daleko było do doskonałości. Czas na manicure. Może nowy lakier? Czerwony? Perłowy? Czarny pewnie będzie najodpowiedniejszy.

– To już chyba koniec – odezwałam się. Były to moje pierwsze słowa, odkąd wyszłyśmy ze szkoły.

– Tak – potwierdziła Kady.

– Przynajmniej wiemy, jak będzie wyglądać ciało, co?

– To było okropne z mojej strony – rzekła Kady. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

– Co zrobiłaś? – spytała Jean.

– Chciałam, żebyś się ocknęła. Powinnam była się domyślić, że i tak wkrótce to nastąpi.

– Czy mnie też dotyczy ta rozmowa? – niecierpliwiła się Jean.

– Chyba ich nie zatrzymałaś?

157

–? Co miała zatrzymać, dowiem się wreszcie?

– Urządziłam ognisko i spaliłam je w zlewie.
Jean podniosła obie dłonie na wysokość twarzy i obejrzała je z obu stron.
– Rany, chyba nie jestem niewidzialna.
Kady rzuciła woreczek z grochem, trafiając w ramię siostry.
– Lepiej, żebyś nie wiedziała.
– Chcę wiedzieć. Arden, powiesz mi?
– Ja ci powiem – odparła Kady. – Ściągnęłam z biblioteki uniwersyteckiej kilka zdjęć i dałam je Arden. Ciało topielców.
Jean przytuliła do siebie haftowaną poduszkę.
– To chore.
– Byłam taka załamana, Arden, że nie chcesz uprzytomnić sobie prawdy.
Potaknęłam.
– Teraz nie będę miała wyjścia. Więc co powinnam najpierw zrobić? Nigdy nie załatwiałam pogrzebu.
– Mama i tata ci pomogą.
– Ejże, dziewczyny – wtrąciła się znów Jean. – Czy my o czymś nie zapominamy?
– O czym? – spytałam.
– Nikt tak naprawdę nie mówił, że to ciało zostało zidentyfikowane. A jeśli to nie on?
Al i John przyjechali, kiedy siedzieliśmy przy kolacji. Nikt nie zjadł za wiele, pewnie ze względu na panujący w domu nastrój; a może dlatego, że Jean dodała do jajecznicy za dużo ostrego sosu.
Gdy zadzwonił dzwonek, byłam przy drzwiach pierwsza. Obaj stali tam zmęczeni i przygnębieni. Pokazałam, że mają wejść. Kto przemówi pierwszy?
Al rozpiął kurtkę. – To nie był Scott.
John wszedł za nim i skinął do Drummondów, którzy stanęli w komplecie tuż za mną.

Opadł na fotel.

– To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić. Nigdy przedtem nie byłem w kostnicy. Boże, Arden, mam nadzieję, że wyjdzie na twoje. Mam nadzieję, że on żyje. Mam nadzieję, że tak nie wygląda. Nie masz pojęcia...

Kady i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Ależ ma – bąknęła Jean.

----- 158 -----

Wrodzony instynkt kucharki odezwał się w pani D. i wymknęła się do kuchni.

Pewnie poszła przygotować chłopakom mniej pikantną jajecznicę.

– Kto to był? – spytałam.

– Nie wiadomo – odparł Al. – Ktoś, kto znajdował się w wodzie znacznie dłużej niż Scott. Latem zaginęło kilku kajakarzy. Może to jeden z nich.

– Skąd wiecie, że to nie Scott? – dociekałam.

– Był taki zmasakrowany – rzekł John bardziej do siebie niż do nas.

– Nie było w nim nic z człowieka. Nie miał nawet twarzy...

Bliźniaczki równocześnie cofnęły się z założonymi rękami.

– To ciało należało do białego mężczyzny – zwrócił się do mnie Al

– i wypłynęło w pobliżu ujścia Goebic, więc tamtejsze służby od razu pomyślały o Scotcie. Ale ten człowiek miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wiele może się stać ze zwłokami w wodzie, ale na pewno nie mogą się wydłużyć o kilkanaście centymetrów.

Odzyskałam nadzieję, ale nie mogłam opędzić się od myśli, że ktoś inny mógł już przestać czekać.

22

Ładnie wyglądam?

Hanna okręciła się, prezentując nową fryzurę i sweter. Ręką potrafiła kubek tak, że przejechał przez kuchenny stół i zakołysał się na krawędzi. Jej matka rzuciła się na ratunek.

– Prześlizgnęła. Naprawdę. Kto ci zrobił sweter?

– Mama. Ale ja wybrałam włóczkę. Możemy już iść? Już tak długo rozmawiacie.

Claire i ja wymieniliśmy uśmiechy. Byłam w ich kuchni nie więcej niż pięć minut.

– Nie wiem, jak ci dziękować – odezwała się Claire. – Odkąd Scott napomknął, że może kiedyś pojadą do tego centrum handlowego, po prostu nie może się doczekać.

Ja byłam tam raz kilka lat temu i więcej się nie wybieram. Tak więc jestem ci bardzo wdzięczna, ale wolałabym, żebyś pozwoliła mi zapłacić.

– Ja funduję. Nie spieraj się. No to jedziemy, koleżanko – zwróciłam się do Hanny. – Jesteśmy pewnie jedynymi osobami w Penokee, które wiedzą, co znaczy

dobra zabawa.

159

– Mama nie wie. Ona musi pracować. Dzisiaj robią karmniki dla ptaków.

Spojrzałam na Claire z uniesionymi brwiami.

– Ostatni dzień wczasów dla seniorów. Najpierw wycieczka w rakach, podglądanie ptaków, a potem robienie karmników. Dwudziestu sędziwych obywateli i ja.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Dobrze, że masz tego magistra biologii. Przyda ci się.

– Nie czekaj na mnie – krzyknęła Hanna, otwierając drzwi.

– Ha, ha – skwitowałam. – Wrócimy przed ósmą.

Gdy zapinałam pas w samochodzie, Hanna pomachała mi przed nosem kopertą. –

Patrz,

co mam.

– Nie mogę, bo wyklujesz mi oczy. Odłóż. Co to jest?

– Dostałam wczoraj od taty kartkę. Tydzień temu dzwoniłam do niego i powiedziałam, że jedziemy dziś do „Mail of America”. To było, zanim znaleźli tanto ciało. Słyszałam, jak mama rozmawiała z Alem. A gdyby to był Scott, pojechaliśmy dzisiaj?

– Pewnie nie.

– No to się cieszę, że to nie był on. Słyszałam, jak mama mówiła do babci przez telefon, że żałuje, że to nie on. Powiedziała, że już by chciała, żeby się to wszystko skończyło.

Cofając, obejrzałam się przez ramię na pokrytą ubitym śniegiem dro-

gC-

– Tata nigdy nie przysyła listów. Zawsze jest zajęty. On jest neu-ro-chi-rurgiem. – Wymówiła to długie słowo uważnie i dokładnie. – Mieszka w ????????

Przysłał mi tę kartkę. Dostałam ją wczoraj. – Wyciągnęła kartkę i otworzyła. – „Baw się dobrze, kochanie” – przeczytała powoli.

– To miłe.

– Jest coś jeszcze – powiedziała. Wyciągnęła banknot i pomachała nim w powietrzu. – Sto dolarów.

Zmieniłam bieg i przyspieszyłam. – Super.

– Mama bardzo nie lubi, jak tata przysyła mi dużo pieniędzy.

– Naprawdę?

Mów, mów, dziecko. Chcę wiedzieć wszystko.

– Lepiej jej nie mówmy, dobra?

– Dobra.

– I wydamy wszystko.

160

Nietrudno wydać sto dolarów w gigantycznym centrum handlowym. Na początek po trzy albo cztery razy musiałyśmy zaliczyć wszystkie przejażdżki w wesołym miasteczku, co już znacząco uszczupliło budżet. „Mail of America” to największe centrum handlowe w Stanach, a może i na całym świecie, a tego dnia zapchane było kupującymi, głównie bladymi mieszkańcami Środkowego Zachodu, szukającymi ucieczki przed ciągnącą się zimą. I, jak zawsze, można w nim było spotkać całkiem sporo ludzi, którzy przyjechali tu z dalszych części świata. Słyszałam, jak mi się zdawało, niemiecki, francuski i hiszpański, widziałam wiele japońskich par, które wyglądały, jakby przebywały w szczególnego rodzaju poślubnej.

Ogonki w wesołym miasteczku posuwały się bardzo powoli. Długo czekałyśmy na miejsce w kolejce górskiej i innych fajnych urządzeniach. Hanna zabawiała się w międzyczasie układanką, jaką kupiła sobie w sklepie z zabawkami. Ja wypatrywałam łysych głów. Nie było to świadome poszukiwanie, a raczej nawyk.

Wczesnym popołudniem już ledwo żyłam. Trzy przejażdżki kolejką górską, cztery zjazdy w dół wodospadu, trzy wizyty w Tajemniczej Kopalni i kilometry przemierzone pieszo zebrały swoje żniwo. Znalazłyśmy pustą ławkę na trzecim piętrze i opadłyśmy na nią. Hanna otworzyła portmonetkę i liczyła.

– Siedem dolarów i trzydzieści pięć centów.

Ja pozbyłam się czterech dych, co też nie jest małą sumą, ale ona wydała w ciągu kilku godzin ponad dziewięćdziesiąt dwa dolary. Czy to nie rekord? Może i nie, ale i tak niezły wynik jak na sześciolatkę.

– Zostaw sobie na prezent dla mamy – poradziłam.

Jakiś łyśy, lubiący motocykle goguś, ubrany od stóp do głów w czarną skórę,

przeszedł obok nas, niosąc trzy torby ze sklepu z fikuśną bielizną. Kupił prezenty czy uzupełnił zawartość własnej szafy? Roześmiałam się na myśl, że może mój brat odszedł z domu, żeby wieść życie takie jak ten facet.

– Z czego się śmiejesz? – spytała Hanna.

– Z niczego.

Podążyła za moim spojrzeniem i zobaczyła motocyklistę.

– Nie wolno naśmiewać się z ludzi.

– Hanna – zaczęłam, obejmując ją ramieniem – jak to dobrze, że cię lubię.

Inaczej chyba byłabyś nie do zniesienia.

Jakaś matka nerwowo usiłowała nakarmić parę niemowląt, siedząc na wąskim murku otaczającym skrawek sztucznej zieleni. Zeszliśmy z Han-

161

ną z ławki i pokazałam kobiecie, że może zająć nasze miejsce. Przeniosła się z wdzięcznością.

Hanna zaprowadziła mnie na ruchome schody i zjechałys'my dwa piętra niżej.

Kakofonia złożona z muzyki, stukotu kolejki górskiej i jazgotu tysięcy ludzi czyniła rozmowę niemożliwą. Hanna oglądała wystawy, a ja wlokłam się za nią.

– Co robisz? – spytała w pewnej chwili, gdy stanęłam nieruchomo, a ona szła dalej, tak że jej dłoń wyslizgnęła się z mojej.

– Nic, tylko patrzę – odparłam.

Nie mogłam się powstrzymać. To było chyba jak odruch. Znalazłam się w najbardziej ruchliwym miejscu od dnia, kiedy zaginał. Gdzie tylko się obróciłam, widziałam facetów tego samego co on wzrostu, o tej samej karnacji. Byli sami, z przyjaciółmi, z dziećmi. Po raz milionowy od lutego zastanawiałam się, gdzie on jest, co robi, czy jest sam?

Hanna pociągnęła mnie za rękaw.

– Na ile przejażdżek nam jeszcze starczy?

Przecisnęliśmy się przez tłum ludzi do czytnika biletów. DZIESIĘĆ PUNKTÓW, ukazało się na wyświetlaczu.

– Na jeszcze jedną – odparłam.

Zdecydowała się znów na Tajemniczą Kopalnię. Dwadzieścia minut stałyśmy w kolejce, żeby potem użyć trzech minut karkołomnej zabawy; przypięte do kołyszących się siedzeń, znalazłyśmy się w środku filmu stanowiącego przejażdżkę przez gigantyczną kopalnię.

Zapaliły się światła. Zamrugaliśmy, odpięliśmy pasy, wzięłyśmy nasze pakunki i wyszłyśmy, przeciskając się przez tłum. Poczulałam, jak mała rączka Hanny zaczepiła się o tylną kieszeń moich spodni. W pewnym momencie, gdzie tłok był największy, jej dłoń wyslizgnęła się. Odwróciłam się, żeby ją odnaleźć, ale odepchnęła mnie grupa hałaśliwych nastolatków.

– Hanna! – zawołałam.

Stanęłam na palcach, żeby rozejrzeć się po tłumie, jaki za sobą zostawiłam. I wtedy go zobaczyłam.

Niski, silny, dobrze zbudowany, w kraciastej koszuli, odchodził pewnym krokiem. Uciekał – znowu.

– Scott! – krzyknęłam.

Ruszyłam za nim, przeciskając się przez tę samą grupę nastolatków, która zawróciła i stała, debatując nad czymś.

162

– Dziwka – rzucił jeden z nich, a wszyscy skupili się, żeby zastawić mi drogę.

Obeszłam ich w pośpiechu. Gdzie on się podział? Pędziłam przed siebie. Kraciasta koszula, na litość boską! Nigdy takich nie nosił. I co robił tutaj, w tym głupim centrum handlowym? Potrzebna mu była wolność, żeby przyjechać akurat tu?

Kraciasta koszula i łysiejąca głowa pojawiły się w tłoku kilka metrów przede mną.

– Scott! – zawołałam znowu.

Ścisk zelżał nieco przed Legolandem, gdzie całe rodziny bawiły się klockami. Ten w kraciastej koszuli przykląkł, żeby zasznurować but. Podniósł się, spojrzął na zegarek, odwrócił się i stanął twarzą do mnie.

To nie był Scott.

Zauważył, jak na niego patrzę, dostrzegł moją minę i przemówił:

– Dobrze się czujesz? Wzięłam jeszcze jeden wdech.

– Dobrze. – Ktoś minął mnie, trącając w ramię. – Szukałam kogoś.

– Mamusiu! – zawodziło jakieś dziecko.

Rany boskie. Rozejrzałam się dokoła. Gdzie jest Hanna?

Co najmniej tysiąc osób gniotło się nawzajem pomiędzy miejscem, gdzie stałam, a tym, gdzie ją ostatnio widziałam.

Pognałam z powrotem, wykrzykując jej imię, zatrzymując się i stając na palcach, usiłując coś zobaczyć, przeklinając swój wzrost.

– Hanna!

Ludzie gapili się na mnie.

– Mogę jakoś pomóc? – usłyszałam, gdy przeciskałam się w stronę kopalni.

Niektórzy patrzyli na mnie z wyrzutem. Zgubiłam dziecko? Cóż za brak rozwagi.

Znalazła się dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam: przy wyjściu z kopalni.

Postawiła torby pod nogami i obejmowała się rękami. Rozglądała się w popłochu.

– Arden – ryknęła, gdy mnie zobaczyła.

Przyklękłam i przytuliłam ją. Aczkolwiek był to jednostronny uścisk; była wściekła.

– Gdzie poszłaś? – spytała. Jej krucha, gładka, sześćioletnia buzia była spięta.

– Odeszłaś ode mnie. Ja tu stałam. Nie ruszałam się z miejsca. Ludzie się pchali,

ale ja się nie przesunęłam.

163

– To świetnie, Hanna. Nic lepszego nie mogłaś zrobić. Przepraszam cię.

– Zgubiłaś mnie.

– Ale cię znalazłam.

– Dokąd poszłaś? Co robiłaś? Bałam się. Ludzie się na mnie pchali.

– Tłum mnie porwał.

– Zgubiłaś mnie.

– Nie zgubiłam cię, Hanna, nie zgubiłam. Rzuciła mi się w ramiona.

– Dokąd poszłaś? – zawodziła.

– Szukałam tylko kogoś. Tylko się rozejrzałam. Nie mogłabym cię zgubić.

Tylko nie to, szeptałam do siebie czując, jak mocno obłapiają mnie jej ramionka; nie mogę stracić tego.

– Przestań – zażądała. – Przestań szukać!

– Dobrze – odrzekłam, gładząc jej włosy. – Obiecuję ci, że przestanę szukać.

23

Detektyw Rosę Vanaci.

– Mówi Arden Munro.

– To cudownie, że dzwonisz, kotku! Sporządzam akurat tygodniowe sprawozdanie.

Nic ważnego, rzecz jasna, inaczej bym do ciebie zadzwoniła. Ale dowiedziałam się paru interesujących rzeczy o facecie z Minnea-polis, który fałszuje zielone karty. Nie ma to nic wspólnego z twoim bratem, oczywiście, ale dzięki Scottowi-Widmu zdobyłam kilka cennych kontaktów, które pomogą mi przy innych sprawach.

– Chciałabym, żebyś przestała go szukać.

Usłyszałam ciche syknięcie miękkiego, skórzanego fotela; pewnie właśnie usiadła i odchyliła się razem z oparciem.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Cóż, ty tu rządzisz. Zaczynałam właśnie dzwonić w miejsca, gdzie wcześniej rozesłałam faksy, do wszystkich moteli i punktów, gdzie można wynająć skrytkę pocztową. Wszelkie wspomnienia do tej pory mocno wyblakły, ale przy odrobinie cierpliwości...

164

– Nie trudź się. Coś mi się zdaje, że już mnie to nie obchodzi. Odszedł. Żyje sobie gdzieś tam, ale odszedł. Chcę przestać go szukać.

– W takim razie uznaję to za zakończenie sprawy. Szkoda. Nie lubię przegrywać. Jestem dobra w tym, co robię, Arden, kto wie, czy nie najlepsza. Ale nie potrafię czynić cudów.

– Chcę, żebyś zrobiła coś innego, coś, co raczej nie będzie wymagało cudu.

– Tak?

– Resztę kwoty, jaką dysponuję... chcę, żebyś wydała na inne poszukiwanie. Chcę odnaleźć moich rodziców. Podałam ci ich daty urodzenia i inne podstawowe dane. Podałam ci wszystko, co sama wiem.

Zrobiła długi, powolny i słyszalny wdech.

– Ale oni nie żyją, prawda?

– Oczywiście. Chciałabym, żebyś prześledziła ich życiorysy. Wszystko, co uda ci się znaleźć. O to mi chodzi.

– Cudowny pomysł – stwierdziła. – To mi się podoba. Usłyszałam, jak stuka w

klawiaturę. Pewnie tworzyła właśnie nowy plik: Elizabeth Cahill i Conner Munro; nieżyjący, poszukiwani. Nieżyjący dla świata. Z tęsknotą poszukiwani przeze mnie.

????

?

Nie przeczę, że jestem małomiasteczkowa. W ciągu kilku godzin spędzonych na obserwowaniu tłumu gapiów i kupujących na Jarmarku Farmera zobaczyłam więcej niż kiedykolwiek w Penokee.

Na przykład? Cóż, kolczyki w najdziwniejszych miejscach ciała. Nawet w zacofanym północnym Wisconsin przekłute pępki, brwi, usta czy języki nie są niczym nadzwyczajnym. Ale przed przyjazdem do Madison w życiu nie widziałam przekłutej dłoni. Gwoli ścisłos'ci, zobaczyłam kilka kółeczek o średnicy mniej więcej centymetra wbitych w błonę między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki pewnego mężczyzny.

Mam pytanie: czy to nie przeszkadza w maszynopisanu?

Poza tym widziałam dwie kobiety oferujące karmienie piersią obcym dzieciom, grupę akrobatów przebranych za kręgi sera, występujących na schodach siedziby władz stanowych, artystę, który z jaskraworóżowych balonów tworzył zagrożone gatunki zwierząt, rzeźbiarza, który wykrawał z drewna śliczne gwizdki i rozdawał je wraz z broszurkami traktującymi o bezpiecznym seksie.

Madison w stanie Wisconsin: sto czterdzieści pięć kilometrów kwadratowych realnego świata.

Mój realny świat stanowiła świeża opalenizna. A zatem brązowa skóra i fakt, że akurat kończyła się moja kariera szofera i asystenta najlepszego na świecie żonglującego duetu dwujajowych bliźniaczek. Kady i Jean podczepiły się do grupy serowych akrobatów i popisywały się po ich występach, rozdając potem autografy pośród tłumu klejących się od potu, zgrzanych dzieciaków. Ja zakończyłam właśnie remanent sprzętu i pakowanie. Miło zejść wreszcie ze służby.

Zaliczyłam zajęcia w szkole letniej na początku lipca i od razu ruszyliśmy w drogę. Madison stanowiło nasz jedenasty przystanek w ciągu

166

czterech tygodni – i na szczęście ostatni. Nie chciałam dać się w to wciągnąć. Pamiętam, że powiedziałam im nawet, że nie ma mowy. Ale to było zimą, a gdy w maju dowiedziałam się, że Kady nie zasypała gruszek w popiele, tylko wysłała podania i otrzymała kilkanaście pozytywnych odpowiedzi, nie mogłam odmówić ich prośbie. Byłam winna choć tyle za to, że przez całą zimę bałaganiałam w ich życiu;

co gorsza, zapomniałam nawet o prezencie z okazji ukończenia szkoły.

– Wszystko? – spytałam z nadzieją, gdy przycłapały do miejsca, gdzie pilnowałam czerwonych walizek ze sprzętem.

– Jeden z tych małych łótrów urwał mi rękaw – warknęła Jean.

– Da się naprawić. Poszło po szwie – pocieszyła ją siostra.

– Po co? I tak już nie będzie mi to potrzebne.

– Najlepsze przedstawienie pod słońcem! – orzekłam, tryskając radością, gdziekolwiek się ruszyłam.

– Mówisz tak za każdym razem – zgasiła mnie Jean. – Mogłabyś już przestać. Jakiś gołąb obniżył lot, wylądował i kołysząc się z nogi na nogę, z uporem zmierzał ku moim stopom. Podkuliłam palce, by schować je pod skórą sandała.

– Żadnych przekąsek, panie gołąb – krzyknęłam i kopnęłam powietrze.

Ptaka przechylił głowę, popatrzył na mnie i zrobił kupę.

– To jakaś wróżba – stwierdziła Kady. – Poszukam kogo trzeba, odbiorę pieniądze i lepiej stąd zjeżdżajmy.

Wręczyła mi swój notes do rozdawania autografów i długopis i ruszyła do biurowca po drugiej stronie Pickney Street.

Jean i ja zawlokłyśmy trzy walizy do samochodu. Barracuda przyciągnęła jak zwykle pełnych podziwu neandertalczyków. Gdy zobaczyli, że samica otwiera bagażnik, stanęli wyprostowani, popodciągali dżinsy i zaczęli szczerzyć zęby.

– Fajny wóz – odezwał się jakiś rudzielec.

– Mojej babci – odparłam. – No to na razie.

– Może moglibyśmy się wszyscy przejechać – wtrącił blondyn.

– Babci by się to nie spodobało. Potrzebuje go na wycieczkę z domu starców. Pa, chłopcy.

Pojęli aluzję i odeszli, choć zawróciliby od razu, gdyby zobaczyli to, co nastąpiło po chwili.

– Kijowa publiczność, kijowy dzień – stwierdziła Jean.

167

Wrzuciła niesioną przez siebie walizę do bagażnika, po czym ściągnęła powiewną czerwoną bluzkę i pantalon.

– Co ty, robisz striptiz przed publicznością? – zaskrzeczałam. – Dopiero co spławiłam tamtych pajaców.

– Jest gorąco, ja jestem spocona, mam na sobie szorty i sportowy stanik.

Widziałam tu wiele kobiet, które nie mają na sobie nawet tego.

Usiłowałam wepchnąć ją do samochodu, ale się opierała. Całkiem rozsądnie, jak zresztą musiałam przyznać, bo po trzech godzinach na słońcu w środku było niebezpiecznie gorąco. Chciałam zostawić opuszczony dach, ale dostałam nauczkę podczas pokazu w Spooner, gdzie każdy przelatujący ptak zostawił na siedzeniu białą wiadomość.

Kady biegła do nas roześmiana, powiewając kopertą. Wyhamowała, gdy zobaczyła nas opierające się w milczeniu o samochód.

– Co się stało? – spytała.

Kiwnęłam głową w stronę jej siostry. – Mamy demonstrację.

– Demonstrację zniosę, ale nie goliznę. Daj spokój, Jean, już widzę te nagłówki: „Żonglujące dziewczęta aresztowane za obrazę moralności”.

Jean pacnęła siostrę i zaklęła pod nosem.

– Jesteś dziś wyjątkowo miła – skomentowała Kady. – Co byście powiedziały, gdybyśmy znalazły teraz bankomat, żebyśmy mogła zdeponować pieniądze, a potem zjadły szybką kolację przed wyruszeniem w drogę?

Skinęłam głową, ale nim zdążyłam przemówić, Jean grzmotnęła pięścią o maskę samochodu.

– Chodzi o to, że to już koniec – powiedziała. – Coś, co lubię najbardziej na świecie, właśnie się skończyło. Już nigdy do tego nie wrócimy, Kady.

– Jasne, że wrócimy. Przyjadę do domu na Gwiazdkę. Możesz coś zorganizować.

– Nic nam z tego nie wyjdzie. Jak niby mamy ćwiczyć, kiedy ty będziesz w

Kalifornii, a ja w szkole tutaj? No, przyznaj wreszcie: to koniec.

Choć raz Kady nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bo to był koniec.

Jean naciągnęła na siebie koszulkę i ruszyłyśmy do pasażu handlowego, sprzecząc się przy każdej restauracji, jaką napotkałyśmy. Piętnaście minut później, minawszy bar himalajski, wietnamski, francuski i włoski, kupowałyśmy hot-dogi dla mnie, a sałatki dla nich w budce w miasteczku uniwersyteckim.

Usiadłyśmy przy stoliku, znad którego miałyśmy widok na jezioro.

Kady podniosła zwiędnięty liść sałaty i strzepnęła nim komara.

----- 168 -----

– Jakże się cieszę, że wybrałyśmy to miejsce zamiast klimatyzowanej restauracji. A mnie się podobało: widok był piękny, zaś moje hot-dogi pyszne. Jean schowała się za wczorajszą gazetą, którą znalazła na stoliku, i zdawała się niczego nie słyszeć. Po chwili z trzaskiem zamknęła szpalty.

– Nie wierzę.

– W co? – spytałam.

Zjechała na siedzeniu i zamknęła oczy. – Muszę tam być.

– Gdzie? – spytała Kady.

Jean rozłożyła dziennik i podała go siostrze.

– Patrz tutaj: Michael Moschen, dwa pokazy jutro w Chicago.

– Serio? – Kady odsunęła na bok sałatkę i sięgnęła po gazetę. – Gdzie to piszą?

Aha, widzę.

Przebiegła wzrokiem po artykule i odłożyła papierową płachtę.

– To dopiero będzie pokaz. Szkoda, że nie możemy pojechać. Wzięłam gazetę i próbowałam odnaleźć to, czym się tak bardzo ekscytowały.

– Kto mówi, że nie możemy? – rzekła Jean. – Chicago nie jest daleko.

– Nie ma mowy, Jean.

– Dlaczego? Kady, to Michael Moschen.

– Chciałabym zobaczyć go tak samo jak ty, ale mamy wracać do domu. Czekają na nas.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – zaćwierkałam. – Nie mogę tego znaleźć. Kim jest Michael Moschen?

Jean ciskała wzrokiem gromy w siostrę, ale mówiła do mnie.

– To najlepszy na świecie żongler. Występuje solo. Jest wręcz nieludzko doskonały.

– Kilka lat temu widziałyśmy o nim film dokumentalny – wyjaśniła Kady. – Był

taki dobry, że można się było załamać.

– Muszę was odwieźć do domu – rzekłam. – Obiecałam. Do Chicago może i nie jest daleko, ale potrzeba by było na to kolejnych dwóch dni. Poza tym nigdy nie jeździłam po tak wielkim mieście i muszę odebrać z lotniska Hannę, gdy będzie wracała z Phoenix.

– To dopiero we wtorek – zauważyła Jean. – Mamy masę czasu. Słuchajcie, laski, ja chcę tam pojechać.

– Nie możemy – upierała się Kady.

Oparłam się i zabrałam za drugiego hot-doga. Niech same to rozstrzygną-

169

– Chcę tam pojechać – powtórzyła Jean. – Choć raz w życiu naprawdę czegoś chcę. Zwykle jestem potulną Jean, która zawsze ulega i pozwala wam rządzić. Szefowa Kady i rozpuszczona sierota Arden – wy zawsze dostajecie to, czego chcecie. Teraz moja kolej. A ja chcę właśnie tego.

– To oznacza co najmniej jedną dodatkową noc w hotelu – tłumaczyła Kady. – Musiałybyśmy wydać cały nasz dzisiejszy zarobek.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Kady popatrzyła na mnie. Wzruszyłam ramionami. Jean miała rację co do tego, kto rządził. Więc tym razem niech jej będzie.

– W takim razie musisz zadzwonić do rodziców – zwróciła się Kady do siostry. – Dziś wieczorem miałyśmy być w domu.

– Ty to zrób – odparła Jean. – Jesteś w tym znacznie lepsza.

– Nie ma mowy. To twój pomysł, więc sama odwal czarną robotę. W jednej chwili przyszła im do głowy ta sama myśl i obie twarze – jedna okrągła i spieczona słońcem, druga pociągła i ładnie opalona – zwróciły się w moją stronę.

– Nie ma sprawy – powiedziałam, już wyciągając kartę telefoniczną. – W końcu i tak to ja zawsze byłam ich ulubienicą.

2

Jeśli robi się to właściwie, można przejechać koło automatu do pobierania opłat za autostradę bez zatrzymywania. Sztuka polega na odpowiednim wrzucaniu monet do maszyny. Jeśli zrobisz to za wcześnie, automat połknie monetę i musisz próbować od nowa. Wrzucisz ze zbyt dużą siłą, a monety zbyt długo będą podskakiwać, nim wreszcie wpadną tam, gdzie trzeba. Umieścisz drobne ze zbyt małą siłą, będą lecieć w dół za wolno. Ale gdy zrobisz to jak należy, monety zostaną pobrane, a rogatki uniesione, nim wskazówka prędkościomierza spadnie do zera.

Opanowałam tę sztukę przy trzecim automacie na płatnej autostradzie stanu Illinois. Oczywiście pomógł mi fakt, że jechałam ze złożonym dachem, a kluczem do sukcesu był rzut szerokim łukiem do celu.

Jednak po trzech godzinach podróży z prędkością stu kilometrów na godzinę automaty na drodze stanowiły już jedyny powód do jazdy ze złożonym dachem. Byłam spieczona na skwarę, Kady wpadło coś do oka, Jean pęd powietrza wyrwał z ręki mapę, a przy tym wszystkie miałyśmy czesane wiatrem fryzury.

170

Droga, którą jechałyśmy, stała się bardziej ruchliwa, szersza, bardziej skomplikowana. Samochody pędziły obok i dokoła nas. Grupa trzech dziewcząt w kabriolecie najwyraźniej zachęcała do nawiązywania kontaktów. Ludzie machali nam,

pokazywali tyłki, a jacyś pajace, jadąc kawałek obok nas, nawrzucaли nam do samochodu śmieci, oblewając Jean ciepłym napojem.

– Nie podoba mi się to – krzyknęłam do bliźniaczek. – Zaraz zrobi się ciemno, zbliżamy się do miasta, a ja nie zniosę, jeśli jeszcze ktoś na drodze zechce zawrzeć z nami znajomość. Na dodatek nie wiemy, gdzie jechać.

Kady przyłożyła złożoną dłoń do ucha i pokręciła głową. Dziwne, że mnie nie rozumiała, bo przecież obie dobrze słyszałyśmy Jean przeklinającą na tylnym siedzeniu, gdy ścierała z siebie lepki napój.

Zjechałam na parking i zatrzymałam się obok busa, do którego wsiadała grupa dzieciaków.

– Fajny samochód – powiedział jeden z nich, liżąc loda w waflu.

– Łapy przy sobie – odparłam, stawiając dach.

Gdy szłyśmy w stronę baru, obejrzałam się i zobaczyłam, jak ten mały padalec zostawia na lakierze odcisk upapranej lodem łapy.

– Potrzebny nam plan – rzekłam, gdy zasiadłyśmy przy stole nad kolacją. – Bardzo lubię spontaniczność, ale nagle wydało mi się, że to, co robimy, to

głupota. A już szczególnie nie chciałabym znaleźć się w samym środku wielkiego, obcego miasta i spędzić sobotniej nocy na jeździe w poszukiwaniu hotelu.

– W takim razie możemy zatrzymać się gdzieś po drodze, a do miasta ruszyć jutro rano – zaproponowała Kady.

– Gdzie po drodze?

Kady zastanowiła się. – Poszukajmy lotniska.

Samolot startował i wznosił się nad naszymi głowami, akurat gdy wychodziłyśmy z baru. Ściany żadnego motelu nie byłyby w stanie zagłuszyć tego dźwięku, ale przypuszczałam, że i tak nic nie wyrwie mnie ze snu; wyjechałyśmy z Penokee o szóstej rano, więc ledwo trzymałam się na nogach.

Bus z dzieciarnią odjechał, ale mój samochód zdążył już przyciągnąć inną publiczność – wokół baraccudy tłoczył się co najmniej tuzin dorosłych.

– To twój? – spytała wysoka kobieta w średnim wieku, uczesana w krótkie sterczące warkoczki, gdy zbliżyłam się z kluczykami pobrzękującymi w dłoni. – Jest boski. Ma supermaskę. Oryginalna?

171

– Nie wiem – odparłam, otwierając drzwi. Ludzie cofnęli się. – Prawdę mówiąc, to samochód mojego brata.

– Jedziesz na zlot? – spytała pani z warkoczycami. Wymieniłyśmy z bliźniaczkami spojrzenia. – Zlot?

– W ten weekend w Chicago odbywa się międzynarodowa wystawa samochodów, a przy okazji Zlot Miłośników Barracudy. Właśnie tam jedziemy. To doroczna impreza. Dwa dni temu pierwszych dwoje z nas wyruszyło z Dallas i od tamtej pory spotykaliśmy po drodze kolejnych.

Kciukiem pokazała za siebie, a grupa rozdzieliła się, odsłaniając kilka pięknie wyremontowanych sportowych wozów zaparkowanych na asfalcie obok baru.

– Jedziecie do miasta, może gdzieś w pobliże jeziora? – zapytała Jean.

Kobieta potaknęła. – Do Hiltona.

Jean i Kady popatrzyły najpierw na siebie, a potem na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Możemy pojechać za wami? – spytała Jean.

Pani z warkoczycami i inni z konwoju załatwili, co mieli do załatwienia, po czym wszyscy razem, długim sznurem wyścigowych aut ruszyliśmy w stronę miasta-giganta na brzegu śródlądowego morza.

3

Ale widok! – Kady rozsunęła zasłony i wpuściła słońce.

Przekręciłam się na drugi bok, a Jean rzuciła w siostrę poduszką.

– Sto trzydzieści dolców za dobę, to musi być i widok – gderałam. – Jedna ? was chrapała. Która to?

– Pewnie ci się śniło. Która godzina? – spytała Jean.

– Prawie południe – odparła Kady. – Spałyście jak zarżnięte, nawet nie słyszałyście trzech telefonów. Mówiłam, żebyście nie siedziały tak długo przed telewizorem.

– Kto dzwonił?

– Obsługa w sprawie biletów na występ; wejściówki na wcześniejszy pokaz będą czekać na nas w kasie. Potem mama, że dostała wiadomość i cieszy się, że nocowałyśmy w jakimś porządnym miejscu.

Otworzyłam barek, złapałam muffinka i sprawdziłam cennik, odwijając jednocześnie papier i biorąc kęs. Pięć dolców.

172

1

– Nawet nie wie, jak porządnym – wtrąciłam.

– A na końcu dzwoniła Beverly – ciągnęła Kady. Beverly to była ta kobieta z warkoczycami, nasza opiekunka.

– Wybłagała w recepcji, że możemy wynieść się trochę później. Ar-den, mówiła też, że masz zadzwonić przed południem, jeśli chcesz z nią jechać na ten zlot. – Kady przyglądała mi się podejrzliwie. – Coś ty jej nagadała?

– Nic.

– Jedziesz na Zlot Miłośników Barracudy, może żeby się rozejrzeć, co?

Otworzyłam sok pomarańczowy. Cztery dolce.

– Po co niby miałabym tam jechać? Jean wstała z łóżka i przeciągnęła się.

– Bielizna wyschła? – spytała siostrę.

– Dzięki mnie – tak. Na szczęście znalazłam suszarkę do włosów.

– Och, co za poświęcenie: musiałaś suszyć nasze majtki.

Droczyły się jeszcze chwilę, ale ja się wyłączyłam – miałam to opanowane. Poza tym zabierałam się właśnie za kolejnego muffinka za pięć dolców.

W Penokee w Wisconsin mogłam zgrywać ważną, jasne. Ale w Chicago bez dwóch zdań byłam małomiasteczkowym kmiotkiem. Wychodząc z hotelu, zadarłam głowę i podziwiałam rysunek drapaczy chmur na tle nieba, niechcący zeszedłam na jezdnię i prawie wylądowałam na masce rozpędzonej taksówki. Potem, jak zawsze w gorącej wodzie kąpana, stanęłam pierwsza w tłumie czekającym na autobus. Drzwi pojazdu otworzyły się gwałtownie, a ja prawie się przewróciłam, popychana przez horde wysiadających pasażerów. Wsiadając, potknęłam się i zgubiłam bilet. Autobus szarpnął do przodu, a ja klapnęłam na siedzenie, ładując prawie na kolanach jakiejś kobiety. Ta kiwnęła głową w moją stronę i spojrzała na Kady.

– Skąd ona jest? – zapytała słodkim głosem.

Moja przyjaciółka westchnęła znużona. – Z Wisconsin. Kobieta pokiwała głową. Aha!

Nie podoba mi się to – oznajmiła Kady. – Jedź z nami na występ, proszę. Zapewniam cię, że ci się spodoba.

– Mam gdzieś to, jak dobry jest ten facet. Naoglądałam się tyle żon-glerki, że starczy mi na całe życie.

– Nie możesz sama włóczyć się po Chicago.

173

– Pewnie, że mogę, ale nie mam takiego zamiaru. Pokazałam na masywny budynek wylaniający się z za teatru.

– Pójdę do Instytutu Sztuki. Tam będę raczej bezpieczna i znajdę mnóstwo przedmiotów, które pozwolą mi nie umrzeć z nudów przez te parę godzin.

Kady wyraźnie miała ochotę jeszcze podyskutować, ale Jean pociągnęła ją mocno za rękaw.

– Zostaw ją – rzekła. – Występ już prawie się zaczyna. Kady skinęła głową i pokazała na drzwi teatru.

– Spotykamy się tutaj dokładnie za dwie godziny.

Dwie godziny – ha! Jak tylko weszłam do muzeum, wiedziałam, że potrzebowałabym dwóch żyć, żeby wszystko obejrzeć. Było ogromne.

A już na pewno zbyt ogromne dla naburmuszonego chłopca, którego spotkałam przy stojaku z przewodnikami. Podrzucił odzianą w papuc nóżkę swojego małego, drzemającego w wózku braciszka, podczas gdy rodzice studiowali plan muzeum.

– Fajnie tu, co? – zagadnęłam. – Widziałeś lwy przed wejściem? Rzucił mi posępne spojrzenie i z tym większą energią zajął się nogą niemowlaka. Nachyliłam się.

– Wiesz, co najlepiej robić w takim miejscu? – wyszeptalam. – Liczyć wszystkie obrazy z golasami.

Jego ręka znieruchomiała, a oczy wlepiły się we mnie. Zobaczyłam, jak zaczyna wzbierać w nim chichot, więc odwróciłam się i odeszłam.

W swoim życiu zwiedziłam wiele muzeów. Muzeum rybołówstwa w Hayward, muzeum kapeluszy w Ripon, muzeum sprzętu rolniczego w Trempealeau, muzeum butów w Des Moines, muzeum bielizny w Wor-thington. Wszystkie one stanowią niezmiernie ważne elementy kultury Środkowego Zachodu, ale nie przypominam sobie, by którekolwiek z tych miejsc przyprawiło mnie o trwożny zawrót głowy. A tu po niespełna godzinie wpatrywania się w obrazy świat wirował mi przed oczyma.

– Ci impresjoniści to umieli malować – bąknęłam do odzianej w norki kobiety tkwiącej przed malowidłem Moneta.

Pokiwała głową: – No cóż...

Zmierzyła wzrokiem moje kolczyki (przerobione trochę spławiki), moją najnowszą koszulkę, mój cały zmodyfikowany długa podróżą wizerunek.

– Pozory mylą, moja droga, ale wzięłabym cię raczej za miłośniczkę bardziej abstrakcyjnych kierunków.

174

– Ku nim właśnie zmierzam – odparłam radośnie, po czym odwróciłam się, jakbym wiedziała, dokąd iść tym labiryntem przejść i poszczególnych galerii.

Mijałam akurat małą wycieczkę, gdy z sali wypadła jakaś rodzinka. Mama ze złością pchała wózek, podczas gdy tata szedł z synkiem przewieszonym przez ramię.

Chłopiec śmiał się histerycznie.

Mój mały posępny kumpel – tyle że coś go niezmiernie ubawiło.

– Przestań – warczał ojciec. – Przestań się śmiać. Chłopczyk zauważył mnie.

– Naliczyłem trzydzieści trzy – zdążył sapnąć, gdy rodzina w pośpiechu parła do

wyjścia. Pokazał jeszcze ręką: – Ten jest najlepszy. Ten był najlepszy. Matisse, „Kąpiące się w rzece”. Olbrzymie płótno przedstawiające cztery nagie postacie; czarne ślady pędzla na zieleni, szarości i błękity. Tego małego doprowadził do hysterii, a mnie odebrał mowę. Usiadłam i gapiłam się.

Ocknęłam się, gdy w moim polu widzenia zjawiła się kobieta w norkach.

– Ładny, nieprawdaż? – rzekła. – Ale ramę ma okropną; to jedyna oprawa, jaką dostrzegam w całym muzeum. Zupełnie nie pasuje.

Norki odpłynęły.

I znów doznałam olśnienia. Ramy. Najwyraźniej te dobre powinny pozostawać niewidoczne. I przeważnie tak było. Ponad godzinę spędziłam wpatrując się we wspaniałe obrazy, a nie dostrzegłam ani jednej ramy.

Żegnaj, ArdenArt. Po co trwonić twórczą energię na oprawę dla dzieł kogoś innego?

Nie ma mowy, żebym dalej robiła ramy dla rysunków, malowideł czy zdjęć innych ludzi. Otoczona przykładami tego, co stanowiło najlepszą sztukę świata, wiedziałam już, co chcę robić: to, co ogląda się wewnątrz ram.

Wstrząśnięta nieco tym osobistym objawieniem i swoistym przewrotem w moim życiu, zrobiłam to, co każdy: ruszyłam do sklepu z pamiątkami. Gdy Hanna ostatnio dzwoniła do domu, ostrzegła mnie, że przywiezie z Arizony prezenty, więc może nie zawadziłoby przywieźć też czegoś z tej niezaplanowanej wycieczki do Chicago. Karuzela z pozytywką na łóźeczko dzidziusia, grafika przedstawiająca matkę z dzieckiem dla Claire, naszyjnik dla Hanny. Zastanawiałam się nad kupnem srebrnych kolczyków z onyxem dla Jace'a. Jemu oczywiście wystarczyłby jeden, ale zawsze miło mieć drugi zapasowy. Były piękne, ale obawiałam się, że mogłyby stanowić podarunek zbyt osobisty i zbyt ko-

175

sztowny jak na to „coś na odległość”, co właśnie zaczęło się między nami odradzać.

– Niezłe ówieki – odezwał się sprzedawca, pojawiając się nie wiadomo skąd, by mieć mnie na oku.

– Ja bym ich tak nie nazwała – odparłam i postanowiłam kupić Ja-ce'owi koszulkę. Jak tam żongler?

Jean oparła się o ścianę teatru.

– Cudowny – wyszeptwała. – Zdumiewający, seksowny, piękny, niezemski.

Postawiłam moją torbę z zakupami na ziemi i zwróciłam się do Kady.

– Czy ona powiedziała „seksowny”? Kady potaknęła.

– Owszem. Mojej siostrze podobają się faceci w obcisłych podkoszulkach.

Kupiłyśmy ci coś na pamiątkę.

Wyciągnęła z torby trzy wypełnione żwirem woreczki w kształcie sześcianów.

– Ten żółty jest z autografem.

– To dla mnie? – spytałam z powątpiewaniem.

– Nie to nie. Zatrzymam je dla siebie. Jak zmienisz zdanie, Jean da ci swoje.

– To było dosłownie upokarzające – stwierdziła Jean. – Już nigdy nie będę żonglować. Bo po co? Widziałam najlepszego żonglera na świecie, więc po co się trudzić? W życiu.

– Akurat – zwróciłam się do Kady. Potaknęła.

– Założę się, że nie wytrzyma nawet pół godziny, żeby nie zacząć czegoś podrzucać.

Wytrzymała dwadzieścia minut. Poszłyśmy do parku nad jeziorem, gdzie dołączyłyśmy do poruszającego się wolno tłumu spacerowiczów. Minawszy kilka przecznic, w pobliżu wielkiej różowej fontanny strzeżonej przez błyszczące złote rzeźby, kupiłyśmy od ulicznego sprzedawcy coś do jedzenia i znalazłyśmy miejsce, gdzie mogłyśmy usiąść i to skonsumo-

176

wać. Drapacze chmur majaczyły w oddali na tle ciemnoszarego nieba, zasnutego kilkoma niskimi chmurami.

Jakiś mały chłopiec, usiłując nadażyć za rodzicami, potknął się na chodniku i zdarł kolano. Usiadł, złapał się za nogę i zaczął wrzeszczeć. Matka starała się go pocieszyć i namówić, żeby wstał. Bez skutku. Dzieciak tylko darł się jeszcze głośniej, a po chwili dołączył do niego młodszy brat. Spaleni słońcem rodzice wymienili umęczone spojrzenia. Ojciec przełożył torbę z pieluchami na drugie ramię i zaczął kołysać wózkem. Jean sięgnęła do torebki swojej siostry, wyciągnęła pamiątkowe kolorowe kostki i zaczęła je podrzucać. Kady szturchnęła

mnie i obie uśmiechnęłyśmy się. Właśnie wtedy spojrzałam na zegarek. Minęło dwadzieścia minut.

Chłopiec przestał płakać i patrzył na Jean, która nadęła policzki i zrobiła głupią minę. Dzieciak uśmiechnął się. Nie spuszczał z niego wzroku, Jean rzuciła kostkę do siostry, która odruchowo ją złapała i odrzuciła. Po chwili Kady puściła w ruch własne pamiątkowe woreczki i zaczęło się przedstawienie.

– Nie ważcie się tylko wyciągać kapelusza na pieniądze – ostrzegłam je, podnosząc się z naszymi śmieciami. – To pewnie tutaj zabronione, a ja na pewno nie mam gotówki na wyciąganie was z chicagowskiego pudła.

Najbliższy kosz na odpadki był przepełniony. Mewy chwyciły z niego resztki jedzenia. Jako dobrze wychowana obywatelka małego miasteczka, zaczęłam podnosić śmieci i upychać je w koszu. Jakiś pajac na łyżworolkach minął mnie ze świstem i rzucił kubek po napoju wypchany papierami.

– Cham! – krzyknęłam, a co najmniej pięć dziesiątek ludzi odwróciło się i na mnie spojrzało.

Wokół Kady i Jean zebrał się tłum dzieci i znużonych rodziców. Trudno było powiedzieć, kto był bardziej uszczęśliwiony – dzieci czy rodzice, najwyraźniej wniebowzięci, że znalazł się ktoś inny, kto zabawiał ich pociechy. Nie widziałam popisu, ale dochodziły mnie charakterystyczne głupawe odgłosy: „ech, ech” Kady i „mam cię” Jean, po których następował aplauz publiczności.

Jeziro Michigan za nimi wyglądało jak nieruchoma szara płachta. Wpatrywałam się w wodę, dopóki moje oczy same nie zamrugały i nie zaczęły łzawić, po czym spojrzałam z powrotem na ludzi otaczających moje przyjaciółki. Było ich coraz więcej: mnóstwo dzieciaków, ich matki i ojcowie, kilkoro szydzących palantów w naszym wieku, jeden policjant,

177

a kilka metrów dalej – sam – mężczyzna w niebieskiej koszuli i dżinsach. Niski, łysawy, opalony, bez zarostu.

On sam.

Scott wychylał się do przodu, z niedowierzaniem gapiąc się na tłum, ze zdumieniem rozpoznając zonglujące dziewczyny – mógł się już pożegnać z beztróskim dniem w Chicago. Rozejrzał się dokoła niczym spłoszona sarna. Czy uda mu się jeszcze uciec, czy został zauważony?

Rzuciłam się na niego, nim zdążył zrobić choćby krok. Wyskoczyłam z tyłu i zaczęłam walić go po plecach.

– Ty gnojku! Powinnaś cię zabić! Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam!

Skulił się pod moimi ciosami.

– O Boże – wykrztusił. – O Boże – mamrotał co chwila, chyba jeszcze z dziesięć razy.

Nie przestawałam go okładać.

– Przestań – powiedział w końcu zmęczony.

– Niech mnie cholera, jak przestanę. Nienawidzę cię, nienawidzę! Myślałeś, że jestem taka głupia?

Poczułam, że ktoś szarpie mnie za rękę. Jean odciągnęła mnie akurat w chwili, gdy policjant położył dłoń na Scotcie. Żonglowanie się skończyło, a wszyscy ludzie odwrócili się i patrzyli na mnie i mojego brata. Rodzice zaczęli szybko zabierać swoje dzieci i tylko grupka moich rówieśników została i gapiła się dalej. „To znacznie ciekawsze!” – mówiły ich gę-by.

– Dość tego – nakazał policjant.

– Słyszałaś, Arden – rzekł Scott. – Uspokój się już.

– To tylko taka sprzeczka między siostrą i bratem – wyjaśniła Kady. – Ona jest na niego bardzo zła. Strasznie długo go nie widziała. A on zapomniał do niej napisać. To wszystko.

Policjant nie był przekonany.

– To prawda?

Potaknęłam, ale nie spuszczałam wzroku z brata. Stróż prawa uniósł rękę, każąc zachować spokój. – A więc już wszystko w porządku?

– Idealnym – warknęłam, ciągle patrząc na brata. Policjant odszedł.

– Co ty tu robisz? – spytał Scott.

– Co ja tu robię? To przecież ty jesteś niby trupem.

– Cśśś – ostrzegła Jean. – Znów zachowujesz się za głośno.

178

– Arden – odezwała się Kady. – Ja... ja bardzo cię przepraszam... Nikt z nas nie powinien był nigdy w ciebie zwątpić.

– Więc jednak kogoś udało mi się wykiwać? – powiedział Scott.

– Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz – przyznała Kady. – Byliśmy pewni, że zamarłeś pod wodą. Wszyscy oprócz Arden. Upierała się, że to jedno śmierdzące oszustwo.

Scott podniósł rękę i wyciągnął ją w moją stronę.

– Wiedziałem, że mi się uda, jeśli tylko zdołam oszukać Arden. Wiedziałem, że to będzie najtrudniejsze.

Odsunęłam się.

– Przestań, trupie jeden. Nie chcę cię słuchać.

Podeszłam do najbliższej pustej ławki, usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę i piorunowałam go spojrzeniem. Kady zbliżyła się do mnie, gotowa pocieszyć, gdybym się załamała. Jean została ze Scottem, zamierzając go ścigać, gdyby chciał dać nogę.

– Mam do kogoś zadzwonić? – spytała mnie Kady.

– Nie.

– Może do Ala albo do Johna. Albo do Claire. Muszą się dowiedzieć.

– Dowiedzą się, ale ode mnie.

Scott wepchnął ręce do kieszeni, rozejrzał się dokoła, przestąpił nerwowo z nogi na nogę i patrzył na mnie. Podniósł jakieś śmieci, zaniósł je do kosza, po czym ruszył w moją stronę. Jean nie odstępowała go ani na krok.

– Co robisz? – zapytał ją.

– Pilnuję, żebyś nie zwał. Podeszedł do ławki.

– Mogę? – zwrócił się do Kady.

Kady skinęła głową i pozwoliła mu zająć swoje miejsce. Scott usiadł i położył rękę na moim kolanie.

– No, Arden, jak tam twoje oceny?

Nie wytrzymałam, załamałam się i zaczęłam płakać. Oparłam się o jego ramię i wylałam całe miesiące wstrzymywanych łez i smarków na jego koszulę.

– Zostawicie nas na trochę samych? – poprosił bliźniaczki.

– Arden? – spytała Jean.

– W porządku – odparłam. – On nigdzie nie pójdzie. Kady skinęła głową.

– Skoczmy po lody.

179

– Będziemy tu czekać – rzekłam, wycierając twarz w rękaw jego koszuli.

Scott odchylił się. – Fe.

– Och, przepraszam, tak mi straaaasznie przykro: pobrudziłam ci koszulę, to okropne z mojej strony. Czy mi kiedykolwiek wybaczysz?

Odwrociłam się od niego i patrzyłam na tysiące radosnych, wypoczętych twarzy. Mój brat powrócił z krainy umarłych; czy ja też nie powinnam być szczęśliwa?

– Co u Claire? Prychnęłam.

– Obchodzi cię to?

– Tak.

– W porządku. Lada dzień znów zostanie matką, ale ty przecież o tym wiesz. Robi się taka gruba, jakby w każdej chwili mogła pęknąć. A propos, ona i Hanna wprowadziły się do nas.

– Co?

– W zeszłym miesiącu. Miałam tyle miejsca, a one gnieździły się w służbówce w parku. Poza tym Claire będzie potrzebowała pomocy przy dwójce dzieci, a kto się do tego nada lepiej niż ciocia? Zwłaszcza że tatusia nie będzie w pobliżu. Jego twarz przeciął szeroki uśmiech, więc odwrócił się, żeby go ukryć.

– Z czego się śmiejesz, Scott? – burknęłam. – Ja nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Chyba zwyczajnie cieszę się, że tak trafnie udało mi się wszystko przewidzieć.

– Co masz na myśli?

– Arden, bez ciebie nigdy bym tego nie zrobił. Sumienie nie dałoby mi spokoju. Ale wiedziałem, że wkroczysz w odpowiednim momencie i zrobisz to, co dla Claire najlepsze. Że zachowasz się odpowiedzialnie i zajmiesz się wszystkim. – Przesunął się i rozprostował nogi. – Tak jak ja zająłem się tobą.

W powietrzu popłynęły dźwięki klarnetu. Przez pięć minut żadne z nas się nie odzywało, a potem:

– Wszystko w porządku, Arden?

– To była okropna zima, Scott.

– Przykro mi.

– Tak bardzo chciałam cię odnaleźć. Wszyscy myśleli, że zwariowałam, ale wcale tak nie było. Wiedziałam, co zrobiłeś.

Jeszcze raz grzmotnęłam go w ramię, mocniej niż przedtem.

180

– Ostrożnie – ostrzegł mnie. – Policjant może gdzieś tu krążyć.

– Wszystko wyglądało zbyt doskonale. Zrobiłeś to wręcz idealnie. Dobrze się bawiłeś planując?

– Muszę przyznać, że tak. Ale też w pewnym sensie byłem przerażony. Prawie co dzień zmieniałem zdanie.

– Z początku się nie domyśliłam. Przez parę tygodni byłam w szoku, że nie żyjesz. A potem ocknęłam się i wyczułam to niemal nosem. Gdy Claire powiedziała mi, że jest w ciąży, poczułam się, jakby ktoś obudził mnie z koszmaru. Ale nikt nie traktował mnie poważnie. Milo będzie im teraz powiedzieć. Jak tego właściwie dokonałeś? Domyśliłam się, że utopiłeś skuter i poszedłeś w las, ale jak to wszystko przygotowałeś, jak uciekłeś, jak żyłeś?

Wziął głęboki wdech, pogłaskał się po nieistniejącej brodzie i nieskładnie, w pośpiechu wyjawiał swój sekret, jakby cieszył się, że w końcu może się nim z kimś podzielić. Powiedział mi o wyprawach do Minneapolis, gdzie niby miał kupić nowy skuter. Owszem, zrobił to, ale przy okazji wynajął skrytkę pocztową, potem kupił prawo jazdy, samochód i przyczepę od faceta, który, jak wiedział, specjalizował się w – jak to nazwał – trudnych transakcjach.

– Ten facet potrafi zdobyć wszystko – mówił, wciąż pod jego wrażeniem.

– Czy twój samochód jest kradziony?

– Nie sądzę. Papiery są chyba w porządku, wszystkie na właściwe nazwisko.

– W świetle prawa możesz mieć poważne kłopoty, Scott. Władzom nie spodoba się, że zorganizowały tak niebezpieczne poszukiwanie na próżno.

– Nie czeka mnie nic, z czym nie byłbym gotów się zmierzyć. Na to też się przygotowałem, Arden, na to, że mnie złapią. Sprawdziłem wszystko pod względem prawnym. Nie mogą mnie zrobić w nic poważnego. Jeśli zostanę zawleczony do Wisconsin i postawiony przed sędzią, pewnie będę mógł się powołać na poczucie emocjonalnego zniewolenia i niepoczytalność. Zawsze można spróbować.

– Nie wyglądasz na szczególnie zniewolonego. Ładnie się opaliłeś. Gdzie spędziłeś te pół roku?

– Tu i tam. W ciepłych miejscach. Pojechałem nad Wielki Kanion, do Las Vegas, na Florydę. Patrz.

Pokazał mi prawo jazdy stanu Minnesota na nazwisko Phil Owen. Widniało na nim zdjęcie Scotta.

181

– Możesz już przestać go udawać.

– Pewnie tak. Z jednej strony nawet się z tego cieszę. Nigdy nie byłem pewien, jak dobrze podrobione były moje dokumenty. Zawsze bałem się, że policja zatrzyma mnie z jakiegoś powodu, sprawdzi nazwisko w komputerze, i bum! Dowiem się, że Phil Owen już dawno gryzie ziemię albo że jest przestępcą, którego szuka cała Ameryka. Nie, no wiedziałem, że nie. Prawdę mówiąc, zaszedłem kiedyś na pocztę w Newadzie i sprawdziłem listy gończe. Czy nurkowie znaleźli mój portfel?

– Znaleźli wszystko oprócz ciebie.

– Cały czas miałem przy sobie stare prawo jazdy. W razie gdybym miał gdzieś jakiś wypadek, chciałem, żeby cię zawiadomiono.

– Cóż za rozważne postępowanie, wzięwszy pod uwagę, że już od dawna miałam wierzyć, że nie żyjesz.

Wzruszył ramionami i kontynuował opowieść.

– Ten sam facet przyprowadził samochód do Penokee i zostawił go przed motelem.

W ten weekend odbywały się wyścigi na skuterach i parking przed motelem cały zastawiony był wozami z przyczepami. Dlatego właśnie wybrałem taki dzień – gdyby ktoś mnie zauważył, nie rzucałbym się w oczy: jeszcze jeden zawodnik. Zresztą wyścig ściągnął wszystkich na szlak w Birmhall, więc nie przypuszczałem, bym mógł spotkać kogoś na stanowej drodze. Pojechałem skuterem do motelu wcześniej rano, załadowałem go na przyczepę i ruszyłem nad rzekę. Zaparkowałem samochód, wsiadłem z powrotem na skuter i wróciłem do domu, zanim ty wstałaś z łóżka. Parę godzin później pojechałem do Winkera, wypiliśmy parę piw i ruszyłem wśród śnieżycy.

Przyczepę porzuciłem na parkingu w Ri-ce Lakę.

– Twój samochód to stary rupieć, prawda? Ludzie widzieli, cię, Scott, widzieli twój wóz zaparkowany przy drodze JG.

– Mam nową toyotę camry i zaparkowałem ją przy TT. To nieco dalej od rzeki, ale droga jest za to mniej ruchliwa. Śnieg sypał gęsto, a ja miałem na nogach

raki. Nikt mnie więcej na nie nie namówi. – Pokręcił głową. – Arden, ludzie może i kogoś widzieli, ale nie mnie. Byłem ostrożny i zamierzałem się poddać, w razie gdyby cokolwiek poszło nie tak.

Wyciągnęłam nogi.

– Wiedziałam – mruknęłam pod nosem. – Domyśliłam się wszystkiego z grubsza, nie znałam tylko szczegółów. Będę musiała powiedzieć Rosę.

– Kim jest Rosę?

-- 182 -----

– Prywatnym detektywem.

– Detektywem? Ile pieniędzy wydałaś?

– Nie więcej, niż byłeś wart. A skoro mowa o pieniądzach, skąd je brałaś? To jedyny element, którego nie potrafiłam wykombinować. Jakim sposobem stać cię było na kupno nowego życia?

Westchnął. – Muszę zjeść loda. Chcesz też?

– Jagodowego.

Obserwowałam, jak czeka w kolejce przed wózkiem sprzedawcy. Ludzie brali lody w wafli i odchodzili. Para starszków długi czas nie mogła zdecydować się na smaki,

a on odwrócił się do mnie i uśmiechnął, unosząc brwi do połowy wysokiego czoła, gdy przechylił głowę w ich stronę. W tym samym momencie cała moja złość wyparowała, schłodzona powiewem powietrza znad jeziora.

– Nie wiem, jak długo to potrwa – rzekłam, kiedy wręczał mi loda – ale w tej chwili cieszę się, że cię widzę.

– Zawsze najbardziej się cieszyłaś, jak przywoziłem do domu jedzenie. A tak przy okazji, dobrze się odżywiałaś? Jesteś bardzo chuda.

Nie taka znowu chuda; bez przesady. Straciłam kilka kilogramów, może pięć.

Wzięłam do ust miękka, zimną masę.

– Byłam na Diecie Niepewności. A teraz powiedz mi o tych pieniądzach.

– Jesteś bystra. Sama możesz się domyślić.

– Nikomu jakoś się to nie udało.

– Tobie się uda.

Mój zły humor wrócił i zakląłam ostro.

– Mam dość tych twoich gier, Scott. Skąd wzięłaś pieniądze? Ukradłaś?

– Niezupełnie. No może tobie. Ale ty i to dziecko, które ma się narodzić, zagarnęlibyście całą resztę, więc stwierdziłem, że mam prawo do tego, co zabrałem.

– Ale co zabrałaś? Sprawdziłam twoje karty baseballowe. Nie były wiele warte.

– Nie – odparł w zamyśleniu. – Zbierałem głównie te najpospolitsze. Jakichś szeregowych graczy, żadnych gwiazd.

– Czekam...

– Rodzice pozostawili po sobie bardzo ładną kolekcję fotografii. Mama zaczęła je zbierać, gdy była w college'u, bazując na kilku zdjęciach należących do jej rodziny. Prawie o nich zapomniałem, bo wiele lat temu wpakowaliśmy wszystko do piwnicy. Znalazło się tam kilka naprawdę

183

cennych rzeczy. Stieglitz, Steichen, Man Ray, Arbus. Sprzedałem ten zbiór w Minneapolis, gdy pojechałem po skuter. Pomyślałem, że nikt nie zauważy jego zniknięcia, bo majątek rodziców zarządzany był przez jakiegoś zgrzybiałego starca z Rice Lake, nigdy nie został porządnie zinwentaryzowany, a ty, jak sądziłem, i tak w ogóle nie będziesz go pamiętać.

– I nie pamiętałam.

– Nie sprzedałem wszystkich zdjęć. Dwa zostawiłem tobie. Leżą zapakowane w pudełku, wetknięte pod schody, za skrzyniami.

– Jak to miło z twojej strony. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, jak okropnie będziemy się wszyscy czuli, gdy cię stracimy?

– Oczywiście, że przyszło. Chyba postanowiłem o tym nie myśleć, a w każdym razie nie pozwolić, by stało się to jakimś decydującym czynnikiem. Arden, przez dziesięć lat byłem porządnym facetem. Odpowiedzialnym, statecznym Scottem. Mijały dni i lata, a ja wciąż tylko to słyszałem. „Zerknij na mój silnik, Scott”.

„Coś się dzieje z moimi hamulcami, Scott”. „Czyż Arden nie jest zdolna, Scott?”. „Jak to miło, że opiekujesz się siostrą, Scott”. Cholera. Czy ludzie nigdy nie zastanowili się, co ja czuję? Nie. Ja zawsze byłem doskonałym mechanikiem, troskliwym bratem i, Bóg mi świadkiem, posłusznym synem. Do diabła, to wszystko

trwało dłużej niż dziesięć lat. Nasi rodzice byli wspaniałymi ludźmi, Arden, i kochałem ich oczywiście, ale, kurczę, jacy oni byli wymagający! W szkole żądali najlepszych stopni. Potem musiałem pójść na Yale. Wymagali ode mnie coraz to więcej, gdy przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, żeby sami mogli spełnić swe marzenia o byciu świętymi doktorami. A kiedy już dorosłem na tyle, by stawić im czoło, oni zginęli i musiałem zająć się tobą. Później, kiedy zaczynałem myśleć, że wreszcie nadejdzie kres odgrywania roli tatusia, Claire przekazała mi radosną wiadomość. Nie mogłem już dłużej, Arden. Nie miałem siły. Musiałem uciec, pójść za tym, czego sam pragnąłem.

Kruchy zielony robaczek wylądował mu na kolanie, a on go strzepnął.

– Wiem, że nie potrafisz tego zrozumieć.

– Może jednak potrafię. Miałeś dość... bycia ramą dla mojej twórczości.

Roześmiał się, prychnając znajomo przez nos.

– Ciekawe porównanie, ale dość trafne. Dzięki, że próbowałaś.

– Nie... – Kurczę, czemu to takie trudne? – To ja ci dziękuję.

– Za co?

– Za wszystko, co było wcześniej. Za to, że się mną przez cały ten czas opiekowałaś. Uwierz mi, wiem, że ci było trudno. Dziękuję.

184

Wtedy pomyślałam, jak dawno temu usiadł na moim łóżku i trzymał mnie za rękę, gdy przyśnił mi się jeden z koszmarów. Szeptał: „Mnie też śnią się różne rzeczy, ja też mam sny”.

Zawsze wydawało mi się, że chodziło mu wtedy o koszmary, ale może jednak nie.

Może miał na myśli dokładnie to, co mówił – ja też mam sny, marzenia.

– Może więc powiesz mi, braciszku, co to za niespełnione sny zainspirowały cię do ucieczki od wszystkiego?

– W tym właśnie rzecz, Arden, że nie miałem pojęcia.

Z serwetki, w którą owinięty był wafel loda, spadła na moją dłoń gęsta, słodka kropla. Zlizalam ją, zgmiotłam papier razem z waflem, wstałam i wrzuciłam go do pobliskiego kosza. Scott uśmiechnął się, gdy usiadłam z powrotem, podniósł moją dłoń i pocałował – nie pamiętam, by kiedykolwiek zrobił coś podobnego.

– A zatem oszukałem wszystkich oprócz ciebie.

– Nie masz się czym chwalić. Wielu ludziom na tobie zależało, więc gdy wydawało się, że zażyłeś ostatniej kąpieli w lodowatej rzece, wszyscy byli tak wstrząśnięci i oszołomieni, że nic do nich nie docierało. Winien im jesteś wielkie przeprosiny.

– Powiesz im, że mi przykro.

– Sam powiesz, jak wrócisz.

Podniósł głowę i wrzucił ramionami. Pacnął w coś.

– Chyba ze mną wrócisz, Scott, prawda? Scott? Czy może mam wezwać policję i kazać im się z tobą rozprawić?

– Nie wiem, czy znajdą jakikolwiek powód. Poza tym nie zrobiłabyś tego.

– Mylisz się. Lada dzień ma się urodzić twoje dziecko. Musisz wracać.

– Ja nic nie muszę. Skończyłem już z „muszeniem”. Zmierzył włosy i założył dłonie za głowę.

– To, co zrobiłem, nie było skutkiem jedynie mojego egoizmu, Arden.

– Daruj sobie.

– Czuję się tak... Wydawało mi się, że lepiej dla dziecka będzie mieć ojca zmarłego niż wariata.

– Czemu nie powiedziałaś nikomu, że odchodzisz od zmysłów? Nie jest przecież tak trudno poprosić o pomoc.

– Chyba z przyzwyczajenia. Nigdy się nie ośmieliłem.

– To bez sensu.

185

– Tak sądzisz? Arden, przez pierwsze lata mojej opieki nad tobą – byłem samotnym mężczyzną, zapomniałaś? – gdybym zdradził się choćby z chwilą słabości czy zagubienia, natychmiast spakowaliby cię i gdzieś odesłali.

– Może tak by było lepiej.

Chwycił mnie za ramię i odwrócił twarzą do siebie. – Naprawdę tak myślisz?

Zdjęłam jego dłonie i spuściłam ręce. – Nie.

– No dobrze, więc pytam cię: pomożesz mi? Ludzie dowiedzą się o wszystkim od ciebie.

– Wracasz ze mną do domu, Scott, i tam zobaczymy, co dalej. Myślę, że mogę pomóc ci jęczeć przed sędzią, jeśli będzie trzeba. Ale zrobię to dla Claire, dla

Hanny i dla dziecka. A jeśli będziesz musiał zapłacić za tamtą bezsensowną akcję poszukiwawczą, to masz to zrobić ze swoich zaskórniaków. Gdzie je właściwie trzymasz? Chyba nie nosisz takiej kupy gotówki przy sobie, co?

– Leży w skrytce bankowej w Minneapolis. Wracam tam od czasu do czasu.

– Czy to nie było ryzykowne?

– Może chciałem, żeby mnie odnaleziono. Czy tak właśnie myślisz?

– Nie wiem, co myśleć.

Kady i Jean pojawiły się, wyczuły, że jeszcze nie jesteśmy gotowi na towarzystwo,

i znikły ze swoimi lodami za fontanną.

– Naprawdę wynajęłaś detektywa?

– Tak, ale potem kazałam jej przestać uganiać się za tobą, a spróbować odszukać mamę i tatę.

– W Hondurasie? Arden, nie bądź śmieszna; już od dawna nie można ich odnaleźć.

– Zleciłam jej prześledzenie ich życia. Ty znikłeś, więc skąd miałam się o nich czegokolwiek dowiedzieć?

– Nie dawało mi to spokoju. Mogłem się z nimi kłócić w przeszłości, ale zdawałem sobie sprawę, że zasługujesz na to, by wiedzieć więcej o rodzicach, a nie zdażyłem ci za wiele opowiedzieć.

– Fakt. Nie mogłam uwierzyć w to, czego się dowiedziałam: poronienia, wcześniejsze małżeństwo taty, obrzydliwie bogaci dziadkowie, szalona ciotka, która umarła w domu wariatów. Boże, Scott, czy myśmy w ogóle rozmawiali? Jak mogłeś mi o tym nie wspomnieć? Trzeba było powiedzieć mi o nich wszystko. Od razu. Nie dość, że zostałam sierotą, to straciłam znacznie więcej przez to, że ty ze mną nie rozmawiałeś.

----- 186 -----

– Miałaś sześć lat, Arden, a ja dziewiętnaście. Bajeczki na dobranoc o samobójstwach i poronieniach nie byłyby chyba najlepszym pomysłem, co? Poza tym cała energia, jaką w sobie miałem, uchodziła ze mnie, gdy musiałem cię obudzić, ubrać, wyprawić do szkoły i tak dzień za dniem, dzień za dniem... Więc nie, nie rozmawialiśmy. Ale teraz już wszystko wiesz.

– Wcale nie. Są pewne luki, jak ta dotycząca okresu, kiedy się urodziłam. Rosę nie znalazła nikogo, kto by cokolwiek o nas wiedział.

– To mnie zupełnie nie dziwi. Akurat przeprowadziliśmy się do Milwaukee. Przedtem rodzice leczyli przez kilka lat w takiej darmowej przychodni w St. Louis, ale chcieli zrobić specjalizację z chirurgii. Mieszkaliśmy w akademiku dla rodzin, a większość naszych sąsiadów stanowili zagraniczni studenci. Pewnie wszyscy wrócili już do swych krajów. – Przeniósł ciężar ciała na lewe biodro i zwrócił się do mnie twarzą. – Ja jedyny chyba na świecie pamiętam dzień, w którym się urodziłaś.

– I to jest jedyna na całym wielkim świecie przyczyna, dla której mogę wybaczyć ci to, że zniknęłaś.

Jakaś para zatrzymała się kilka kroków przed nami, objęła się i zaczęła kołysać w takt jakiejś wewnętrznej muzyki.

– Myślisz, że Claire mi wybaczy? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

Kilka metrów dalej saksofonista wystawił kapelusz. Zamknął oczy i zagrał smutną, rzewną melodię, po czym przerwał, a towarzysząca mu kobieta ustawiła się i zadeklamowała kilka wersów poezji. Zebrała się wokół nich niewielka grupka ludzi.

Saksofon zabrzmiał ponownie, a po chwili znów fragment wiersza.

Mój brat wyglądał na zmęczonego. Może życie na wolności wcale nie było tak przyjemne, jak sam siebie przekonywał, że być powinno. Wyglądał starzej i grubiej, pewnie na skutek spożywanych w samochodzie posiłków z przydrożnych barów szybkiej obsługi.

– Czemu jesteś w Chicago? – spytał nagle.

– Byłyśmy w Madison. Jean i Kady występowały, a potem dowiedziały się, że najlepszy zongler na świecie ma dać występ tutaj. Więc przyjechałyśmy. Ale założę się, że wiem, dlaczego ty tu jesteś.

– No to mi powiedz.

– Wystawa samochodów. Byłeś tam?

– Nie byłem nawet w pobliżu. Nie wiedziałem o niej, a gdybym nawet wiedział, pewnie i tak bym nie poszedł. Zbyt duże ryzyko, że spotkałbym kogoś znajomego.

187

– Więc skąd się wzięłaś w Chicago? Uśmiechnął się.
– Chyba można powiedzieć, że przyjechałem do rodziców.
– Co masz na myśli?
– Dawno temu mieli przyjaciela artystę, Harry'ego. Czy twoja pani detektyw znalazła coś na jego temat?
Odrzuciłam głowę do tyłu i westchnęłam głośno.
– Nie. I myślałam, że już nigdy się tego nie dowiem. Harry. Kim on był?
– Przyjacielem mamy z college'u. Rzeźbiarzem. Miły facet; miał zwyczaj wpadać o najdziwniejszych porach, zawsze w drodze z jakiegoś niesamowitego miejsca na ziemi.
– Gdzie on mieszka? Mógłby ze mną o nich porozmawiać?
– Nie żyje. Zmarł na AIDS jeszcze w latach osiemdziesiątych. Rodzice bardzo to przeżyli. Był dość znany... przynajmniej w kręgach artystycznych. Wykonał rzeźbę z odlewem ich dłoni w brązie. Często słyszałem, że to dość dziwna rzecz. Ale widać musiała kogoś zainteresować, bo stała się częścią tutejszego muzeum.
– Instytutu Sztuki? – Kiwnęłam głową w stronę gigantycznego gmachu.
– Nie, mniejszego, gromadzącego tylko sztukę współczesną. Jeszcze raz go walnęłam, ale straciłam zapał; ledwo się poruszył.
– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że mogę pójść do muzeum i obejrzeć ich dłonie? Dlaczego nigdy nie poszliśmy tam razem?
– Bo to muzeum, panno Gorąca Głowo, istniało tylko z nazwy, a nie posiadało stałej siedziby. Wszystkie zgromadzone w nim dzieła były albo wypożyczone, albo schowane w magazynach. Ręce naszych rodziców leżały w jakimś schowku przez dwadzieścia lat. Ale niedawno muzeum otrzymało budynek, a jego zbiory mogły wreszcie zostać wystawione. Przeczytałam o tym w jakimś czasopiśmie na Florydzie... jak wygrzewałem się na słonecznej plaży, jeśli chcesz wiedzieć.
– Widziałeś je?
– Tak. Muszę powiedzieć, że cała ta rzeźba jest dość chaotyczna. Cztery dłonie zawieszono na sznurkach, kołyszące się nad płataniną różnych rzeczy.
– Dotykałeś ich? Uniósł brew.
– Żeby uruchomić alarm i zostać wywleczonym przez strażnika? Nie, nie dotykałem.

188

Popis przed fontanną zakończył się i saksofonista oraz jego towarzysząca-poetka ukłonili się klaszczącej publiczności. Do kapelusza wpadło kilka monet i banknotów.

– Podoba mi się w Chicago – oznajmił Scott. – Może fajnie byłoby spróbować osiąść i zamieszkać w wielkim mieście. Jest tu dobra szkoła plastyczna, wiesz? Mogłabyś to sprawdzić. Byłem dziś w tamtejszej galerii. Preferują chyba dość drapieżną sztukę. Pasowałaby ci.
Szturchnął mnie lekko w ramię.
– Wciąż się na mnie gniewasz?
– To, co czuję, to dla mnie coś zupełnie nowego i nie wiem, jak to nazwać. Jestem bezdenno wkurzona – to chyba najwłaściwsze określenie. I jakby wyzuta ze złudzeń.
Oklapł nieco i wpatrzył się w jezioro. Po chwili wziął głęboki wdech i podniósł ręce, trzymając razem nadgarstki.
– Jestem twoim więźniem, siostrzyczko. Możesz mnie zakuć w kajdanki.
Znaleźliśmy Kady i Jean, wróciliśmy do hotelu i zarezerwowaliśmy drugi pokój na noc.
– Zabierzemy rzeczy z twojego motelu jutro – powiedziałam bratu. – Nie ufam ci na tyle, by spuścić cię z oka, więc przenocujemy w jednym pokoju. Zresztą któraś z nich chrapie.
W hallu spotkałyśmy Beverly. Akurat wróciła ze Złotu Miłośników Barracudy i była obładowana reklamówkami z próbkami kosmetyków samochodowych. Przedstawiłam jej mojego brata.
– To on wyremontował barracudę – wyjaśniłam.
– Boski wóz – pochwaliła.
Scottowi szczęka opadła i zwrócił się do mnie.
– Przyjechałaś do Chicago barracudą?
– Jeździła nią całkiem sporo – zdradziła Jean. – Ale nigdy jej nie myła.
– Do tego fatalnie wgniotła maskę – dodała Kady.
Mogłam niemal sama fizycznie doznać jego bólu. To było cudowne.
Mniej cudownie poczułam się dzwoniąc do ludzi, co było dziwne, bo zawsze myślałam, że będę rozkoszować się chwilą, w której dane mi bę-

dzie powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Al i John, po tym, jak się wyrze-szczeli i wybełkotali, przyjęli wiadomość w miarę spokojnie. Nie słyszałam, rzecz jasna, jak rozmawiali ze Scottem, ale John powiedział mi później, że od razu pojechał do biura i zaczął sprzątać cały związany z moim bratem bajzel. Myślę, że każde z nas będzie to teraz robiło na swój sposób.

Najtrudniej było zadzwonić do Claire. Całymi godzinami nie było jej w domu, a gdy już w końcu odebrała, miała strasznie zmęczony głos.

– Lepiej usiądź – powiedziałam. – Bo to cię zwali z nóg.

Podczas gdy oni rozmawiali, ja poszłam do pokoju bliźniaczek i poprosiłam obsługę o podanie kolacji i przyniesienie mi szlafroka. Potem udałam się pod prysznic. Scott i Claire wciąż rozmawiali, gdy skończyłam swój stek, więc zabrałam się za porcję brata.

Została mi z niej połowa, gdy Scott podał mi słuchawkę.

– Twoja kolej.

– Dobrze się czujesz? – spytałam od razu.

– Jasne, wręcz wspaniale. Arden, przepraszam, że nie...

– Nieważne. Do zobaczenia jutro.

W międzyczasie Scott zasnął, szybko i twardo. Pewnie życie w samochodzie i tanich motelach to nie wczasy, szczególnie gdy trzeba bezustannie oglądać się przez ramię. Usiadłam na krześle przy drzwiach i patrzyłam, jak śpi. Na pewno nie pozwolę mu znowu się wymknąć.

Pierwsza w nocy. Położyłam się na drugim łóżku i skuliłam pod kocem. Byłam zbyt zmęczona, za sobą miałam niewiarygodnie długi dzień – mogłam zaryzykować. Do diabła z nim, niech sobie wieje, jak chce. Znalazłam go, udowodniłam, że miałam rację, dostałam to, czego chciałam, powiedziałam dziękuję. Sprawa zamknięta, prawda?

Nieprawda: moje imię. Usiadłam, spuściłam nogi na podłogę, a potem wskoczyłam na jego łóżko i zaczęłam walić go po plecach.

– Obudź się. Obudź się i mów – zażądałam, okładając go pięściami.

Podparł się na przedramieniu i obrócił ku mnie zaspaną twarz. – Co?

– Powiedz, jak to było z moim imieniem. Chciałeś to zrobić tamtego ostatniego dnia, stąd wiedziałam, że żyjesz. Mów.

– Rany, Arden, daj mi pospać. Rano ci powiem.

– Mów. Zbyt blisko byłam już tego, żeby się nigdy nie dowiedzieć. Chcę to usłyszeć teraz.

Usiadł i przetarł oczy. – To w zasadzie nic wielkiego. Na pewno nic wartego pobudki w środku nocy.

190

– Opowiadaj.

Oparł się o wezglowie i przymknął oczy.

– No dobra, moment. Mówiłem ci, że mieszkaliśmy wtedy w akademiku dla rodzin, tak? Mama była na zwolnieniu, bo termin porodu się zbliżał i nie czuła się zbyt dobrze. Mieszkało tam sporo kobiet i żyło się, jakby trwał nieustający bankiet, przenoszący się tylko z jednego minimie-szkanka do drugiego. Któregoś wieczora siedzieliśmy w kuchni, a mama opowiadała o cudownej emulsji do rąk. Miała mocno zniszczone dłonie od ciągłego szorowania i dezynfekowania i gdybyś usłyszała, jak mówi o tym środku, pomyślałabyś, że uratował jej życie. To był produkt Elizabeth Arden. Postanowiła dać ci to imię, bo tak bardzo lubiła tę emulsję. Wszystkie te baby uważały, że to takie zabawne i słodkie, śmiały się bez końca...

stado gdaczących kwok. Sama miała na imię Elizabeth i oczywiście nie miała zamiaru się z tobą tym imieniem dzielić, więc zostałaś Arden. Koniec opowieści, siostrzyczko. A teraz mogę już iść spać? Rany, miałem taki piękny sen, a ty mi go przerwałaś. Będiesz mi coś winna, siostra.

Zakopał twarz w poduszce i zasnął.

Ja mu będę coś winna?

Promień księżyca wpadł przez szparę między zasłonami i błysnął na jego łysinie. Nie wiedziałam, co mu będę winna, ale wiedziałam, co ode mnie dostanie:

przebaczenie. To i tak dość niska cena. A rano może jeszcze jedno „dziękuję”. I niech sobie zabiera z powrotem ten przeklęty samochód.

Podeszłam do okna, stanęłam za zasłonami i wyjrzałam. Księżyc stał wysoko, a jezioro ubrało się w srebrzystą skórę.

Odnalazłam brata, a on opowiedział historię mojego imienia.

Trzeba być ostrożnym z własnymi życzeniami.

Arden.

Arden, Arden, Arden. Przynajmniej już wiedziałam. Może nie do końca to, czego pragnęłam lub miałam nadzieję się dowiedzieć. No trudno, nie dostałam imienia po bohaterce z czyjejś ulubionej książki czy po najlepszej przyjaciółce ani po ukochanej, wiodącej cygański żywot ciotce.

Arden.

Dostałam imię na cześć kremu do rąk.

?» 4

Jaka śliczna dziewczynka. Jak ma na imię?

– Gapa – odparłam.

Hanna zachichotała, a strażniczka z muzeum zeszywniała, co nieźle wyglądało, wzięwszy pod uwagę to, że przedstawiciele jej zawodu zazwyczaj i tak są raczej sztywani.

– To taki skrót od inicjałów – wyjaśniłam, błyskając uśmiechem na przeproszenie.

– Naprawdę nazywa się Gwenyth Arden Poole.

Hanna stanęła z założonymi rękami.

– Dostała imię po mamie mojej mamy. I oczywiście po mojej skromnej osobie. Przełożyłam boskiego rudzielca na drugą rękę, a mała natychmiast zaczęła ssać moje ramię. Kiedy ostatnio jadła? To pewnie kolejny z tych mało ważnych szczegółów, o którym nie pomyślano w burzliwy dzień spotkania jej rodziców, ciągnących na razie to „coś na odległość”. Włożyłam rękę do torby z jej ekwipunkiem i wyszperałam butelkę.

– Szef mówił, że przyjechałyście aż z Wisconsin – powiedziała strażniczka. – Tylko po to czy jest jeszcze jakaś szczególna okazja?

Zaszumiała krótkofalówka, a ona podniosła ją do ucha i słuchała.

– Co powiemy pani? – wyszeptalam do Gapy, gdy rzuciła się na butelkę. – Że mija właśnie miesiąc, od zakończenia okresu zawieszenia wyroku tatusia?

Strażniczka schowała walkie-talkie do futerału i uśmiechając się czekała na odpowiedź.

– Mój brat przeprowadził się niedawno do Chicago – odparłam grzecznie. – Przyjechałyśmy w odwiedziny.

– A moja mama ubiega się o pracę w muzeum – poinformowała Hanna. – W tym wielkim z dinozaurami. Dziś idzie na rozmowę. Jak ją zatrudnią, to może się tu przeprowadzimy, a ona będzie – wzięła głęboki wdech i przygotowała sobie słowa – wicedyrektorem do spraw edukacji.

192

– To świetnie, dziecko.

Krótkofalówka strażniczki znów dała o sobie znać.

– Wracając do sprawy – zwróciła się do nas. ?– To naprawdę niespotykane, wiecie. Nigdy nie słyszałam, aby jakieś muzeum na to zezwoliło.

Bo nigdy nie mieli do czynienia ze mną. Uśmiechnęłam się.

– Jesteśmy bardzo wdzięczne. Pan kustosz był niezwykle wyrozumiały.

Hanna pociągnęła mnie za rękę.

– Jesteś pewna, że ja też mogę?

– Jasne, mądralo, należysz przecież do rodziny.

Strażniczka przemówiła znowu do aparatu, po czym skinęła do mnie.

– Proszę bardzo, ale alarm będzie wyłączony tylko przez minutę. Ta rzeźba bardzo się podoba, więc nie chcemy zachęcać do tego innych zwiedzających.

– Nie ma sprawy.

Uniosłam rączkę bratanicy i pogłaskałam kciukiem, po czym podniosłam ją w stronę rzeźby. Ciężka dłoń z brązu uderzyła ją w mały paluszek.

– No, maleńka – wyszeptalam do jej uszka – to twój dziadek, a to twoja babcia.

Rozwiń piastkę... dobrze. Dalej, przywitaj się.

PRZYGODY I TAJEMNICE

Harry Mazer KIM JEST EDDIE LEONARD?

Kim jest

Eddie Leonard?

CM

Zaczęło się od plakatu ze zdjęciami zaginionych dzieci. Tam Eddie poznał... siebie! Z podpisem: CZY ZNASZ TO DZIECKO? Jego samego wychowała babcia – bo mama podobno wybrała „wolność”...

Kiedy szczęśliwy z tego odkrycia Eddie dociera pod adres z plakatu, okazuje się, że... nikt go tu nie chce. Ani domniemani rodzice, ani siostra, Miller, nie

wierzą w jego opowieść. Uznają, że chce się podszyć pod ich zaginionego sporo lat temu syna i brata, Jasona...

PRZYGODY I TAJEMNICE

Hugh Galt POŚCIG

Kiedy masz trzynaście lat i ktoś kradnie ci nową kolarkę – a zbliżają się wakacje i jak tu zaimponować Kąty! – trzeba ruszyć w pościg za złodziejami. Tylko, że ci kradną nie tylko rowery, ale i... porywają ludzi! Tak zaczyna się ta przygoda Nialla – nastolatka, który swoją odwagą zaskoczył wielu dorosłych. No i oczywiście Kąty!

Hugh Galt jest dziennikarzem w Dublinie. „Pościg” otrzymał prestiżową nagrodę Irish Book Awards. Książka przetłumaczona na wiele języków odniosła ogromny sukces również wśród młodych czytelników spoza Irlandii.

PRZYGODY I TAJEMNICE

Joan Lowery Nixon KIM JESTEŚ?

Gdy policyjni detektywi powiadają Kristi Evans i jej rodziców, że niejaki Douglas Merson został postrzelony w swoim domu, informacja ta nic im nie mówi. Ale są zaskoczeni, że pan Merson od wielu lat zbierał w tajemnicy materiały na temat Kristi.

Teraz ona chce odkryć, kim jest ów człowiek i dlaczego wtargnął w jej życie. Kiedy odwiedza pana Mersona w szpitalu, ten chce jej pomóc w spełnieniu marzenia,

jakim są studia na wydziale sztuk pięknych. Rodzice Kristi nigdy nie rozumieli jej zamiłowania do sztuki i chcą, żeby zdobyła jakiś praktyczny zawód.

Jak bardzo ta propozycja człowieka, który wydaje się księciem z bajki, wpłynie na jej stosunki z rodzicami? I czy ta oferta naprawdę jest bezinteresowna?

Nakładem

C&T

ze współczesnej literatury młodzieżowej

Caroline B. Cooney POŻARY SERC

Piętnastoletnia Macey Clare zawsze kochała swoje ciche, urocze miasteczko w Connecticut. Tu mieszkają jej dziadkowie, tu dorastała jej mama... Teraz Macey już nie może doczekać się lata i czasu spędzonego z przystojnym wnukiem sąsiadów,

Austinem – jej pierwszą miłością.

Kiedy Macey postanawia zbadać historię spalonej stajni naprzeciwko domu jej dziadków i napisać o niej wypracowanie, doznaje szoku. Nikt nie chce odpowiadać na pytania dotyczące tego miejsca. Stajnia spłonęła lata temu i... już! Cóż tam mogło być do ukrycia?

Jednak Macey nie zamierza się poddać. Chce dowiedzieć się prawdy o tamtym pożarze, odkryć, kim naprawdę ona sama jest...

Nie da się zmienić przeszłości, ale czy można wziąć na siebie odpowiedzialność za teraźniejszość?

Nakładem

?&?

ze współczesnej literatury młodzieżowej

Rosie Rushton

Z czym jeszcze przyjdzie się Livi uporać?

Ojciec odszedł, by zamieszkać z tą wstrętną Rosalie – i nic nie wskazuje na to, by kiedykolwiek powrócił. Chłopak ją porzucił i jest prawie pewna, że to z powodu i zbyt grubych ud i zbyt wielu piegów. Jej pozująca na artystkę mama przyjęła lokatorkę, która to wyraźnie sprowadza ją na złą drogę. A co gorsza, jej najlepsza przyjaciółka Poppy, która była dla niej wszystkim, zmienia szkołę i wyprowadza się. Ale kiedy spotyka wspaniałego Ryana, a ojciec ogłasza, że wraca do Leehampton, Livi zaczyna wierzyć, że życie jest piękne.

I wtedy właśnie pojawiają się prawdziwe problemy...

Nakładem

C&T

ze współczesnej literatury młodzieżowej

Rosie Rushton

Sophie jakoś radzi sobie w życiu... Mama spełnia jej różne kaprysy, ale chce, by Sophie obracała się we właściwym, to znaczy bogatym, kręgu przyjaciół. Życie uczuciowe Sophie też jest pogmatwane – a wszystko przez to, że przy chłopakach zaraz się rumieni.

...chciałaby jednak żyć wśród „prawdziwych” ludzi. A taki jest Tony. Ani

atrakcyjny, ani bogaty. Idealny na kumpla. Przynajmniej na razie, bo może za jakiś czas... Taki też jest ojciec – pomagający bezdomnym w ośrodku charytatywnym „Centrum Otuchy”.

Tylko czy to zetknięcie się z „prawdziwym” życiem nie okaże się dla Sophie zbyt ciężką próbą...?

Sprzedaj wysyłkową książek

wydawnictwa Loli

prowadzi:

merlin.com.pl

KSIEGARNIA INTERNETOWA

www.merlin.com.pl e-mail: sklep@merlin.com.pl

/